

Andre Norton

Zagubieni w czasie

**Tytuł oryginału Quest Crosstime
Przekład: Konrad Brzozowski**

Potężny, ponury masyw skalny stromym urwiskiem wrzynał się we wzburzony ocean. Sprawiał wrażenie rozdartego przez jakiś kataklizm w przeszłości, ponieważ rana klifu odsłaniała warstwy, z których był zbudowany: szare, czerwonawobrunatne i białe jak wapień. Cały krajobraz o przytłumionych barwach nieprzyjemnie przytłaczał obserwatora. Nawet fale, rozbijające się o podnóże skały z ogromną siłą, odbijały mroczny, stalowo zimny cień nisko zawieszonych burzowych chmur. Z otoczeniem kontrastowała dolina rzeczna, w której toczyła się walka pośród zielonych kopułów. Był to świat bez ludzi, zwierząt, ptactwa czy gadów, któremu obca była wszelka, najdrobniejsza nawet forma komórkowego życia, jaką odnaleźć można w zwykłej wodzie. W tej krainie jałowych skał życie pojawiło się wraz z człowiekiem, który w swojej nieokiełznanej żądzy zmian zapragnął naruszyć surowy prymityw jej przyrody.

Nadchodząca burza zapowiadała się wyjątkowo gwałtownie. Marfy Rogan zerknęła w górę na kłębiące się chmury, na mrok, który ze sobą niosły. Głupio zrobiła, zostając tutaj. Jednak...

Zamiast wstać, ułożyła się w rozpadlinie, którą upatrzyła sobie wcześniej, i wsparłszy czoło na zgiętej w łokciu ręce, przycisnęła ramię do twardej skały. W napięciu próbowała nawiązać kontakt. Chwilowy niepokój już dawno przerodził się w strach.

Marva! — Jej usta poruszyły się, gdy wysyłała niemy, telepatyczny krzyk, który utonął w olbrzymim, dzikim i pustym świecie. Huk spienionych fal mógłby całkowicie zagłuszyć normalny okrzyk, ale ten, wysłany przez umysł do innego umysłu, był nie do powstrzymania. Chyba że coś by się stało z osobą, do której był adresowany.

Głucha cisza oznaczała, że coś jest nie tak, i to ona zaniepokoiła Marfy. Między wieloma przyrządami przyczepionymi do paska miała niewielkie, dostrojone do swojego ciała urządzenia, które wyraźnie pokazywało, że z nią samą wszystko jest w porządku. Lecz ktoś mógł je przecież przestroić...

Każda zmiana osobistych ustawień byłaby wynikiem celowej ingerencji. Co mogło być przyczyną tak szalonego czynu? Oczywiście, wszyscy, którzy znajdowali się teraz w terenie, widząc ostrzeżenia o nadciągającej burzy, szukaliby kryjówek tam, gdzie są, nie martwiąc się zbytnio o powrót do bazy. Jednak fizyczna odległość nie stanowiła żadnej przeszkody dla tak silnie związanych ze sobą bliźniaczek. A helikopter nie był ani odpowiednio wyposażony, ani zaopatrzony do długiej podróży przez nieskończone kamienne pustkowia.

Osobisty dysk potwierdzał, że wszystko z nią w porządku, ale umysł i zmysły Marfy gwałtownie temu zaprzeczały. A ona sama bardziej wierzyła swojemu przecuciu niż temu, co pokazywał dysk. Gdyby tylko w obozie na dole był ktoś inny oprócz Isina Kutura, Marfy mogłaby rozwiać swoje obawy już godzinę temu. Ponieważ jednak Isin dał im wyraźnie do zrozumienia, że nie są tu mile widziane i że najchętniej pozbędzie się ich pod lada pretekstem, Marfy pozostała na górze. Zachowała się jak tchórz, bo jeśli jej przypuszczenia były prawdziwe...

Uniosła głowę. Śliczne jasne włosy targał wiatr, odsłaniając twarz, której na policzkach i na czole nie ozdabiałały modne na Vroomie wzory. Zamknęła oczy i zacisnęła usta, by lepiej się skupić na nerwowym telepatycznym poszukiwaniu. Jej twarz barwy kości słoniowej charakteryzowała się delikatnością i elegancją rysów, kultywowanych przez pokolenia w trosce o szlachetny wygląd. Pośród skalnego rumowiska wyglądała jak kwiat wyrastający samotnie na kamieniu.

Marva! — Bezgłośnie wołanie przerodziło się w krzyk. Odpowiedzi nie było.

Wiatr wyciągał w jej stronę ruchliwe palce. Otworzyła oczy, gdy pierwsze krople deszczu uderzyły o skałę. Nie mogła już zejść ścieżką prowadzącą do obozu. Nie miała odwagi rzucić wyzwania wzmagającej się wichurze i nadciągającej ulewie. Pragnienie wyrwania się z obozu, gdzie była stale pod obserwacją, okazało się mieć zarówno złe, jak i dobre skutki. Złe, bo straciła kontakt wzrokowy z bazą i była całkowicie zdana na siebie. Dobre, bo zdołała znaleźć schronienie przed burzą.

Ukryta w rozpadlinie, nie widziała nic poza skrawkiem poszarzałego nieba, które przecinały szalejące błyskawice. Znała tutejsze burze i wiedziała, że spędzi tu co najmniej godzinę.

Marva! — Po raz ostami wysłała wiadomość, tracąc nadzieję na odpowiedź.

Marva, wbrew wszelkim pozorom, znajdowała się poza zasięgiem kontaktu, choć dysk wskazywał, że jest w pobliżu, cała i zdrowa podobnie jak ona sama. A więc dysk kłamał. A to, jak uczono Marfy, było absolutnie niemożliwe!

Gdy przydzielono je do tego Projektu, zostały dokładnie przeszkolone. A Marva, choć czasem niecierpliwa i żądna przygód, nigdy nie była lekkomyślna i na pewno nie podjęłaby żadnego wyzwania bez porozumienia się z siostrą, nie mówiąc już o urzędzeniach ochrony osobistej.

Poza tym ani w tym, ani w żadnym innym z wielu dostępnych im światów nie było powodów, by ktoś celowo zmieniał ustawienia osobowe dysku. Kuttur bez względu na urazę, jaką do nich żywił, dla własnego dobra dopilnował, żeby przeszły szkolenie Stu. Były córkami samego Erca Rogana i odbywały tę szczegółowo zaplanowaną międzyczasową praktykę za jego oficjalną zgodą.

Chyba że — Marfy zdrząła na tę myśl — chyba że Limiterzy. .. Oblizwała mokre od deszczu wargi. Marva często oskarżała ją o nadmierną podejrzliwość. Jako bliźniaczki były bardzo podobne, ale każda była odrębną osobowością, nie jedynie połową tego samego, rozdwojonego organizmu. Limiterzy stanowili dużą partię, która opowiadała się za ograniczeniem podróży w czasie. Nadzór nad nimi sprawowałaby oczywiście komisja wybrana przez Saura To'Kekropsa, to znaczy on sam i jego poplecznicy. Jeśli tylko doszłoby do wypadku potwierdzającego zagrożenie, jakie niosły ze sobą międzyczasowe podróże, wskazującego na potrzebę ściślejszej ich kontroli, wypadku, w który zamieszany byłby któryś z członków Stu lub jego rodzina... Marfy aż westchnęła z wrażenia. Ale To'Kekrops nie ośmieliłby się! Poza tym, jak udałoby mu się zmienić ustawienia dysku?

Poza bazą nie było innej drogi dostępu do tego świata ani innych pojazdów do takiej podróży oprócz oficjalnie zarejestrowanych. Załoga Projektu była poza tym wrogo nastawiona do Limiterów, gdyż ich Projekt zostałby odwołany jako pierwszy. Marva...

Nad niewielkim schronieniem Marfy szalała nawałnica. Widziała takie burze na rejestracjach w kwaterze głównej. Mineły już cztery... nie, pięć stuleci od czasu, gdy jej rodacy otworzyli bramy czasowe Vroomu i wyruszyli — nie w tył czy w przód, lecz „w poprzek”, by odwiedzać inne światy równoległych gałęzi-poziomów, których historia podążała szlakami odmiennymi niż Vroom; im „dalej” od Vroomu, tym bardziej odmiennymi. Czasem śmierć zaledwie jednego człowieka powodowała łączenie się lub podział światów, tworząc świetlistą sieć czasowych dróg-gałęzi niekiedy tak rozbieżnych, że ci, którzy do nich należeli, nie byli już w pełni ludźmi z punktu widzenia Marfy i jej rodaków.

A ten świat należał do najdziwniejszych, nigdy bowiem nie pojawiła się w nim nawet najprostsza forma życia. Woda, kamienie, ziemia, wiatr, deszcz i słońce, ale ani śladu czegoś żywego, organicznego. A potem ustanowiono Projekt, by pod ścisłą kontrolą posiać tu życie lub przynajmniej podjąć taką próbę. Cały eksperyment był

oczkiem w głowie jednej z największych naukowych grup, do której należało dwudziestu członków Rady Stu. Nie, z całą pewnością sam personel Projektu nie uczyniłby nic, co zagroziłoby jego powodzeniu.

Przez ostatnie kilka dni Marva była niespokojna. Lubiła towarzystwo innych. Dreszcz emocji związany z podróżą łączyła z chęcią poznania innych poziomów, które nie były jedynie nagimi pustyniami. Odwiedziła z siostrą dwa takie światy, wcześniej składając przysięgę przestrzegania zasad i rozkazów, i za każdym razem była rozczarowana ograniczeniami, jakim były poddane. Tu dano im więcej swobody, bo planeta nie była zamieszкана przez nikogo, kto mógłby przypadkiem odkryć ich pochodzenie.

Dalsze spekulacje były bezcelowe; choć znała zaledwie kilka faktów, wyobraźnia wciąż zasypywała ją coraz to innymi wyjaśnieniami, z których każde następne było dziwniejsze od poprzedniego. Pozostawało jej tylko jedno: gdy burza się skończy, zjeździe do obozu, by porozmawiać z Kuturem. Zażąda tego, czego najbardziej starała się uniknąć, gdy zorientowała się, że ona i Marva nie są tu mile widziane. Miała zamiar poprosić o prawo do transmisji i zdać relację... tylko komu?

Erc Rogan właśnie podróżował. Dokonywał przeglądu placówek, by upewnić się, że Limiterzy nie dopatrzą się żadnych uchybień, które na następnym zjeździe mogliby wykorzystać do podjęcia ataku. Mógł znajdować się na każdej z pięćdziesięciu stacji. Marfy wprowadzić mogła zostawić mu wiadomość na każdej z nich, ale wiedziała, że jedynie w sprawach najwyższej wagi wolno jej wykorzystywać połączenia. Wysłana na tak szeroką skalę wiadomość wywołałaby zamęt i plotki w całym systemie czasowym.

Do kogo więc powinna się zwrócić? Może do Coma... Coma Varlta? Poznała Coma jeszcze jako młodszego strażnika–stażystę, kiedy obie z Marwą, w wieku sześciu lat, przybyły na Poziom Lasu, by obejrzeć zwierzęta. Posiadłości rodziny Varlta sąsiadowały z posiadłością Rogana, jednocześnie zaś związek między rodzinami umacniały dwa wcześniej zawarte małżeństwa. Jak się okazało, Varlt miał w tym miesiącu dyżur na rodzinnej planecie. Tak, pośle wiadomość Varltowi, choć i to również może wydać się komuś podejrzane. Chyba że Marva...

Marfy potrząsnęła głową w odpowiedzi na własne myśli, odsuwając od siebie nieznośne odczucie, które starało się nią zawładnąć, ilekroć pomyślała o siostrze i o nieodebranej telepatycznej wiadomości. Przeczeka burzę tutaj i przez ten czas wymyśli odpowiednią wiadomość dla Varlta. Potem, gdy najgorsza nawałnica ustanie, wróci do obozu, stanie przed Kuturem i zażąda prawa do transmisji.

Prom był niewielki, ale wygodny. Bez najnowszych rozwiązań, oczywiście, ale dobrze wyposażony do tak rutynowego przelotu. Blake Walker rozejrzał się po kabinie. Dwa miękkie, osłonięte fotele tuż przed panelem kontroli, za nimi szafki z częściami zapasowymi, aparatura rejestrująca i narzędzia. Była to najbezpieczniejsza metoda międzyczasowej podróży, jaką dotąd wynaleziono.

Wyśmienita opinia, jaką się cieszył po wcieleniu do służby, umożliwiła mu ten samodzielny lot.

W paczce tuż przed nim znajdował się rzekomy powód jego podróży: dostarczenie specjalistycznego sprzętu naukowego do bazy Projektu, którego celem było zaszczerpienie życia na zupełnie jałowym świecie. Jednak nieoficjalny cel misji podał mu sam starszy strażnik Com Varlt: sprawdzić, co dzieje się z córkami Rogana.

Niedawno, zanim Limiterzy doszli do władzy — to zastanawiające, że ich reakcyjne ugrupowanie tak szybko urosło w siłę i zyskało olbrzymie poparcie — podróże równoległe wykorzystywano do wakacyjnego wypoczynku, studenci zdobywali w ten sposób wiedzę, a handlowcy robili interesy. Ale protesty Limiterów

drastycznie zmniejszyły liczbę wydawanych pozwoleń. Zabroniono rozrywkowo-wypoczynkowych podróży z wyjątkiem niezamieszkanymi leśnymi światami, zabroniono wszystkiego, co mogłoby stworzyć jakiegokolwiek zagrożenie. Takie posunięcie nie było zbyt mądre, bo dawało To'Kekropsowi kolejny argument. Zażądał wyjaśnień, dlaczego odmawiano wydawania pozwoleń, skoro podróże czasowe są rzekomo takie bezpieczne. Rogan zdecydowanie sprzeciwił się ograniczeniu liczby pozwoleń, uznał to za niewłaściwą odpowiedź na insynuacje To'Kekropsa i wyraźnie bojkotując zakaz, wysłał swoje córki do pracy w Projekcie, dając im pozwolenia na praktyki studenckie. Musiał udzielić oficjalnego wyjaśnienia, ale nie zmienił poglądów i wykorzystując swą pozycję, robił wszystko, by przywrócić dawny porządek. Blake oparł się o ochronne poduszki fotela. Wyliczył kod podróży i uzyskał potwierdzenie. Teraz pozostało jedynie uruchomić procedurę startu. Ale nawet doświadczeni podróżnicy zawsze wyjątkowo starannie podchodzili do kodowania. Każdy pilot wiedział, że metoda potrójnego sprawdzania przed uaktywnieniem kodu nie była niczym widzimisię. Najdrobniejsze odchylenie mogło doprowadzić nie tylko do lądowania w świecie innym od zaplanowanego, ale stać się nawet przyczyną śmierci, gdyby prom zmaterializował się w przestrzeni zajętej już przez inne ciało stałe.

Toteż Blake wybrał czas, dokonał obliczeń, uzyskał trzykrotne potwierdzenie prawidłowości kodu i dopiero wtedy wprowadzał go za pomocą ręcznych kluczy. Poczul zawirowanie, przechył przyprawił go o mdłości, gdy prom wyrwał się ze stabilnego czasu poziomu Vroomu i rozpoczął podróż przez kolejne, sąsiadujące ze sobą światy.

Zamknięty w kabinie, Blake nie widział tych światów nawet w postaci przesuwających się cieni. Wcześniej, w czasie swej pierwszej podróży na nielegalnym promie pewnego międzyczasowego przestępcy widział je, jak się łączyły, dzieliły, pękały, formowały na nowo i zmieniały poza granicami nieosłoniętego pomostu, na którym przycupnął. On sam pochodził z jednego z tych światów, wciągnięty — nie z własnej woli, ale z powodu swych zdolności psi — w akcje zespołu łowców Coma Varlta. Najpierw wspólnie odwalili niezły kawał niebezpiecznej roboty, a potem, gdy zespół próbował wszczepić mu fałszywe wspomnienia, okazało się, że ma naturalny dar blokady umysłowej. Musieli więc zabrać go ze sobą.

W świecie, z którego go zabrano, Blake był obcy. Przyszli opiekunowie, którzy znaleźli go jako dziecko na ulicy, zmarli, zanim dorósł. Dlatego też zaakceptował przyjaźń Vroomianina i propozycję kariery strażnika. Choć nigdy tego nie udowodniono, Com Varlt wierzył, że on, Blake, pochodzi ze świata bliskiego Vroomowi. Jego mieszkańcy byli o krok od podróży międzyczasowych, kiedy łańcuchowa reakcja atomowa całkowicie zniszczyła planetę. Czy był jedynym, który przeżył? Być może był synem eksperymentatora, który widząc zbliżający się koniec, uznał, że jedynym ratunkiem będzie wysłanie Blake'a do innego świata. Być może. Ale jego pochodzenie nie miało teraz żadnego znaczenia. Był zadowolony z oferty Vroomian, nie mówiąc już o tym, jak ogromną radość sprawiła mu indywidualna misja.

Po ustawieniu i włączeniu kod działał samoczynnie. Blake miał trochę więcej niż godzinę, jeśli w tych warunkach można było w ogóle określić czas.

Żaden ze strażników nie nosił galowego munduru na co dzień. Ubiór ten, na który składała się kasztanowa marynarka, obcisłe spodnie i buty zapinane na metalowe klamry, zakładano z reguły trzy lub cztery razy w ciągu całej służby. Szczupły i wysoki Blake miał teraz na sobie jednolity skafander, który nosili z pewnością wszyscy członkowie Projektu. Na tle jasnego stroju jego naturalnie brązowa skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza, a ciemnorude włosy kontrastowały wyraźnie z

jasnym wnętrzem promu. Nosił pas z ekwipunkiem badacza, w skład którego wchodziły środki obrony i przeżycia, na szyi zaś identyfikator; jego chłód czuł przy każdym ruchu.

Po zakończeniu szkolenia odbył już trzy rutynowe podróże, wszystkie jako szary członek załogi. A teraz jeszcze miał służyć jako „przechodzień” lub członek zespołu kontaktowego przebywający dłużej na jednym z obcych poziomów. Czasem zadanie tego typu wymagało zastosowania chirurgii plastycznej i różnego rodzaju technik nauczania, które trwale zmieniały załogę, tak że jej członkom po zakończeniu misji trzeba było na nowo przywracać pierwotną tożsamość. Ale do tych zadań przydzielano jedynie dobrze wyszkolonych, sprawdzonych strażników o wyższej randze. Poza tym trzeba było mieć choć jeden solidny talent. Wszystkie legendarne na jego poziomie zdolności psi znane były strażnikom, a niektórzy mieli nawet dwie lub trzy z nich. Lewitacja, telepatia, telekineza, prekognicja — Blake zapoznał się z nimi wszystkimi i widział, jak działają, zarówno podczas prób, jak i „w akcji”. Ale w porównaniu z kolegami ze szkolenia i innymi strażnikami jego naturalne zdolności były skromne.

Posiadał dwa „dary”, jeśli w ogóle można było je tak nazwać. Pierwszy, którego używał przez całe życie, polegał na instynktownym wyczuwaniu zbliżającego się niebezpieczeństwa. Jeśli chodzi o drugi dar, który odkrył dopiero po kontakcie ze strażnikami ścigającymi zbiegłego przestępcę, nikt nie mógł się z nim równać. Świadomie lub nie, rozwinął w sobie umiejętność blokady umysłu tak mocną, że nawet najlepsi specjaliści w tej dziedzinie, którzy na szkoleniu podjęli próbę jej przełamania, nie mogli ani czytać jego myśli, ani telepatycznie go kontrolować. W tym telepatycznym gronie posiadał naturalny mechanizm obronny, doskonalszy od wszelkich wyuczonych zabezpieczeń.

Starał się również opanować inne zdolności, wierząc, że takie predyspozycje mogą być utajone. Ale wszelkie wysiłki spełzły na niczym. Być może to właśnie brak tych zdolności sprawiał, że gdy szło o poważniejsze misje, Blake pozostawał uziemiony. Ta myśl była jak dawno zabliźniona rana, która jednak wciąż boli.

Jednakże świat Projektu nie wymagał żadnych specjalnych zdolności. Po prostu dostarczy przesyłkę, upewni się, że z córkami Rogana wszystko w porządku, i za parę godzin będzie mógł wrócić na Vroom. Zwykła rutynowa misja. Następna, do Poziomu Lasu, zapowiadała się znacznie ciekawiej. Niezamieszkały świat pełen żyjących na wolności zwierząt, które nie bały się ludzi. Poziom Lasu był ulubionym miejscem odwiedzin dzieci i celem wyjazdów wakacyjnych. Każdą taką wycieczkę ubezpieczało trzech strażników, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Jak dotąd nie było żadnych protestów ze strony Limiterów ani wniosków o wstrzymanie takich wypraw. Poziom Lasu był niezwykle popularny i partia To’Kekropsa naraziłaby się wielu osobom, wnosząc o wstrzymanie takich wycieczek.

Na panelu sterowania zapaliła się kontrolka. Blake położył dłoń na przycisku. Policzył do dwudziestu, by upewnić się, że minęło wystarczająco dużo czasu i że prom zakończył lądowanie. Następnie otworzył właz. Prom stanął, zewnętrzne drzwi się otworzyły. Blake spojrział na zewnątrz, na terminal oświetlony słabym niebieskawym światłem.

Mrużąc oczy, przyjrzał się stojącemu przed nim mężczyźnie. Był to Tursha Scylias, zastępca kierownika całego Projektu. Cokolwiek przywiózł, musiało mieć większą wartość, niż go poinformowano. Odchylił zabezpieczenia, wyciągnął paczkę ze schowka i uniósł ją z niezwykłą ostrożnością.

Jednak Scylias odebrał ją prawie niedbale, cały czas uważnie go obserwując.

— Jesteś nowy. — To nie było pytanie, lecz suche stwierdzenie faktu.

— To prawda — odparł Blake, starając się nie ujawnić, jak wiele racji miał

rozmówca. Miał w ustach metaliczny posmak i jednocześnie czuł, jak skóra napina mu się na plecach. Kłopoty! Teraz... lub za moment! Natychmiast, na wpeł świadomie, umysł Blake'a uruchomił wewnętrzną blokadę. Tego nauczono go na kursie. Teraz musiał ukryć tę blokadę pod warstwą pozornie prawdziwych myśli. W chwilach stresu wystarczyła sekunda, by zmylić każdego — oprócz prawdziwego eksperta — że jego umysł nie jest niczym chroniony.

Stanął na gołej skale, która stanowiła podłoże bazy, żałując, że jego telepatyczne zdolności nie pozwalają mu wydobyć od Scyliasa choć wskazówki, czym jest źródło kłopotów.

— Sprawozdania — powiedział zastępca kierownika Projektu i szybko wyjął z paczki dwa zwoje taśmy w kasetach. Nie przesunął się nawet o centymetr, by zejść Blake'owi z drogi, jakby się bał, że strażnik błyskawicznie wycofa się do pojazdu. Po chwili jednak zorientował się, że jego zachowanie musi wyglądać podejrzanie, więc nie protestował, kiedy Blake umieścił pojemnik z taśmami wewnątrz promu i ponownie obrócił się w jego stronę.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał Blake.

— Jak najbardziej — odparł Scylias, po czym dodał szorstko: — Zjesz z nami? Już południe.

— Dobrze. Dziękuję. Sprawdzę jeszcze tylko punkt łączności...

Scylias przesunął się, jakby chciał zagrozić Blake'owi drogę do wyjściowych drzwi terminalu i skierować go w stronę tunelu łączącego terminal z resztą bazy.

— Na dworze jest burza — rzekł beznamiętnie. — Nie dostaniesz się do anten, dopóki nie ustanie.

Kłopoty... kłopoty... Blake czuł pulsowanie w głowie. Nie chodzi o burzę, nie, może o anteny... Ale dlaczego? Żaden normalny dowódca lub pracownik stacji nie dopuściłby do problemów z antenami! Zostać odcięty bez szansy nawiązania kontaktu. Tego nie chciałby nikt. Ale co w takim razie działo się ze Scyliasem? Facet miał najwyraźniej nerwy nie w porządku. Gdzieś tu, wyczuwał Blake, kryło się prawdziwe niebezpieczeństwo, duże kłopoty.

Być może ze względu na brak jakiegokolwiek roślinności, która hamowałaby podmuchy wiatru, jego siła wydawała się tutaj większa niż w normalnym świecie. Blake przyglądał się ulewie, jak gnana przez wiatr zaciekle atakowała obóz. Znajdowali się w dolinie, która była jedyną przerwą w stromym masywie skalnym wybrzeża. Na ścianie pomieszczenia, tuż koło Blake'a, rozwieszona była mapa. Dolinę przecinała leniwa rzeka, tworząc przy ujściu do morza niewielką zamuloną deltę. Tuż za nią, już na morzu, rozciągała się zatoka częściowo osłonięta falochronem rafy koralowej.

Wzdłuż bliższego brzegu rzeki widać było hodowlę roślin, starannie rozplanowaną i utrzymaną. Składały się na nią wodorosty, algi i inne prymitywne formy życia przeniesione z laboratoriów na Vroomie. Projekt znajdował się w początkowej fazie realizacji, ale Blake zdawał sobie sprawę, jak wiele włożono w niego trudu i ile zainwestowano pieniędzy.

Podróże na inne poziomy były interesem, dyskretnym interesem, który stanowił podstawę gospodarki Vroomu. Handel między światami, zasoby naturalne przywożone z gorzej rozwiniętych i prymitywnych poziomów, wreszcie wartościowe towary pochodzące z lepiej rozwiniętych cywilizacji — nigdy jednak aż tyle, by wzbudzać niezadowolenie lub podejrzenia tubylców. I jeśli dodać do tego możliwość eksploatacji światów bezużytecznych jak ten oraz zdobycze wiedzy, przyszłość Vroomu zdawała się zabezpieczona.

Na zewnątrz padał tak gęsty deszcz, że Blake mógł dojrzeć jedynie zarys sąsiedniego budynku. Przez moment jego uwagę przykuła mapa, lecz po chwili zwrócił się w stronę kolorowych widoków wyświetlonych na ścianie — wszędzie tylko skały, morza, rzeki lub jeziora zewsząd otoczone skałami. Skały były różnokolorowe, czasem nieco jaśniejsze, przykuwające wzrok, nigdzie jednak nie dało się dostrzec jakiegokolwiek śladu roślinności. Gdy Blake przyglądał się tym obrazom, niepokój, który odczuł zaraz po przybyciu, zaczął narastać. Choć od momentu, gdy Scylias wprowadził go do tego pomieszczenia, pozornie oglądał jedynie świat zewnętrzny, jednak cały czas nasłuchiwał.

Jak dotąd nie widział nikogo z personelu. Próbował sobie przypomnieć, co wiedział o ludziach związanych z Projektem. Jego kierownikiem był Isin Katur, znany ze swej determinacji i twardej ręki. Radził sobie w niepewnych sytuacjach, ale często kosztem przyjaciół lub znajomych. W Radzie Stu zajmował wysoką pozycję. Dwa razy udało mu się ocalić kosztowne projekty, które inni już spisali na straty. Blake widział go kiedyś w jednym z programów telewizyjnych: powściągliwy, barczysty mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych włosach, który na pytania rozmówcy odpowiadał zdawkowo i ze zniecierpliwieniem.

Isin Katur, Scylias — Blake stwierdził, że o innych osobach z Projektu nic nie wie. Nie licząc oczywiście córek Rogana, lecz o nich zaledwie słyszał od Varlta. Córki rodu od czterech pokoleń zajmujące miejsce w Radzie Stu. Blake uważnie obejrzał ich zdjęcie, które pokazał mu Varlt. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić, po co były tu potrzebne.

— Strażniku? — W drzwiach stała kobieta. Nie była to jednak żadna z córek Rogana. Była od nich co najmniej o dwadzieścia lat starsza, a jej twarz o ostrych rysach przecinała głęboka zmarszczka między brwiami. — Zaczynamy posiłek. Gdyby zechciał pan przyjść. — Mówiła nienaturalnie i była spięta.

Blake udał się za nią do większej sali, z której dochodził zapach jedzenia, głównie

syntetyków z racji żywieniowych. Wszyscy zgromadzeni przy stole zdawali się traktować ten spartański posiłek jak prawdziwą ucztę. Kuttur siedział wsparty łokciem na notatniku i od czasu do czasu coś w nim szybko zapisywał. Poza tym nie zwracał żadnej uwagi na otoczenie.

Oprócz niego w pomieszczeniu było jeszcze pięć osób: kobieta, która wprowadziła Blake'a, Scylias oraz troje innych pracowników stacji — dwaj mężczyźni i jakaś kobieta. Po córkach Rogana ani śladu. Ponieważ nikt nie wydawał się skory do rozmowy, Blake wahał się, czy przerywać ciszę. Kuttur nawet na niego nie spojrzał znad swego notatnika. Blake popijał ciepły płyn i czekał.

Nagle jego wewnętrzny alarm znów się uruchomił. Problem polegał jednak na tym, że Blake nie potrafił sprecyzować ani źródła, ani charakteru zbliżających się kłopotów. Był jednak pewien, że nadciągają. Mógł jedynie pohamować niepokój, zostać przy stole, przeżuwać paskudne jedzenie i czekać, aż coś się wyjaśni.

Kuttur odsunął tacę na bok, podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Przesuwał wzrokiem od jednego końca stołu do drugiego. Zobaczywszy Blake'a, nieznacznie skinął głową. Trudno powiedzieć, czy było to powitanie, czy po prostu znak, że dostrzegł Blake'a wśród reszty załogi.

— Gdzie dziewczyna? — Ton głosu nie pasował ani do masywnej piersi mówiącego, ani do jego tęgiego karku. Wypowiedź nie była gwałtowna czy ostra, a słowa dobrał tak starannie, że pytanie nabrało melodyjnego wydźwięku. Blake słyszał aktorów i mówców, którzy mniej umiejętnie potrafili modulować ton i rytm wypowiedzi.

— Marfy? — Kobieta, która przyprowadziła tu Blake'a, rzuciła szybkie spojrzenie na puste miejsce po swojej lewej stronie, jakby spodziewała się zobaczyć tam nieobecna. Zacisnęła usta, a zmarszczka między jej brwiami uwydatniła się. Upuściła wafel, który trzymała już przy ustach, szybkim ruchem odpięła od pasa niewielki dysk i przyłożywszy go do ucha, zwróciła się do Kutura: — Poszła w górę klifu tuż przed burzą, panie kierowniku. Odczyt w porządku. Musiała słyszeć sygnał ostrzegawczy. Wszyscy go słyszeliśmy!

Kuttur znów zlustrował ich wzrokiem, zaczynając od Scyliasa, a Blake'a wyróżnił nawet dłuższym spojrzeniem.

— Widocznie nie słyszała albo świadomie go zlekceważyła. Tutaj nie można tolerować takiej bezmyślności. Już o tym mówiłem. I ciągle to powtarzam na tyle głośno, by dotarło do wszystkich tępaków: podróże czasowe wykluczają wszelką bezmyślność i głupotę! Nie ma czasu na uganianie się za zaginionymi. — Jego grube palce powoli odnalazły na pasku urządzenie w kształcie monety, podobne do tego, jakie trzymała kobieta. Czubkiem palca uruchomił dysk i przyłożył go do ucha.

— Nic jej nie grozi — powiedział. — No, może poza przemoczonym ubraniem i wychłodzeniem, które dadzą jej do myślenia na przyszłość. Nie możemy zajmować się dziećmi, które nie szanują prostych i elementarnych zasad. Tursha, nadaj dziś wiadomość do władz, że w przyszłości nie życzymy sobie kłopotliwych gości bez względu na to, ile oficjalnych pozwoleń otrzymali!

Jedna z córek Rogana, jak domyślił się Blake, nie znalazła wystarczającego schronienia przed burzą. Jednak załoga upewniła się, czy wszystko w porządku. To wystarczyło, by uspokoić Kutura mimo braku jakichkolwiek szczegółów. Ale co z drugą dziewczyną? Nikt do tej pory o niej nie wspomniał.

Siedzieli przy długim stole. Wkoło było mnóstwo pustych miejsc. Blake starał się odgadnąć, kogo jeszcze oprócz dwóch sióstr brakowało. Czy miał dość odwagi, by zapytać wprost?

Szczyście mu sprzyjało. Kuttur znów podjął rozmowę:

— Wierzę, że helikopter zdążył się ukryć. Mam nadzieję, że to jedyna

niesubordynacja.

Scylias przytaknął:

— Helikopter wylądował, zanim zaczęła się burza. Garglos twierdził, że znaleźli niszę wystarczającą do całkowitego ukrycia maszyny.

— Teraz widzę, że za każdy przejaw inteligencji u podwładnych trzeba szczególnie serdecznie dziękować losowi — zamruczał Kuttur. — A ty, strażniku, czy masz dla mnie jakieś rozkazy? Kolejne zakazy lub nakazy, które pomogą nam uniknąć błędów na tym skalnym pustkowiu.

Próba żartu? Raczej sarkazm.

— Rutynowa kontrola anten, kierownika — odparł krótko.

— Bardzo dobrze. — Kuttur pokiwał głową. — Rób swoje, strażniku. Ale przed odlotem przyjdź do mnie. Przekażę ci wiadomość, osobistą wiadomość dla Członka Rady, Rogana. Nie życzę sobie — mówiąc to, uderzał długopisem niczym włócznią o leżący obok notatnik — nie życzę sobie kolejnych kłopotów z powodu niewyrośniętych uczennic ani teraz, ani nigdy więcej!

Ponownie obiegił wzrokiem całe towarzystwo, patrząc, czy ktoś sprzeciwi się temu ultimatum. Jednak nikt się nie odważył.

Głośne chrząknięcie zwróciło uwagę wszystkich na mężczyznę siedzącego obok Scyliasa:

— Przejaśnia się.

Przez krótką chwilę Blake zastanawiał się, skąd towarzysz Scyliasa mógł to wywnioskować, siedząc w pomieszczeniu bez okien. Po czym sam zorientował się, że głucho dudnienie deszczu o dach centrum dowodzenia Projektu słabnie. Kuttur wstał błyskawicznie, gotów do działania.

— Uład, Kyogle, za mną do pomieszczeń na dole. Jeśli mamy szczęście, woda, być może, nie zalała plonu pracy ostatnich dwudziestu dni.

— A co z Marfy? — zapytała kobieta.

Kuttur spojrział na nich, jakby chciał ich policzyć, po czym wskazując na Blake'a, powiedział:

— Zdaje się, że twoim zadaniem jest ochrona podróżnych, czyż nie? Idź na zewnątrz, znajdź tę zwariowaną dziewczynę i przyprowadź ją tutaj, nawet jeśli musiałbyś ją taszczyć przez całą drogę!

Szybkiem krokiem wyszedł z pokoju, zostawiając Blake'a z kobietą. Na swój sposób miał rację. Zadaniem strażnika była przede wszystkim ochrona przybyszów z Vroomu w labiryncie czasowych dróg. Ale od czego miał zacząć tutaj? A poczucie zagrożenia czającego się w jakimś mrocznym zakątku... czy miało związek z Marfy Rogan?

— Jej zachowanie było... było wyjątkowo nierozważne — powiedziała kobieta. — Tutejsze burze są bardzo gwałtowne i dlatego zawsze wysyłamy sygnał ostrzegawczy. Każde z nas nosi przy sobie dostrojony dysk — rzekła, wskazując na urządzenie przy pasku. — Jeśli mamy kłopoty, wysyła wołanie o pomoc, które odbierają pozostałe dyski. To najlepsze zabezpieczenie w razie zagrożenia. Dzięki dyskom wiemy, kto i gdzie się znajduje. Poczekaj, przyniosę ci jeden z kwatery Kutura.

Ruszyła, a Blake podążył za nią. Doszła do drzwi, weszła do środka i zamknęła je tuż przed nim, by za moment powrócić z nieco większym dyskiem wyposażonym w drgający wskaźnik.

— Już go nastawiłam. Myślę, że kierownik nie będzie zły na mnie za tę samowolę. Sam wydałby podobny rozkaz, gdyby miał czas. Ale przez ten deszcz... Jeśli poziom wody w rzece się podniesie, może, jak powiedział Kuttur, zatopić efekty naszej pracy. Trzy ulew w ciągu tygodnia, nigdy dotąd nie padało tak często. Nadmiar wody staje się palącym problemem. Marfy wybrała najgorszy moment na drażnienie się z

Kuturę, podczas gdy on musi zajmować się ważniejszymi sprawami! Widzisz, igła czujnika już drga. Kieruj się jej ruchem, a znajdziesz dziewczynę. Och, i weź też to. — Szybkim ruchem otworzyła inne drzwi i wyjęła dwa płaszcze przeciwdeszczowe.

Dała je Blake'owi, a sama, założywszy trzeci, skierowała się do wyjścia, naciągając na głowę kaptur. Zabezpieczony przed deszczem, z drugim płaszczem pod pachą i urządzeniem naprowadzającym w ręce, Blake ruszył jej śladem.

Burza przeszła, wciąż jednak padał gęsty deszcz. Wokół tworzyły się niewielkie strumyki ściekającej ze skał wody, ale wycięcie na oczy w kapturze nie pozwalało Blake'owi zobaczyć zbyt wiele. Igła wykrywacza odwróciła się od budynków nad rzeką w stronę skalistego urwiska po prawej stronie.

Błoto oblepiało buty; Blake z determinacją brnął w kierunku klifu. Jak tu pomyśleć coś miłego o dziewczynie, której teraz szukał. Nie dziwiło go rozdrażnienie Kutura, jeśli ten wyczyn był zaledwie próbką możliwości obu sióstr. No i przez cały czas podświadomie wyczuwał zbliżające się kłopoty.

Na zachodzie chmury rozrzedziły się, i walcząc z półmrokiem, wyjrzało słońce. Blake zdjął kaptur. Surowość krajobrazu, mimo chwilowego przejaśnienia, przygnębiała. Nawet jedna drobna roślina byłaby korzystną odmianą na tym pustkowiu. Jeśli Projekt zostanie właściwie zrealizowany, być może w odległej przyszłości dolinę rzeki pokryje bujna roślinność.

Teraz w dolinie słychać było krzyki i odgłosy pracujących silników. Blake obejrzał się. Z garaży wyprowadzano sprzęt w stronę wezbranej rzeki i ogrodzonych poletek. Poziom rzeki był tak wysoki, że niewiele brakowało, by woda przelała się przez mury i zalała uprawy. Kutura i jego podwładnych czekało trudne zadanie.

Przed Blakiem wznosiło się coś na kształt drabiny prowadzącej w górę urwiska. Jednak zanim zaczął piąć się do góry, usłyszał, że ktoś schodzi tą drogą w dół. Po chwili zobaczył niewielką postać odzianą w szary roboczy, niemiłosiernie ubrudzony i przemoczony po szyję kombinezon, która poruszała się wzdłuż niszy skalnej z lekkomyślnym pośpiechem. Dziewczyna zmierzała w jego kierunku.

— Ahoj! — Okrzyk był słaby i zniekształcony przez echo. Pomachała mu żywo, dając do zrozumienia, by został tam, gdzie jest.

Idąc wzdłuż stromego i zdradzieckiego zejścia, poruszała się pewnie i z wdziękiem. Gdy znalazła się trochę bliżej, zobaczył, jak wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Ostatnie metry pokonała tak pewnie, jakby znała tę drogę na pamięć.

Różnica między dziewczyną ze zdjęcia a tą przemoczoną i wysmaganą wiatrem postacią była tak ogromna, że Blake zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku. Włosy miała splecione i spięte tuż przy głowie, na policzkach i czole żadnych wyszukanych wzorów, choć był to ostatni krzyk mody na Vroomie. Co więcej, wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości.

— Ty... ty nie jesteś z Projektu. — Przyhamowała, wspierając się o występ skalny. Przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Walker, MS 7105 — odpowiedział oficjalnie.

— Walker — powtórzyła, jakby już samo obce imię brzmiało podejrzanie. — Walker! — Nie spodziewał się, że go zna. — Blake Walker! — Na zęby Farzusa! Czy to Com Varlt cię przysłał? Ale skąd wiedział... Ojciec! Coś stało się ojcu! — Ześlizgnęła się do niego błyskawicznie i chwyciła za rękę z siłą wystarczającą, żeby go przewrócić.

— Nie, po prostu patroluję teren — odparł Blake. — Nie wróciłaś do obozu, więc wysłali mnie, żebym cię znalazł. Masz, bo chyba znowu będzie padać. Lepiej to załóż. — Rozpostarł drugi płaszcz i okrył jej przemoczone ramiona.

Jednak widać było, że jego wyjaśnienia nie uspokoiły dziewczyny. Wciąż ścisnęła

jego ramię i czuł, że jest spięta.

— Co się stało? — zapytał, widząc, że to nie burza jest powodem jej niepokoju.

— Marva! Wyruszyła w teren helikopterem dziś rano i zniknęła!

Blake przypomniał sobie rozmowę przy stole:

— Odebrano wiadomość, że helikopter wylądował bezpiecznie przed nadejściem burzy — zaczął, ale dziewczyna zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Nie jest bezpieczna. Bo nie ma jej tutaj.

— Ale według tego — Blake wskazał dysk na jej pasku — czy nie byłoby wiadomo, że...

Marfy chwyciła urządzenie i przystawiła do ucha.

— Posłuchaj! — powiedziała głosem nie znośnym sprzeciwu. — Powiedz mi, co słyszysz?

Słyszał pulsujące bicie serca, równie spokojne jak jego własne.

— Regularne uderzenia — powiedział zgodnie z prawdą.

— Tak, i to ma oznaczać, że wszystko jest w porządku, że Marva tam gdzieś jest — powiedziała, wskazując ręką. — Siedzi sobie gdzieś pod skałą z Nagenem Garglosem, być może coś jej i czeka, aż poprawi się pogoda, żeby wrócić na wieczorny posiłek. Tylko że nie ma w tym ani trochę prawdy!

To było to, podpowiadał mu jego dar. Przed tym ostrzegał wewnętrzny alarm. Blake zaczął uważniej słuchać dziewczyny. Czy jednak wiedziała coś więcej?

— Skąd wiesz?

Marfy Rogan spojrzała na niego gniewnie, a w wyrazie jej twarzy było coś z niezmienną pewnością siebie i arogancji, którą widział u Kutura:

— Jesteśmy bliźniaczkami i możemy porozumiewać się za pomocą myślowo. Zawsze tak robimy. Siedziałam rano w obozie, częściowo połączona z Marwą, i nagle nic! — pstryknęła palcami. — Kontakt się urwał! Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy i z początku myślałam, że może chodzić o jakiś ekran. Katur ma tu wiele eksperymentalnych urządzeń, które zlecono mu wypróbować w atmosferze tego poziomu. Gdy straciłam kontakt, przyszłam z obozu aż tutaj — wskazała na urwisko powyżej — żeby wyjść spod wpływu wszelkich fal. Ale to nic nie dało, nawet próba bezpośredniego połączenia...

Blake nie mógł dokonywać bezpośrednich połączeń, ale w przeszłości był ich adresatem i znał ich siłę. W wypadku bliźniaczek raport musiał być potężny.

— Potem — Marfy ponownie machnęła mu dyskiem przed oczami — to pokazywało cały czas, że wszystko w porządku, niebo niebieskie i żadnych przeszkód, jakby tak było naprawdę. Ta rzecz kłamie przez cały czas! Bo Marvie coś się stało!

— Może twój dysk jest uszkodzony — powiedział Blake — albo jej?

— Nie wiem, jak to możliwe. Przecież gwarantuje się ich niezawodność. Poczekaj!

— Chwyciła lokator, który przyniósł z obozu. — Zobaczymy!

Obróciła przyrząd w rękę i zaczęła nerwowo wciskać mały przycisk. Gdy skończyła, obróciła urządzenie tak, by oboje mogli widzieć wyświetlacz.

Wskaźnik, który jeszcze przed chwilą zdecydowanie pokazywał urwisko, teraz wahał się luźno, by w końcu się zatrzymać. Poruszył się bezwładnie, gdy potrząsnęła przyrządem.

— Marva! — jej głos wypełniał strach.

— Co to znaczy? — Blake ujął jej ramię i delikatnie potrząsnął, gdyż stała, wpatrując się tępo w wyświetlacz.

— Jej... jej tu nie ma... nie ma! — Po raz kolejny gorączkowo wstrząsnęła urządzeniem i patrzyła, jak igła wskaźnika skacze bezsensownie. — Ale mogła...

— Mogła... co?

— Opuścić ten poziom! Byłam tam na dole, w pokoju obok terminalu wszystko wydawało się w porządku, dopóki kontakt się nie urwał. Nasz prom jest na Vroomie. Nie ma innej drogi, a poza tym nie odleciałaby bez słowa...

Możliwe było inne wytłumaczenie, ale Blake nie odważył się wypowiedzieć go na głos. Gdzieś na tym skalistym pustkowiu mogła leżeć martwa dziewczyna. A jednak bicie serca, które słyszał... — Marfy powiedziała co prawda, że odczyt dysku wskazuje, iż nic złego się nie stało... W każdym razie wydarzyło się coś niepokojącego i Blake musiał dowiedzieć się prawdy.

— Wiadomość... — Marfy umocowała lokator na pasku pod płaszczem — chcę wysłać wiadomość do Coma Varlta. Coś stało się Marvie.

Ruszyła biegiem w kierunku obozu, a Blake ociężale podążył za nią.

Okazało się wkrótce, że nie można wysłać wiadomości. Kiedy dobrnęli wreszcie do obozu, Blake zatrzymał się gwałtownie. Na niezamieszkanym poziomie maskowanie nie było potrzebne, więc wszystkie instalacje zamontowano na zewnątrz. Zasilane energią anteny, umożliwiające komunikację pomiędzy bazą Projektu i Vroomem, wznosiły się lub raczej powinny były się wznosić na wysokość latarni morskiej. Teraz okazało się, że jedna jest przygięta szerokim łukiem do ziemi, a drugiej, po przeciwnej stronie bazy, w ogóle nie widział!

Jak to się stało...? Ich znaczenie dla budowniczych obozu było tak oczywiste, że na pewno mocno je osadzono i zabezpieczono przed siłami natury. A jednak nieprawdopodobne stało się faktem.

Brnąc przez błoto i wodę, Blake dostał się do pochylonej anteny. Słup wydawał się prawidłowo umieszczony w skale, ale w jej podstawie widniała szczelina, która była przyczyną osłabienia konstrukcji. Blake zmarszczył brwi. Nie był specjalistą, ale wiedział, że pracujący tu ludzie nie należą ani do głupich, ani do niedbałych, a wybór złego miejsca na podstawę dla anteny komunikacyjnej wydawał się zupełnie nieprawdopodobny. Gdy tylko złożony zostanie raport, powinno zostać wszczęte śledztwo. A tym, kto złoży raport, będzie on sam, bezpośrednio.

— Antena jest... — powiedziała Marfy, dołączając szybko do Blake'a.

— Bezużyteczna. Poza tym nie widzę drugiej, która prawdopodobnie się przewróciła. Ale jak można było doprowadzić do takich zaniedbań?

— Zapytaj — powiedziała szybko — a może dowiesz się również, dlaczego dyski nie działają poprawnie!

Odgłos pracującej maszyny kazał Blake'owi rozejrzeć się dookoła. Jedną ze spycharek, którą widział, brnąc w stronę zalanych zagród, zmierzała teraz w ich kierunku. Mężczyzna w szoferce pokiwał im, by zeszli z drogi. Gdy Blake odciągnął Marfy na bok, maszyna przetoczyła się koło nich z hałasem i zaczęła spiętrzać ziemię tak, by uchronić podstawę przed dalszym przechyłem.

Ale jeśli nawet jedną antenę uda się właściwie ustawić, a drugą podnieść, dostrojenie ich obu tak, by przywrócić kontakt z Vroomem, zajmie wiele godzin drobiazgowej pracy. A Blake nie był pewien, czy w bazie Projektu znajduje się choć jeden technik, który potrafiłby to zrobić. Będzie zmuszony złożyć raport osobiście i powrócić tu z ekipą specjalistów. A im szybciej to zrobi, tym lepiej. Wciąż trzymając Marfy za ramię, odwrócił się w stronę głównego budynku.

— Wracasz? — zapytała. — Więc polecę z tobą.

— To zależy od kierownika. Prawda?

Nawet krótkoterminowi goście podlegali rozkazom Kutura. To był jeden z warunków otrzymania pozwolenia. Jedyne strażnicy mogli przybywać i odchodzić bez zezwolenia lokalnych władz. Podlegali tylko swoim zwierzchnikom.

Po raz pierwszy, przez krótką chwilę, Blake widział ją uśmiechniętą.

— Nie wydaje mi się, by Isin Katur miał coś przeciw temu. Raczej się ucieszy, że może się mnie pozbyć. Chyba że... — Umilkła.

— Chyba że co?

— Chyba że nie chce, by ktoś z zewnątrz dowiedział się o zniknięciu Marvy.

— Dlaczego... — zaczął Blake.

Odwróciła się. Jej twarz wyrażała pogardę dla jego naiwności:

— Limiterzy! Taki skandal jest im potrzebny. Marva zagubiona w czasie...

— Jak możesz być taka pewna? — Blake odniósł wrażenie, że dziewczyna zbyt

pochopnie wyciąga wnioski.

— Ale jej nie ma w tym świecie! Nigdzie!

— Przecież sama powiedziałaś, że nie użyła, nie mogłaby użyć promu z bazy.

— Co oznacza, że gdzieś i z jakiegoś powodu znajduje się inny prom —

natychmiast odpowiedziała Marfy surowym głosem kogoś, kto już podjął pewne decyzje i będzie przy nich trwać. — Ach, więc pewnie wydaje ci się to niemożliwe?

— naskoczyła na Blake'a, widząc niedowierzanie malujące się na jego twarzy. —

Takie rzeczy się już zdarzały i dobrze o tym wiesz!

Rzeczywiście: przemykające z poziomu na poziom nielegalne promy, podobne do tego, który zabrał go w ową przerażającą podróż, gdy po raz pierwszy zetknął się z Vroomianami. Ale od tego czasu tak zaostrożono przepisy, że Blake'owi trudno było uwierzyć, iż jacyś nowi przestępcy lub szalony, niezarejestrowany badacz mogli wchodzić w grę.

— Chcę dostać się do ComaVarlta — powiedziała Marfy. — On będzie wiedział, jak skontaktować się z ojcem.

— Ale kto... — Blake zdał sobie sprawę, że sam potrafi dać przynajmniej kilka odpowiedzi: Limiterzy, by wywołać skandal, przemytnicy, którzy mogli mieć tu swoją kryjówkę, lub też nielegalny badacz. Być może Marva i pilot śmigłowca natknęli się na coś, czego nie powinni byli widzieć, i zostali zatrzymani, by nie ujawnić odkrycia.

Z kolei pilot twierdził w raporcie, że znaleźli bezpieczne schronienie przed nawałnicą. Chyba więc przypuszczenia Blake'a miały się z prawdą. Ale nie wolno lekceważyć obaw Marfy związanych z utratą telepatycznego kontaktu z siostrą. Tego w porównaniu z odczytem z maszyny nie można sfalszować. Według dziewczyny kontakt urwał się przed nadejściem burzy i przed wiadomością od pilota. A jego własne przeczucia... mógł na nich polegać, nawet jeśli w grę wchodziło jedynie ogólne ostrzeżenie. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby tylko potrafił je dokładnie sprecyzować.

— Kto? — powtórzyła Marfy. Rozprostowała ramię i palce obu dłoni, pokazując brudne od błota paznokcie. — Na oczekaniu mogę podać ci kilka powodów. Ale chcę rozpocząć poszukiwania Marvy natychmiast. — Głos uwiązał jej w gardle.

— W porządku. Możemy wrócić i...

— Strażniku. — Kuttur wychylił się z szoferki kolejnej maszyny i ciężko zeskoczył na ziemię, by podejść do nich przy wejściu do głównego budynku. Ten postawny mężczyzna cały umazany był błotem, które oblepiało nawet jego twarz. Zdjął kaptur i powiedział: — Widziałeś, co stało się z antenami. Co za niekompetencja! Czysta niekompetencja! Trzeba to zgłosić. Weźmiesz ze sobą taśmę z moim nagraniem. Zapewniano mnie o całkowitej współpracy, a co tu mamy? Niekompetencję ze strony tych, od których zależy nasze bezpieczeństwo! A ponadto — obrócił się do Marfy, jakby dopiero teraz ją zauważył — lekkomyślne pogwałcenie rozkazów przez niepoważne młode damy, które nie mają tu nic do roboty! Bez względu na pozwolenie, dziewczyno, natychmiast wracasz na Vroom!

— A Marva? — przenikliwym głosem przerwała mu Marfy.

— Marva też. Jak tylko Garglos wróci do obozu, zostanie wysłana w ślad za tobą. I nie będę więcej musiał borykać się ze skutkami czyjejś głupoty!

— Jak tylko Marva i Garglos wrócą? — upierała się Marfy. — A kiedy to nastąpi, kierownika Kutturze, i skąd mają wrócić?

Wpatrywał się w nią, jakby mówiła od rzeczy.

— Wrócą z lotu patrolowego i to bardzo prędko, chyba że Garglos zlekceważy rozkazy, co nigdy mu się nie zdarza. A co do miejsca, z którego wracają, to jest nim sektor numer jeden, o czym doskonale wiesz.

Marfy zaprzeczyła:

— Marva opuściła ten poziom jeszcze przed nadejściem burzy, na długo przed nią. Kuttur wolno pokręcił głową, otrząsając się ze zdziwienia:

— O czym ty mówisz, dziewczyno? To jakieś bzdury. Sama widziałas swoją siostrę odlatującą helikopterem. Skok międzyczasowy, mówisz? Kompletna bzdura!
— Pokazał na dysk przy pasku. — Odczyt wskazuje, że wszystko z nią w porządku. Czemu opowiadasz te brednie?

— Nie obchodzi mnie, co pokazuje dysk! — sprzeciwiła się Marfy — Straciłam z nią kontakt umysłowy! Marvy nie ma na tym poziomie, a jeśli twoje zabawki wskazują na coś innego, kłamia!

Kuttur aż poczerwieniał na twarzy. Jego ramiona naprężyły się. Uniósł ręce, nieznacznie przebierając palcami.

— Ty! — wybuchnął, wskazując na Blake'a. — Zabieraj ją, zabierz ją stąd natychmiast! Dwie zagrody całkiem zatopione, obie anteny uszkodzone, a teraz jeszcze mam wysłuchiwać tych bredni. To ponad moje siły! Zabieraj ją ze sobą! To nie prośba, ale rozkaz! Nie będę tego więcej słuchał. Jak tylko wróci jej siostra, zostanie natychmiast odesłana na Vroom.

— Kiedy spodziewa się pan helikoptera? — spytał Blake. — Prom jest mały, ale mogę poczekać i zabrać je obie.

— Poczekać? — Kuttur wydał wargi. — Jak mówię, że macie jechać, to nie ma czekania! Potrzebni mi tu technicy, by podnieść z powrotem anteny, nie wiadomo, ile burz nas jeszcze czeka. Niewykluczone, że trzeba będzie budować wszystko od nowa. Co da się ocalić teraz, trzeba ocalić. Lecicie natychmiast!

— Kierownikowi — w drzwiach, za przełożonym, stanął Scylias — Forkus donosi, że od godziny nie ma sygnału z helikoptera. Próbował na krótkich i długich falach.

Przez sekundę lub dwie wydawało się, że Kuttur nie usłyszał swego asystenta. Blake uważnie przyglądał się kierownikowi. Nawet jeśli Kuttur oczekiwał tej wiadomości, nie dał tego po sobie poznać i błyskawicznie przystąpił do działania.

Wydał kilka szybkich poleceń i już po chwili wytoczono nieduży śmigłowiec obserwacyjny. Blake odrzucił nieporęczny płaszcz i wspiał się po schodkach do kabiny, w której za sterami zasiadł sam Kuttur. Kierownik obrzucił strażnika spojrzeniem.

— Co ty...

Blake, świadomy swoich uprawnień w tej sytuacji, zdecydowanie przerwał mu w pół zdania:

— Jestem odpowiedzialny za... — zaczął. Kuttur westchnął:

— Wsiadaj, wsiadaj. Nie ma teraz czasu na recytację praw i obowiązków. Ociągając się i gładząc, możesz przyczynić się do czegoś, czego byś na pewno nie chciał, strażniku!

Blake nie zdążył jeszcze dobrze zamknąć drzwi, a już byli w powietrzu. Kuttur miał ciężką nogę; podrywając maszynę do góry, prawie wyrzucił Blake'a z fotela. Po chwili z ogromną prędkością oddalali się od obozu.

Wydawało się, że Kuttur wie, gdzie ma lecieć. Popękane, skaliste pustkowia szybko przesunęły się pod nimi, gdy wylecieli z doliny. Wyraźnie widać było efekt działania wulkanów i Blake doszedł do wniosku, że przeczesanie tej okolicy na piechotę byłoby niemożliwe. Ale mając do dyspozycji helikopter, mogli zbadać ogromne połacie terenu.

Pod nimi przesunęła się kolejna rzeka, zamknięta w wąwozie o stromych, ostro zakończonych ścianach. Jej wody płynęły spienione na skutek ciągłego uderzania o skały. Wznosili się teraz nad równiną, skąd widać było pozostałe masywy górskie na wschodzie. Kuttur zwolnił, zatoczył koło i w końcu posadził maszynę, która nie osiadła zbyt łagodnie na dość równym podłożu.

Choć wylądowali, Katur niespecjalnie kwapił się do wyjścia. Zamiast tego wychylił się do przodu i przez okno kokpitu obserwował zbocza gór. Blake położył dłoń na klamce, ale nie miał zamiaru wysiadać bez Kutura. Zmysł cały czas go ostrzegał, na tyle łagodnie jednak, że nie było mowy o natychmiastowym niebezpieczeństwie.

— No więc — po chwili przerwał milczenie, gdy Katur wciąż tkwił na swoim miejscu — którądy teraz?

— Tam! — wskazał kierownik. — Helikopter powinien być pod tym występem.

Skalny uskoki mógłby z łatwością pomieścić drugi helikopter taki jak ten, którym tu przylecieli. Jednak kryjówka była pusta. Tylko goła skała, jak wszędzie wokół.

— To niemożliwe. Sam zobacz! — Katur wyciągnął w jego kierunku rękę, w której trzymał osobisty dysk odpięty z paska. — Z odczytu wynika, że są bezpieczni, że wszystko w porządku. Lokator pokazuje to miejsce. A przecież tu nic nie ma!

— Być może już wylecieli w powrotną drogę do obozu — zasugerował Blake.

— Ależ nie — odparł Katur, uderzając pięścią w udo — wracając, nie mieli powodu zbaczać z drogi, a jeśli byliby już w powietrzu, zobaczylibyśmy ich. Poza tym odpowiedzieliby na wezwanie. Tylko nie mów mi, że tak po prostu zapadli się pod ziemię. To niemożliwe!

— To dzikie pustkowia i wysledzić tutaj wrak... — wydusił z siebie Blake.

— Nie włączyła się opcja automatycznego wezwania o pomoc — przerwał mu Katur, potrząsając głową. — One — zaczął, wskazując na dysk — one nie kłamią. Były gwarancją naszego bezpieczeństwa i w naszym Projekcie, i w wielu innych miejscach, gdzie niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku. A ten tutaj pokazuje coś, czego nie możemy zobaczyć. Nic z tego nie rozumiem, zupełnie nic. — Był rozwścieczony do tego stopnia, że wyzbył się właściwej mu arogancji i pewności siebie.

Nie wiedząc sam, czego szuka, Blake wysiadł i podszedł powoli do występu w nadziei, że być może znajdzie tam jakikolwiek ślad po helikopterze. Ulewa pozostawiła w zagłębieniach skał liczne kałuże, z których teraz, pod wpływem słońca, parowała woda. Żadnych śladów. Blake nabrał podejrzeń, że mimo przekonania Kutura to miejsce wcale nie musiało być kryjówką załogi zaginionego helikoptera.

Żeby chociaż niewielka rysa w kamieniu, cokolwiek... Może Marfy miała słuszość, mówiąc, że ktoś użył nielegalnego promu. Taki prom nie potrzebował terminalu, który znajdował się w bazie. Jeżeli pilot miał poprawny kod lotu i wiedział, że będzie miał odpowiednie miejsce do posadzenia promu, mógł lądować wszędzie.

Nisza pod występem była większa, niż wydawało się z promu. Pilot tamtego helikoptera bez trudu wylądowałby w niej nawet w czasie burzy. A to... Blake przykucnął, badając dłonią podłużną rysę. Z pewnością nie jest to naturalne zadrapanie, wygląda też na całkiem świeże. Zatem... można było założyć, że helikopter rzeczywiście tu był. Jeżeli tak, to gdzie znajdował się teraz? Nielegalny prom, jego myśli wciąż powracały do tego założenia, nie byłby na tyle duży, żeby zabrać ze sobą cały helikopter. Chyba że, podpowiadała mu wyobraźnia, był w to zamieszany jakiś handlarz z zewnątrz, który dysponował promem towarowym i prawdopodobnie transportował towary bez wiedzy Vroomu.

— Co to? — Katur pochylił się, by obejrzeć rysę, gdy Blake przeszukiwał resztę kryjówki.

— Znak, że mogli tu być, nic więcej.

— Rzeczywiście. Wiedziałem! Ale gdzie są teraz? Myśl. Garglos nie jest dzieckiem, nie stroi sobie takich żartów. Nie mówi, że zrobi jedno, a robi coś innego. Można na nim polegać. Znam go dobrze. Pracuje dla mnie od lat. Dlaczego go nie ma? Jak to możliwe, że dyski kłamią? — Katur ponownie chwycił urządzenie i

potrzęsnał nim gwałtownie.

— Nie jest dobrze — powiedział, odzyskując panowanie nad sobą. — Nie mamy tu nic więcej do roboty. Drapiąc pazurami w skale, nie znajdziemy odpowiedzi.

— Ma pan detektory osobistych fal? — wtrącił Blake. — Proszę ich użyć.

— Nic innego nie jesteśmy w stanie zrobić. — Kukur przytaknął. — Skoro nie możemy dłużej polegać na urządzeniach, które zawsze ratowały nas w takiej sytuacji... tak, koniecznie musimy użyć generalnego systemu alarmowego. Ale nie mamy wykrywaczy o wysokiej mocy. Trzeba by je sprowadzić z którejś z kwater strażników. A bez anten...

— Ktoś będzie musiał zawieźć wiadomość osobiście — dokończył Blake. — Dobra, proszę mnie zabrać z powrotem do obozu, a zaraz będę gotowy do drogi.

W drodze powrotnej Kukur pogrążony był w myślach, które sądząc po jego zaszepionym obliczu, musiały być wyjątkowo ponure. Odezwał się dopiero, gdy wysiedli ze śmigłowca.

— Wykorzystamy wszelkie dostępne środki do poszukiwań, ale ty, strażniku, nie marnuj czasu. Widziałeś tę krainę, to martwy świat. Jest tu wprawdzie zdarna do picia woda, która pozwala przeżyć, ale nie ma pożywienia, które utrzymałoby człowieka dłużej przy życiu, szczególnie rannego. Bez pomocy nie mają szans.

Nic nie wskazywało na to, by Kukur brał pod uwagę użycie nielegalnego promu. Był teraz skłonny równie mocno uwierzyć w katastrofę helikoptera, jak mocno przedtem odrzucał taką możliwość. Jednak w ocenie Blake'a nic nie trzymało się kupy, na przykład wiadomość od Garglosa, w której donosił, że udało mu się ukryć maszynę, a więc także i pasażerkę, w bezpiecznym miejscu. Jednak wiadomość przysłała już po utracie telepatycznego kontaktu między siostrami... a do tego sygnał alarmowy w głowie Blake'a. Musi, i to jak najszybciej, powiadomić o wszystkim Coma Varlta!

— Nie znaleźliście ich. — To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Marfy czekała na nich przed drzwiami głównego budynku bazy.

Kukur potrząsnął głową:

— Uład — krzyknął ponad nią — weź wykrywacz z łazika, trzeba zamontować go w helikopterze.

Marfy złapała Blake'a za ramię:

— Wykrywacz? — wyszeptwała. — Czy mogli mieć wypadek?

— To możliwe...

— Jestem pewna — Marfy potrząsnęła głową — że Marvy tu nie ma. Wiem to od chwili, w której opuściła ten poziom. Ale w wypadek nie wierzę. Każda rana lub nawet śmierć... poczułabym to od razu! — Wciąż mówiła cicho, jakby chciała, żeby tylko Blake usłyszał jej słowa.

— Nie... Nie znalazłeś jakichś śladów?

— Śladów promu? — On również zniżył głos. — Żaden nielegalny podróżnik nie ma stałej bazy takiej jak ta.

Im dłużej Blake zastanawiał się nad rozumowaniem Marfy, tym bardziej wydawało mu się prawdopodobne. Gdyby myślową więź między siostrami przerwała śmierć, Marfy od razu wiedziałyby, co się stało. Blake nie miał wprawdzie doświadczenia w zakresie łączności telepatycznej, ale wiedział, że taki kontakt, wzmocniony bliskim pokrewieństwem, musiał być wyjątkowo trwały i silny. Gdyby Marva zginęła, Marfy natychmiast by to odczuła i wiedziała, co się wydarzyło.

— Jeśli — pociągnęła go za rękaw — przeniosła się na inny poziom, trzeba powiadomić Coma Varlta. Im szybciej, tym lepiej.

Blake w pełni się z nią zgadzał. Tymczasem Kukur postawił na nogi całą bazę. Wszędzie widać było pośpiech i ruch. Ponieważ anteny zostały uszkodzone,

Blake'owi pozostało tylko jedno — zameldować się w centrali osobiście. Marfy poganiała go, ciągnąc za sobą.

— No, rusz się! — powiedziała niecierpliwie.

Doszli do promu, nie wzbudzając większego zainteresowania. Kod powrotny ustawił się automatycznie jeszcze przed opuszczeniem Vroomu, brano bowiem pod uwagę, że powrót może być dość nagły, spowodowany atakiem, wypadkiem lub koniecznością odtransportowania rannego bądź nieprzytomnego strażnika. Mimo to Blake postępował zgodnie z procedurą. Sprawdził ustawienie kodu, gdy Marfy zapinała się w fotelu obok.

Tak jak się spodziewał, odczyt był bezbłędny. Przesunął wajchę. Promem zatrzęsło gwałtownie i na chwilę ogłuszyło ich, gdy maszyna wchodziła w przejście.

— Ile to potrwa? — zapytała, gdy się do niej odwrócił.

— Godzinę, może dłużej.

Ledwie zdążył to powiedzieć, obraz rozmazał się przed oczami. Zawirowania po raz kolejny wcisnęły go w fotel. Ale przecież to nie mógł być już koniec podróży!

Kabina podrygiwała i kiwała się na boki. Tylko dzięki pasom nie poobijali się o ściany, kiedy prom zaczęło znosić na lewo.

Prom, przechylony pod ostrym kątem, zatrzymał się i niebezpiecznie zatrząsł, gdy Blake próbował się poruszyć. Strażnik spojrział na panel sterowania. Palila się kontrolka sygnalizująca przybycie do innego świata oraz druga, oznaczająca koniec podróży. Poza tym na wyświetlaczu cały czas widniał kod Vroomu.

— Co... co się stało?

— Nie ruszaj się! — rozkazał Blake. Prom kiwał się, jakby balansując na skraju urwiska.

Zachowując najwyższą ostrożność, Blake odpiął pas bezpieczeństwa. Następnie przesunął się nieznacznie do przodu, by włączyć przycisk otwierający okno widokowe, które pozwoliłoby im zobaczyć więcej.

Zieleń! Ściana zieleni tak jaskrawej, że upłynęła chwila, zanim mógł odróżnić poszczególne liście i odłamane gałęzie oparte o szybę. Co się dokładnie stało i gdzie są, tego Blake nie wiedział, ale miał pewność, że nie znajdują się ani w świecie Projektu, ani na żadnej oficjalnej stacji.

Uderzył dłonią w wyświetlacz kodu, na którym uparcie pojawiały się te same znaki. Prom drgnął.

— Znowu... znowu się zsuwamy!

Marfy miała rację. Prom pochylił się i zaczął przesuwac. Blake przywarł do fotela, gdy wehikuł nabrał prędkości.

— Głowa! — krzyknął do swej towarzyszki. — Pochyl się! Nie wiadomo, jak wylądujemy!

Skulił się na miękkim fotelu, jak tylko mógł. Dziewczyna uczyniła to samo. Poczuł ulgę, że nie wpadła w panikę w tak trudnej sytuacji, gdy pewien był tylko jednego: nie wylądowali na żadnej ze stacji.

Uderzenie przy kolejnym lądowaniu nie było tak mocne, jak się obawiał. Prom ustawił się pod mniejszym kątem niż poprzednio i wylądował dosyć miękko, jakby trafił na jakąś elastyczną powierzchnię, która złagodziła upadek. Po raz kolejny Blake wyjrzał przez okno.

Znowu zieleń, ale tym razem widać było również kawałek błękitnego nieba. Strażnik wzięła głęboki oddech i spojrział na dziewczynę. Opuściła ramię, którym się odruchowo zasłoniła, i zamrugła do niego:

— Nie jesteśmy na stacji, takiej prawdziwej stacji, prawda? Ton jej głosu był beznamiętny, jakby dławiała w sobie wszystkie emocje. Twarz ze śladami zaschniętego błota wyrażała napięcie.

— Tego możemy być pewni. — Blake poruszył się na próbę. Prom ani drgnął. Widocznie teraz osiadł już w miarę stabilnie.

— Jak... — zaczęła.

Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem:

— Pojęcia nie mam. Kurs ustawiony jest cały czas... — ponownie uderzył w wyświetlacz — na Vroom.

Wstał, ostrożnie stawiając każdy krok. Wcisnął dwa przyciski i panel podjechał do góry.

Blake zamarł, gdy zobaczył, co jest pod spodem. Kompletna ruina: poplątane kable, instalacje i obwody zniszczone do tego stopnia, że jedynie wyśmienity technik byłby w stanie wszystko naprawić! Ktoś celowo uszkodził najważniejszy element promu — kontroler kursu.

— I nie... nie potrafisz tego naprawić. — Brzmiało to bardziej jak wymówka niż

pytanie.

— Nie. — To była jedyna możliwa odpowiedź. — Wątpię, czy ktokolwiek by to naprawił tutaj, poza warsztatem.

— No to po nas. — Marfy wciąż siedziała na fotelu. Wpiła palce w oparcia tak mocno, że aż zbielały jej kostki.

— Możemy nadać sygnał ratunkowy. — Blake odwrócił się od zrujnowanej instalacji. Chyba że, pomyślał, nadajnik też zniszczono. Oczywiście taki sygnał miał krótki zasięg, być może usłyszą go tylko w Projekcie, co przy uszkodzonych antenach nie dawało im kompletnie nic. Poza tym w bazie nie było promu, a jeśli dodać fakt, że dla planety, na której wylądowali, nie istniał ustalony kod, było jasne, że na pomoc ze strony Projektu nie ma co liczyć. Przy dużym szczęściu ich sygnał może wychwycić jednostka patrolowa przelatująca w pobliżu, pod warunkiem jednak że aparatura nadawcza jest sprawna.

Blake podszedł prosto do panelu z nadajnikiem. Trochę mu to zajęło, ale w końcu zdołał go zdjąć. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, żadnych widocznych uszkodzeń. Trochę uspokojony, nastawił zwykły sygnał ratunkowy.

— Czy ten poziom ma swój kod? — W jej głosie czuć było napięcie. — Bo...

— Bo tak czy inaczej, musimy podać jakieś namiary — powiedział.

Nie odlecieli daleko od poziomu Projektu; świadczył o tym krótki czas ich podróży tutaj. Na końcu tego „czasozakrełu” znajdował się szereg słabo znanych światów. Najbliższym temu miejscu znanym światem był tylko Poziom Lasu. To akurat stanowiło szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż ten świat był wyjątkowo często odwiedzany, jeśli tylko znajdowali się wystarczająco blisko, by ktoś mógł wychwycić ich sygnał.

Nawiązanie kontaktu było dopiero pierwszym krokiem. Przy obecnym stanie aparatury namierzającej nie mogli podać dokładnych współrzędnych, co oznaczało, że eksperci z Centrali będą musieli ustalić ich położenie na głównym planie czasoprzestrzeni na podstawie innych wskazówek. To jednak potrwa. Jak długo? Nawet nie chciał o tym myśleć.

Oczywiście, gdy Blake nie powróci z bazy Projektu w określonym czasie lub nie prześle żadnej wiadomości, wywoła to niepokój. Zostanie wysłana ekspedycja poszukiwawcza, która musi jednak mieć pewne wskazówki, by odnaleźć właściwy świat.

— Co im powiemy? — Marfy wyraźnie myślała o tym samym.

— Podamy typ roślinności, charakterystyczne miejsca, wszystko, co pozwoli ekspertom nas namierzyć — odparł Blake.

To jednak oznaczało, że trzeba opuścić bezpieczną kabinę, rozejrzeć się nieco po okolicy i zarejestrować wszystko, co mogłoby pomóc w identyfikacji tego poziomu, po czym przesłać dane wraz z wezwaniem o pomoc, jeśli w ogóle ktoś je odbierze. Przynajmniej Marfy będzie miała co robić, pilnując źródła ich jedynej nadziei na wydostanie się stąd.

Po ustawieniu kodu sygnału i nastrojeniu go na najszerszą częstotliwość, jaka była możliwa, Blake wytłumaczył dziewczynie, co trzeba zrobić.

— Więc masz zamiar wyjść?

— Musimy wysłać im zdjęcia, jeśli uzyskasz odpowiedź na nasz sygnał. To pomoże w identyfikacji.

Jeśli ktoś odbierze ich sygnał, jeśli uda mu się znaleźć coś charakterystycznego — jeśli, jeśli, jeśli! Blake podszedł do jednej z szafek i wyjął zestaw eksploracyjny.

W jego skład wchodził cienki kombinezon, kaptur i maska. Wszystko to miało chronić przed atakiem insektów, chorobami oraz niewysokim stopniem ewentualnej radiacji. Rejestrator przywiązał tak, by spoczywał mu na piersiach. Zabrał też pistolet

z pociskami usypiającymi.

Marfy przyglądała się Blake'owi w milczeniu, ale gdy położył rękę na klamce, nie wytrzymała:

— A jeśli coś ci się stanie?

— Będę w stałym kontakcie z tobą. — Blake wskazał na dysk przytwierdzony do maski. — Gdy tylko nawiązesz łączność, trzeba przekazać im dane. A poza tym będziesz wszystko słyszała. Uzbrojony — powiedział, wskazując ogłuszacz — nie muszę obawiać się niczego. No to...

— Powodzenia! — Uniosła dłoń.

— Do tej pory szczęście nam sprzyjało. — Uśmiechnął się Blake. — Choć lądowanie było twarde, wyszliśmy z tego w jednym kawałku. Oby tak dalej. Nadawaj sygnał, gdy mnie nie będzie.

Na wszelki wypadek użył podwójnego włazu. Po dokładnym zamknięciu pierwszego obrócił się z trudem w stronę drugiego. Pomieszczenie między włazami było wyjątkowo ciasne, ale podwójne drzwi zapewniały bezpieczeństwo na poziomach o toksycznej atmosferze lub silnym promieniowaniu, gdzie nie można było ryzykować.

Na zewnątrz zobaczył ślady ich lądowania — długą, głęboką bruzdę w czerwonej ziemi, która, oznaczona pozrywanymi liśćmi i gałęziami, pięła się w górę stromego osuwiska. Obejrzał ją uważnie i zaczął dyktować odległości tak dokładnie, jak tylko potrafił. Zmierzenie dystansu między punktem, w którym zatrzymał się prom ostatecznie, a początkowym punktem, miejscem pierwotnego lądowania w tym świecie, mogło mieć ogromne znaczenie dla ustalenia kodu. To była pierwsza informacja, którą powinien podać.

Kopiąc rękoma i nogami w śliskiej ziemi, dotarł na szczyt osuwiska, do miejsca, przez które dostali się na ten poziom. Ze śladów wynikało, że zmaterializowali się na skraju urwiska, po czym prom osunął się do niewielkiego wąwozu. Roślinność na jego dnie zamortyzowała upadek.

W przeciwieństwie do skalistego świata Projektu tutaj królowała roślinność. Klimat był wilgotny i gorący, a świat tętnił życiem. Nad zniszczonym przez spadający prom torfowiskiem unosił się rój olbrzymich, głośno bzyczących owadów. Były tam mieniące się licznymi barwami motyle o dużych, kilkunastocentymetrowych skrzydłach. Inne, mniejsze, poruszały się z głośnym bzyczeniem. Blake uruchomił rejestrator i uzupełniając nagranie własnym komentarzem, starał się uchwycić krajobraz i wszelkie formy życia znajdujące się w zasięgu wzroku. Większą część roślinności stanowiły paprocie, których liście wznosiły się gdzieś na wysokość kilkunastu metrów. Jakiś szkarłatny kształt przemknął pośród listowia. Stworzenie, które musiało sięgać Blake'owi mniej więcej do pasa, poruszało się tak prędko, że nie potrafiłby go opisać. Wydawało mu się jednak, że biegło na dwóch nogach lub łapach. Miejsce, w którym zniknęło, znajdowało się w najbardziej stromej części stoku i Blake nie chciał się tam zapuszczać.

Za szczytem wzniesienia, skąd zsunął się prom, znajdował się gęsto zalesiony pas równego terenu; za nim wznosiły się kolejne wzniesienia ze stromymi urwiskami, całkiem podobne do tych, które otaczały dolinę w świecie Projektu. Blake doszedł do wniosku, że po usunięciu roślinności ukształtowanie terenu przypominałoby opuszczony przez nich skalisty świat. Wąwóz, w którym się znaleźli, mógł stanowić odpowiednik części doliny ze świata Projektu. Nie słychać było tylko szumu morza, a gdy Blake spojrział na zachód, osądził, że biały pas na dalekim horyzoncie stanowiły ciągnące się wzdłuż brzegu plaże.

Znów kątem oka Blake dostrzegł szybki ruch. Odwrócił się, by zobaczyć, gdzie znajduje się ów czerwony stwór. W gąszczu nie drgnął żaden liść, który mógłby

zdradzić kryjące się tam stworzenie. Zmysły ostrzegały go przed niebezpieczeństwem i Blake miał absolutną pewność, że jest obserwowany. Chcą go podejść? Dlaczego? I kto?

Gdyby udało mu się wspiąć na szczyt urwiska, miałby stamtąd lepszy widok. Ale żeby tam dotrzeć, musiał utorować sobie drogę przez gęste zarośla, które na pewno nie były puste. Uważnie przyjrzał się chaszczom, które miał przed sobą, i starał się wybrać najłatwiejsze przejście.

Wciąż nagrywając komentarz i co jakiś czas filmując krajobraz, zbliżył się do sięgających mu do pasa gęstych paproci. Szybko wyciągnął ostry nóż o szerokim i długim na kilkadziesiąt centymetrów ostrzu. Wycinał sobie przejście starannie, układając ścięte liście i gałęzie tak, by widzieć, co znajduje się pod nogami. Cały czas czuł, że jest obserwowany, że w tym miniaturowym lesie paproci coś bez przerwy krąży dookoła, dotrzymując mu kroku.

Nie sądził, by jakiegokolwiek zwierzę było zdolne do takiego zachowania. Z upływem czasu ten zagadkowy nadzór stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Dwukrotnie podkrecał nasłuch, by wychwycić odgłosy ukrywającego się intruza. Słyszał brzęczenie owadów, ostre krzyki gdzieś w oddali, odgłos maczety tnącej listowie oraz szelest ściętych liści pod nogami.

Dojście do podnóża klifu zajęło mu dużo czasu i choć wysiłek był raczej umiarkowany, dotarł tam zupełnie spocony. Choć powierzchnia skał nie była zupełnie gładka, trudniej niż w poprzednim świecie było mu znaleźć oparcie dla nóg i rąk. Blake posuwał się podnóżem zbocza na zachód, szukając najlepszej drogi na górę. W końcu znalazł miejsce, gdzie wspinaczka okazała się możliwa.

Zdjął rękawice i ruszył do góry. Gdy dotarł na szczyt, natknął się na kolejny gąszcz paproci. Łamiąc i tratując rośliny, obszedł to miejsce dookoła, po czym zawrócił, by spojrzeć do tyłu. Wyciągnął lornetkę. Z tej odległości prom wyglądał jak srebrna moneta, spoczywając pod niewielkim nachyleniem w wąwozie, na którego dnie dostrzec można było płynący strumień. Słusznie odgadł obecność oceanu na zachodzie, a lornetka przybliżyła obraz diun rozciągających się wzdłuż linii brzegowej.

Gdy spojrział na południe, zorientował się, że ze wzniesienia, na którym się znajdował, widać było następną dolinę, której dnem płynęła szeroka leniwa rzeka, podobna do tej w świecie Projektu. Wzdłuż jej brzegów widniały łachy mułu. Łachy te... Blake zamarł. Łachy przedzielone były niskimi kamiennymi murkami, które nie mogły być dziełem natury. Nie, wzniesione zostały w konkretnym celu przez istoty inteligentne. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się po obu stronach rzeki.

Co dziwniejsze, mury okalały muliste poletka tylko z trzech stron, zostawiając wolny dostęp do rzeki. Po chwili Blake dokonał kolejnego dziwnego odkrycia. Na każdym z tych ogrodzonych pól — jeśli tak można było je nazwać — od niezabudowanej strony, od rzeki, wznosił się samotny duży głaz. Na głazach stojących najbliżej dostrzegł wzory i linie, które na każdym kamieniu były inne. Przyłożył lornetkę do rejestratora i nagrał ten niecodzienny widok.

Polą, oznaczone głazy, rzeka. Nic innego nie było widać. Ani jednej rośliny na zamulonych poletkach. I jeśli wydzielono je pod uprawę, teraz nic na nich nie rośnie albo dawno temu zostały porzucone.

Na dwóch najbliższych polach, blisko rzeki, znajdowały się utworzone z kamieni i mułu platformy, połączone z rzeką rampami, które zbudowano z ubitej ziemi. Blake spostrzegł przez lornetkę, że woda w rzece zmarszczyła się pod prąd. Coś wynurzało się mozolnie, lecz z ogromnym dostojeństwem. Nad powierzchnią ukazał się potężny łeb, a za nim ociekająca wodą skorupa oświetlona przez popołudniowe słońce.

W ocenie Blake'a żółw musiał mieć około półtora metra średnicy. Skorupa była

wyszukanym deseniem zwojów z przewagą koloru ciemnobrązowego. Nogi pokrywały haski, łeb — wyraźnie widoczne żółte i czerwone wzory. Jednak głowa zwierzęcia była najdziwniejsza. O wiele za duża, by zmieścić się pod skorupą w razie niebezpieczeństwa, uzbrojona była w tarczę przypominającą swym kształtem ostrze włóczni. Jej czubek sterczał nad nosem zwierzęcia, zaś masywny trzon ciągnął się wzdłuż głowy aż do skorupy.

Stwór wspiął się na rampę, a następnie wdrapał na platformę i odwrócił przodem w stronę klifu, na którym znajdował się Blake.

Pole widzenia żółwia musiało być mocno ograniczone, więc Blake nadal prowadził obserwację.

Im dłużej patrzył, tym więcej różnic zauważał pomiędzy tym zwierzęciem a żółwiami, które znał. Ruchy stworza również były dziwne: żółw podniósł raz jedną uzbrojoną w szpony obrzumią nogę do pyska, raz drugą. Zrobił tak dwukrotnie i zamarł w bezruchu.

Spokój nie trwał jednak długo. Z podnóża klifu, na którym znajdował się Blake, wystrzeliły w stronę platformy szkarłatne smugi. Nie dotarły jednak na podwyższenie, lecz skupiły się wokół jego podnóża i z głowami wzniesionymi ku górze i lekko otwartymi szerokimi pyskami obserwowały żółwia.

Przypominały jaszczurki, bo ciała ich chyba nie pokrywały łuski, lecz raczej skóra o mocnym, szkarłatnym odcieniu. Szpiczaste narośle przypominały czuby. Blake cmoknął — jego słowa mogą być mało wiarygodne, ale skoro zostaną poparte nagraniem... Każdy z tych czerwonych wojowników uzbrojony był w ostro zakończoną włócznię!

Chcą zaatakować żółwia? Nie, jaszczurowate wciąż kucaly u stóp platformy. Żółw wyglądał jak generał dokonujący przeglądu wojsk, choć jego żołnierze nie należeli do najlepiej zorganizowanych. Z tego, co Blake mógł zobaczyć, jaszczury nie robiły nic: siedziały i wpatrywały się w platformę.

Po chwili coś jednak zaczęło się dziać. Jeden z jaszczurów odłączył się od kompanii i błyskawicznie ruszył w kierunku doliny, okrążając ogrodzone pola. Mógł to być posłaniec szukający posiłków. Pozostałe stwory nawet nie poruszyły się, by odciąć żółwiowi powrotną drogę do rzeki. Nie próbowały też szturmować platformy.

Nagle jeden z nich zaczął biec w stronę Blake'a. Chwilę później podążyła za nim cała reszta, podczas gdy żółw pozostał nieruchomy na swoim miejscu, nie zwracając uwagi na otoczenie. Nadprzyrodzony zmysł ostrzegł Blake'a. Schował lornetkę i obrócił się w momencie, gdy mała włócznia przecięła powietrze i odbiła się od jego kombinezonu. To był początek deszczu włóczni, który spadł na niego. Widocznie, gdy przyglądał się poczynaniom jednego oddziału, drugi zaatakował go od tyłu.

Choć jego kombinezon skutecznie odpierał ataki, Blake nie miał zamiaru pozostawać tu dłużej. Nie mógł użyć ogłuszacza, gdyż przeciwnicy pokazywali się tylko na moment, by cisnąć włóczniami, i zaraz znikali w gąszczu. Nie był tak powolny jak żółw, ale na pewno o wiele wolniejszy od tych jaszczurowatych wojowników.

— Blake! — Marfy odezwała się po raz pierwszy, odkąd opuścił statek. — Blake! Prom się rusza!

Rzucił się w stronę skraju urwiska. Czyżby maszyna znów się ruszyła, gdy jego nie ma na pokładzie? Może zepsuty koder przerzuci ją do innego świata — jeśli to w ogóle możliwe! Chociaż po tym, co stało się z tak zwanymi niezawodnymi lokatorami, uwierzyłby we wszystko.

— Zmienia poziom? — zapytał, schodząc w dół.

— Nie. Po prostu się porusza. — Jej odpowiedź nieco go uspokoiła. Zatrzymał się, żeby samemu ocenić sytuację.

Marfy miała rację. Prom rzeczywiście poruszał się, mozolnie i skokami, ale sunął

do przodu, w stronę odległego wybrzeża na zachodzie. Kolejna włócznia wylądowała blisko prawej ręki strażnika, zbyt blisko. Blake przyspieszył, chcąc jak najszybciej dotrzeć do dna doliny. W gąszczu słyszał hałasujących napastników, którzy nie zaniechali bezowocnego jak dotąd ataku.

Blake ruszył ścieżką, którą wcześniej z trudem wyrąbał wśród gęstwiny. Jednak wybór okazał się prawie katastrofalny w skutkach, gdyż ścięte liście i gałęzie stanowiły trudną do pokonania barierę. Nim się zorientował, jego stopy oplatało listowie, krępując ruchy. Gdy się uwolnił, spadł na niego grad włóczni, które odbijały się od ubrania ochronnego. Usłyszał gniewne syczenie — bojowy okrzyk wrogów.

Wyskoczył z gęstych zarośli i pobiegł wzdłuż bruzdy wyżłobionej przez opadający prom. Srebrny wahadłowiec poruszał się powoli na zachód i z góry wcale nie było widać dlaczego. Zupełnie jakby ziemia pod promem była w ruchu. Gałęzie przed pojazdem zginały się, łamały i osuwały w dół, oczyszczając drogę, zanim prom zdążył przygnieść je swoim ciężarem.

— Blake! — Głos Marfy rozległ się w słuchawkach.

— Tu jestem, tuż nad tobą...

— Blake, one porozumiewaj ą się telepatycznie...

— Kto? — rzucił odruchowo, zbiegając wzdłuż skarpy, by przeciąć drogę tej dziwnej procesji złożonej z poruszającego się promu i czegoś niewidzialnego, co czyściło przed nim drogę.

— Nie mogę odczytać ich przekazów, zbyt niska częstotliwość. Ale uważają nas za wrogów, których oczekiwali. Strach i nienawiść, tyle mogę wyczuć.

Jeśli włócznie stanowiły najskuteczniejszą broń, jaką dysponowali mieszkańcy tego świata, to nie mieli się czego obawiać.

Więszym niebezpieczeństwem było zbytne oddalenie się promu od miejsca lądowania. Blake podszedł od przodu do przesuwającego się statku, by dokładniej przyjrzeć się sytuacji. W pierwszej chwili wydało mu się, że patrząc z góry, miał rację, że ziemia pod promem obracała się, przewracając krzewy rosnące na jego drodze, by statek mógł swobodnie przejechać. Chwilę później jednak zrozumiał, co dzieje się naprawdę.

Żółwie wodne lub lądowe — Blake wiedział, że jest między nimi jakaś różnica, lecz nie miał pojęcia, na czym polegała — poruszały się pod promem, celowo i z determinacją torując mu drogę swymi masywnymi ciałami. Było ich przynajmniej sześć — potężne, pokryte skorupami stwory, choć nieco mniejsze i różniące się wyglądem od olbrzyma, którego obserwował nad rzeką. Ich skorupy nie miały tyłu słoju, a żółto-brązowe łapy i głowy mniej przegowane.

Gdy prom przesunął się o kolejne kilkadziesiąt centymetrów, strażnik dostrzegł najeżoną kolcami nogę, która wysunęła się spod statku, szukając oparcia. Domyślił się, że statek musiał spoczywać na grzbietach trudnej do ustalenia liczby żółwi.

Te poczynania dowodziły jednej z dwóch rzeczy — dobrego wyszkolenia albo inteligentnego działania. Blake zgodnie z instrukcją był otwarty na niecodzienne sytuacje i zadziwiające widoki, na które można było natknąć się w każdym ze znanych światów. Na tysiącu alternatywnych poziomów ludzie mieli podwładnych, narzędzia lub przyrządy, którzy reprezentowali inne rasy. Czy tak trudno zatem było zaakceptować, że tu używano w podobnych rolach żółwi i jaszczurów? Nie, ale...

Jaszczurowaci byli uzbrojeni, a Marfy wykryła myślową obcą jej umysłowi. I nie był to skutek zabezpieczeń, lecz różnica jakościowa.

Gdy prom wydostał się na otwartą przestrzeń, Blake przykucnął przy pojeździe. Okazało się, że miał rację! Maszyna spoczywała na skorupach żółwi. Jeden z nich wycofał się, a drugi, dotychczas oczyszczający drogę, natychmiast zajął jego miejsce. Wszystko było starannie zorganizowane.

Włócznia uderzyła Blake'a w ramię i opadła na ziemię. Oddział jaszczurów nie próżnował. Teraz jednak, żeby go dostać, musiały się pokazać na otwartym terenie. Blake szybko wystrzelił w kierunku szczupłej sylwetki przeciwnika, który właśnie zamierzył się, by rzucić włócznię. Miał szczęście, strzałka utkwiała w uniesionym ramieniu gada. Zwierzę drgnęło konwulsyjnie i syknąwszy, bezwładnie osunęło się w dół zbocza, gdzie chwycił je Blake.

Momentalnie posypał się nań grad włóczni. Jednak Blake nie zwracał na nie uwagi, zajęty strzelaniem w poruszające się żółwie nogi. Wypuścił dwie strzałki — prom zatrzęsł się i zatrzymał. Nogi, do których celował, schowały się pod skorupę. Jednak, podobnie jak u olbrzyma nad rzeką, głowy tych żółwi były również zbyt duże, by się tam zmieścić. Blake zaczął więc celować w ich gardła i karki. Nie wiedział, ile stworów zaangażowanych było w transport promu, więc strzelał, dopóki nie ustał wszelki ruch. Potem wniósł uśpionego jaszczura do kabiny, żałując, że nie ma ani siły, ani właściwego sprzętu, by przynieść również jednego żółwia.

Razem z Marfy zbadał wiotkie ciało gada. Zwierz, stojąc na dwóch łapach, mógł mieć jakieś sto dwadzieścia centymetrów wzrostu. Ciało rzeczywiście nie pokrywało łuski, ale miękka i gruba skóra. Jej kolor nie był jednolicie szkarłatny, widniały na niej ciemne znaki i skomplikowane wzory. Grzebieniasty czub na głowie był sztywny i twardy w dotyku niczym kość okryta skórą. Nie miał zębów, a jedynie kościste dziąsła, z czego wywnioskowali, że nie był drapieżnikiem.

— Spójrz! — Marfy pochylała się, dotykając tego, co miał zawieszony na karku. Był to rzemyk upleciony ze skręconej trawy lub skóry, na którym zamocowano małą owalną kość. Wryto na niej dwie linie podobne do tych, które Blake widział na głazie przy rzece. Poza tymi szczegółami jeniec wyglądał na dziko żyjące stworzenie.

— Żółwie! — powtórzyła Marfy, gdy Blake opowiedział, w jaki sposób prom poruszał się w nieznanym kierunku.

— Żółwie i uzbrojone jaszczurki. I któż wie, co lub kto za tym wszystkim stoi? — ciągnął Blake. — A co z sygnałem?

— Nastawiony na najszerszą częstotliwość. Zdajesz sobie sprawę, że złamaliśmy pierwszą zasadę?

Pierwsza zasada podróży w czasie: nie ujawniać swojej obecności przed mieszkańcami żadnego z poziomów, chyba że możliwe było narzucenie sfabrykowanych wspomnień.

— Nie po raz pierwszy tak się dzieje — powiedział Blake — a poza tym nie mieliśmy wyboru. Na pewno nie możesz nawiązać z nimi kontaktu? Spróbuj raz jeszcze.

Marfy zamknęła oczy, by lepiej się skoncentrować. Istniała szansa, że jeśli uda im się nawiązać telepatyczny kontakt z wyższą inteligencją, mogą otrzymać pomoc lub przynajmniej zapobiec dalszemu oddaleniu się promu od miejsca lądowania.

Blake obserwował dziewczynę. Choć na twarzy nie było tego widać, wyczuł, jak wiele wysiłku wkładała w te poszukiwania. W końcu otworzyła oczy.

— Nic, kompletnie nic!

— To znaczy, że są poza twoim zasięgiem.

— Nie. Wcześniej mogłam wychwycić słabe sygnały na najniższej częstotliwości, choć były niezrozumiałe. Teraz panuje zupełna cisza. Te stwory przestały nadawać.

Blake odwrócił się do okna. W oddali na wzgórzu widać było szkarłatną plamę — grupę jaszczurów. Nawet teraz, gdy patrzył, ciskały włócznie w stronę promu. Ale statek był unieruchomiony. Żółwie leżały uśpione przynajmniej na kilka godzin.

Żółwie — czy to one mogły być inteligencją, której obecność wychwyciła Marfy?

— Inteligentne żółwie? — wyraził głośno swoje niedowierzanie.

Jednak Marfy nie wyglądała na zaskoczoną:

— Czemu nie? Być może w tym świecie w ogóle nie ma ludzi. Wiele jest takich światów, o których jeszcze nic nie wiemy. Czy nie jest możliwe, że rozwinął się tu inny gatunek, który teraz dominuje nad siłami przyrody? Żółwie są długowieczne. A te tutaj mają nadzwyczaj duże głowy. Może zdolności ich umysłów przewyższają te, którymi dysponują inni przedstawiciele tego gatunku na poziomach zamieszkałych przez ludzi. Należą do wyjątkowo starego gatunku, który żył wśród wielkich gadów, zanim pojawiły się pierwsze ssaki. Blake, to wspaniałe i doniosłe odkrycie. Będziemy sławni!

Jeśli uda nam się zgłosić, pomyślał Blake. A widząc zmianę na jej twarzy, zorientował się, że odgadła jego myśli.

— Żółwie... i mówisz, że wzięły nas za wrogów?

— Być może zmylił je owalny kształt promu. Przypomina dużego żółwia. Może chciały wziąć go do niewoli — zasugerowała.

— Ale co z tymi? — Blake uniósł nieprzytomnego jaszczura. Skóra nie była chłodna jak u innych gadów, ale ciepła i aksamitna.

— Powolne żółwie mogą korzystać z pomocy szybszych stworzeń. Być może to ich pupil, sługa lub towarzysz broni. Co masz zamiar z nim zrobić?

— Sfilmować, a potem wypuścić. Cóż by innego?

Blake ostrożnie ułożył ciało na wysuwanej półce i nastawił rejestrator. Nie mogło się to równać z oględzinami w laboratorium, ale wystarczy, by dać władzom pojęcie, jakiego rodzaju stworzenia zamieszkują ten dotychczas nieznany świat. Gdy skończył, wyszedł na zewnątrz, by położyć nieprzytomnego gada na wyrwanych przez żółwie paprociach. Przyjrzał się wciąż uśpionym żółwiom. Wszystkie zdawały się być w głębokim letargu i Blake miał nadzieję, że nieprędko się obudzą.

Gdy wrócił, zobaczył, że Marfy wyjęła porcjowaną żywność i zaczęła ją rozpakowywać. Zabrał połowę, by część schować z powrotem.

— Przykro mi... — zaczęła, ale przerwała mu, kiwając głową:

— Wiem, musimy postępować ostrożnie. Może rzeczywiście jestem tak nierozważna, jak twierdzi Katur. Chcesz? — Oderwała wieczko z samopodgrzewającej się puszki z napojem pobudzającym. Gdy przytaknął, wzięła parę łyków i podała mu puszkę.

— Myślałam... — Skubnęła odrobinę niesmacznego, ale wyjątkowo pożywnego placka.

— O żółwiach? — zagaił, gdy umilkła. W duchu Blake podziwiał wytrzymałość Marfy Rogan. Bardzo niewiele wiedział o kobietach jej pokroju na Vroomie, ale te, które poznał, zawsze pławiły się w luksusie, troskliwie chronione przez mężczyzn. Przez długi czas po zakończeniu konfliktu atomowego, który zdziesiątkował populację na tym świecie, mężczyzn było nieporównywalnie więcej niż kobiet. Ci, którzy przetrwali, zamieszkali w ukrytych bazach wojskowych albo żyjąc w niewielkich, mieszanych grupach, znaleźli schronienie pod ziemią lub też powędrowali w odległe miejsca na planecie.

Promieniowanie wywołało liczne mutacje u ich potomków, których duża część wymarła. Tym, którzy przeżyli, rozwój zdolności psi pozwolił zarówno na mentalne, jak i fizyczne badania.

Zaraz po ich odkryciu podróże międzyczasowe stały się wyjątkowo popularne, gdyż mężczyźni z Vroomu zaczęli sprowadzać sobie z innych poziomów kobiety, których brakowało w ich rodzimym świecie. Później jednak uznano to za przestępstwo, za które karano czystką umysłową.

Na Vroomie kobiety wielbiono. Zaledwie kilka z nich odbywało podróże w czasie: albo na bezpieczne poziomy wakacyjne, albo jako członkinie wypraw badawczych do światów takich jak poziom Projektu, który niedawno opuścili. Blake nie słyszał nigdy,

by jakakolwiek kobieta odwiedziła zamieszkaną poziom w przebraniu, jak to często robili strażnicy i kupcy. Stąd też był zaskoczony, widząc, jak Marfy szybko przystosowała się do nowej, trudnej sytuacji.

— Myślałam — zaczęła po raz kolejny — o Marvie. Jak udało jej się zmienić poziom? Na pokładzie nielegalnego promu? Czy ona i Garglos mogli natknąć się na taki statek? Ten jałowy świat byłby idealnym miejscem na przestępczą kryjówkę — wypowiedziała głośno to, o czym sam pomyślał.

— Helikopter również zniknął — dodał z zastanowieniem.

— Być może — wtrąciła. — Równie dobrze po porwaniu pasażerów ktoś mógł rzucić go w rzeczny wąż lub podobne miejsce. A później — wyraźnie wahała się, czy to powiedzieć — ktoś mógł namówić Marwę na jakąś szaloną eskapadę.

— O czym ty mówisz?

— Jesteś szczęściarzem, Blake'u Walkerze. — Wpatrywała się w niego płomiennym wzrokiem. Jej zielononiebieskie oczy miały kolor oceanu, jaki pamiętał ze swojego świata. — Nie ma przed tobą zamkniętych drzwi — dodała. — Nikt nie każe ci wysłuchiwać opowieści o wspaniałościach międzyczasowych podróży, by chwilę później zabraniać ci ich! Całe życie słuchałam nagrań i oglądałam je, chłonełam opowieści ludzi takich jak Com Varlt i mój ojciec. Ale czy wolno mi było przekonać się, jak tam jest? Nie!

— Właśnie to robisz — odparł sucho Blake. — W takich okolicznościach wszyscy oprócz wyszkolonych strażników chronieni są przed kłopotami.

— Tak. Znam wszystkie ostrzeżenia i racjonalnie uzasadnione reguły. Kładziono mi je do głowy przez całe lata. Ale założmy, że to mi nie wystarcza: być grzeczną, ale uziemioną córeczką rodziny Stu? Cóż, potrzeba podróży jest czasami tak ogromna, że odczuwam ją jako fizyczny ból. I podobnie jest z Marwą, choć jej te wszystkie zasady i rozkazy nie podobają się jeszcze bardziej niż mnie. Wiele razy udawało mi się ją przekonać, że ich łamanie to głupota. Być może otrzymała propozycję podróży, gdy mnie przy niej nie było?

— Wierzysz, że mogła opuścić świat Projektu dobrowolnie, jeśli zaproponowano jej to jako przygodę?

Wyraz jej twarzy dał mu odpowiedź, która znacznie rozszerzyła wachlarz dopuszczalnych interpretacji. Mając możliwość szybkiego skoku w czasie bez wiedzy przełożonych, Marva mogła się zgodzić i dopiero po ucieczce ze świata Projektu zorientowała się, że jest więźniem. Bardzo prawdopodobne, że znalazła się w rękach jakiegoś przestępcy. Zwykle każda kobieta, która pojawiłaby się w zarejestrowanej stacji obsługiwanej przez zespół strażników, zostałaby natychmiast rozpoznana i aresztowana.

Co innego wytropić nielegalnego podróżnika w czasie, Blake potrząsnął głową. Brał kiedyś udział w szalonym pościgu i wiedział, ile czasu, energii i szczęścia wymagały takie łowy. Bez sprzyjającego losu często nie można było nawet rozpocząć poszukiwania.

— Gdybym chciała zainteresować Marwę na tyle, by przestała myśleć rozważnie — Marfy wpatrywała się w przestrzeń za Blakiem — zaproponowałabym jej świat Z625.

Blake potrząsnął głową. Żaden strażnik nie mógł zapamiętać wszystkich dróg i światów. Przed każdą podróżą otrzymywał dokładne informacje na temat miejsc, które odwiedzi. Blake pamiętał najlepiej te światy, w których okoliczności zmusiły go do działania. Nigdy nie zapomni tych trzech, do których zabrał go prom przestępcy o imieniu Praj. Jednak wszelkie szczegółowe informacje znajdowały się w centrum dowodzenia.

— W zeszłym roku pokazano nam specjalne nagranie o działalności grupy handlowej w tym świecie. Marva wspominała o tym całymi miesiącami. Poziom

Z625, od razu bym wiedziała.

— Ty?

Marfy przytaknęła zdecydowanie:

— Tak. Nie można tam po prostu polecieć i odnaleźć kogoś, jeśli został celowo ukryty. Ale jak tylko dostanę się na poziom, na którym będzie Marva, mogą połączyć się z nią i odnaleźć do niej drogą. Żaden inny człowiek czy maszyna nie potrafi tego dokonać. Będą więc musiała tam polecieć.

Blake nawet nie próbował się z nią spierać. Jeśli chciała spędzić tu czas, snując nierealne plany na przyszłość, to nawet lepiej. Nie docierało do niej, że — uwięzieni na tym poziomie — być może nigdy nie będą mogli zrealizować ani tych, ani żadnych innych zamierzeń. Dla Blake'a było to przerażająco oczywiste.

Podszedł do nadajnika, który wysyłał regularne sygnały z wezwaniem o pomoc. Nie miał pewności, czy zmiana ich położenia — na skutek osunięcia się promu w dół skarpy, a potem przeniesienia statku przez zdeterminowane żółwie — nie była na tyle duża, by uniemożliwić jakikolwiek kontakt. Przez okno widział wzgórze, na którym nie było już jaszczurów. Albo zrezygnowały z ataku na prom, albo przeniosły się w inne miejsce, gdzie nie można było ich zobaczyć. Nie pozostawało teraz nic poza wyczekiwaniem. Na zewnątrz słabnące światło i wydłużone cienie zapowiadały rychłe nadejście zmroku.

Blake rozłożył fotele. Marfy ułożyła się na jednym, ale gdy tylko wyłączył oświetlenie kabiny, natychmiast się poderwała.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Nie ma sensu przyciągać uwagi w ciemnościach — wyjaśnił. Światło padające z okna było jak drogowskaz.

— Ale jeśli nadejdzie pomoc, mogą nas nie zobaczyć.

— Będziemy wiedzieli, jeśli przybędą. Będzie też dość czasu, by zapalić światło.

— Spojrzał na alarm, który miał im w tym pomóc. Wraz z upływającym czasem stopniowo, lecz nieubłaganie malały ich szanse. Jasne, że kierownictwo wyśle patrolowy prom na poziom Projektu. Wtedy statek Blake'a zostanie uznany za zaginiony, jeśli oczywiście nikt nie uszkodzi promu poszukiwawczego.

Co takiego działo się w Projekcie, że popchnęło kogoś z załogi do tak niepojętych czynów? I co to miało wspólnego z córkami Rogana?

Blake mógł wymyślać coraz to nowe powody — z których większość była całkiem niemożliwa — i prawdopodobnie nigdy nie trafić na ten właściwy. Kabina znowu drgnęła. Usłyszał krzyk Marfy.

— Żółwie?

Czy miałyby szansę znowu skutecznie je powstrzymać, strzelając z ogłuszacza w tych ciemnościach jedynie przy świetle latarki? Zrezygnowany, zwlókł się z fotela i wytłumaczył jej, co musi zrobić.

Wyszedł na zewnątrz, w mrok. Ziemia drżała. Dookoła uśpionych żółwi kręciło się mnóstwo nowych. Blake zapalił latarkę. Światło odbijało się w oczach zwierząt. Para ogromnych szczęk zacisnęła się na jego nodze. Twardy materiał ochronny kombinezonu pękł. Bezzębne szczęki z ogromną siłą ścisnęły jego łydkę. Blake wystrzelił. Strzałka utkwiała w żółtawej wardze zwierzęcia. Strażnik zachwiał się. Ból w nodze był potworny i promieniował aż do biodra. Czy kość była tylko złamana, czy też zmiażdżona?

Jakoś udało mu się dotrzeć do wjazdu. Zamknąwszy za sobą drzwi, wpełzł do kabiny.

— Blake! Sygnał! Pomoc nadchodzi! Uniósł się i wsparty o fotel, stanął na nogach.

— Włącz światło w kabinie — wycedził.

Gdy światło zapłonęło, zamrugał oczami i zatoczył się w kierunku panelu

sterowania. Wcisnąć przycisk... Przetawić dźwignię... Włączyć radio...

— X4-67 wzywa X4-39. Czy mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz? — Głos brzmiał metalicznie. Mówić do nich mogła maszyna, nie człowiek, ale to człowiek wysłał wiadomość.

Blake spróbował otrząsnąć się z odrętwienia, jakie powodował ból w nodze. Z trudem wydobył z siebie głos:

— X4-39... słyszę cię. Niezarejestrowany poziom... niezarejestrowany poziom... awaria... prom nieczyny...

— X4-39, słyszę cię dobrze. Wzmocnij sygnał do maksimum. Lądujemy.

— Trudny teren — Blake starał się przekazywać ostrzeżenia w należyтым porządku — osunięcie przy lądowaniu. Atak tubylców. Uwaga na żółwie...

— Żółwie! — usłyszał niedowierzający okrzyk, zanim zdążył ustawić sygnał na ciągły.

— Blake — Marfy przykucnęła przy nim. Odciągnęła strzępy kombinezonu, odsłaniając jego nogę. — Jesteś ranny!

Spojrzał w dół i zobaczył rozorane ciało. A wydawać by się mogło, że nie można gryźć bez zębów, pomyślał.

— Nasi przyjaciele na zewnątrz nie mieli ochoty na drzemkę — powiedział, starając się stłumić ból, który czuł przy każdym, nawet najlżejszym dotyku. — Tak czy siak, najgorsze mamy już za sobą.

A może to dopiero początek? — zaświtała mu w głowie niepokojąca myśl.

Nie mylił się, przypuszczając, że najgorsze czeka ich dopiero po powrocie z przymusowego zesłania do nieznanego świata. Nachodziły go czarne myśli, gdy leżał z obandażowaną nogą na wąskim pościeli. Suchy i prosty wystrój izby chorych odzwierciedlał jego złe przeczucia. Z całą pewnością przyjęcie, które mu zgotowano po powrocie, nie było — o ile pamiętał — zbyt obiecujące. Wiedział nie od dziś, że jakiegokolwiek tłumaczenia nie są mile widziane w zespole i starał się zsumować wszystko, o co może zostać oskarżony.

Przyjęcie na pokład pasażera bez zezwolenia prawdopodobnie otwierałoby listę. Mieli ogromne szczęście, że w ogóle odnaleziono ich w świecie żółwi; w przeciwnym razie wszystko, co zagrażało Marfy Rogan, obciążałoby samego Blake'a. Poza tym to, że z powodu zniszczonych anten nie miał możliwości zapytać o zgodę na zabranie pasażera, nie znaczyło nic w świetle przepisów. To, że prom został celowo uszkodzony, również nie liczyło się w obecnej sytuacji. Przezorny strażnik nie przyjąłby dziewczyny na pokład, nawet jeśli chodziłoby tylko o bezpieczny powrót na Vroom. Co więcej, nie sprawdził dokładnie stanu technicznego promu przed wzięciem pasażera, a na domiar złego nawiązał bezpośredni, wrogi kontakt z mieszkańcami niezbadanego świata. Tak, to były wykroczenia pierwszego stopnia i jeśli oskarżą go o nie wszystkie, tylko przy dużym szczęściu nie zostanie wydalony ze służby!

Rozległo się niedbałe pukanie do drzwi i pojawił się Com Varlt W ręce trzymał dyktafon. Jego dziwne, żółte oczy wyrażały smutek. Z twarzy można było wyczytać, że myślami przebywa gdzie indziej. Przysunął sobie jedyne w tym pokoju krzesło i postawił gotowy do włączenia magnetofon na małym stoliku przy wezglowiu łóżka.

— Sprawozdanie. — Tym słowem włączył rejestrację. Blake zwilżył usta i rozpoczął raport zgodnie ze zwykłą, oficjalną procedurą, której go wyuczono.

— Rutynowe sprawozdanie...

Varlt przerwał mu ostro, wnosząc poprawkę. — Tajny raport. Blake przełknął tę uwagę. A więc to...

— Tajny raport — dodał. — Rutynowy lot do świata Projektu 6471. Agent Blake Walker, młodszy strażnik 7105, prom X-39, pod rozkazami...

Mówił wolno, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół, który mógł mieć jakiegokolwiek znaczenie dla tych, którzy będą potem wnikliwie badać nagranie. Szybko zorientował się, że bardzo dobrze pamięta prawie wszystko. Potrzebował jednak sporo czasu, żeby o tym opowiedzieć. Varlt dwukrotnie zatrzymywał dyktafon, żeby Blake mógł wziąć leki, które pojawiały się w niewielkiej wypustce na stole. Poza tym starszy strażnik nie zadawał żadnych pytań, przysłuchując się jedynie monotonnej litanii suchych faktów przedstawianych przez Blake'a.

Opowiadanie zakończył opisem sceny w kabinie, gdy, nieco oszołomiony bólem, oczekiwał wraz z Marfy na przybycie promu ratunkowego. Zamknął raport urzędową formułą: Zeznane pod przysięgą, Blake Walker, młodszy strażnik 7105.

Varlt wcisnął przycisk szyfrujący i jednocześnie zabezpieczający taśmę do czasu przełożenia jej do innego odtwarzacza, który jako jedyny będzie w stanie ją odczytać. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, a wzrok nadal miał nieobecny.

— Wpuściłeś na pokład pasażera bez zezwolenia — powiedział szybko i niecierpliwie.

— Tak.

— Nawiązałeś bezpośredni kontakt i zaatakowałeś inteligentną formę życia na

innym świecie?

— Tak.

— Zostaniesz oskarżony o te dwa wykroczenia — zabrzmiało to bardzo formalnie, lecz Varlt wciąż nie zbierał się do wyjścia. — Nie masz nic na swoją obronę?

Blake chciał wzruszyć ramionami, ale leżąc na plecach, obandażowany, nie był w stanie tego zrobić.

— Żadnego usprawiedliwienia, sir — odparł, używając urzędowego zwrotu.

— Technicy wykryli rozległe uszkodzenia w X4-39, dokonane celowo i bardzo fachowo. Zostanie to wzięte pod uwagę podczas rozpatrywania twojego przypadku.

Zaraz po wypowiedzeniu tych słów zasłona obojętności i dystansu opadła i Com Varlt znów był sobą.

— Ten raport — powiedział, wskazując dyktafon — jest bardzo wyczerpujący, same fakty. Ale teraz wyjaw mi również swoje przypuszczenia.

Blake spróbował unieść głowę i Varlt pochylił się do przodu, by podnieść mu podgłówek.

— Albo spisek Limiterów, albo przestępca skaczący z poziomu na poziom.

— A sabotaż? Sugerujesz, że istnieją jakieś powiązania między Projektem a tym ewentualnym przestępcą?

— Prędzej już między Projektem a Limiterami. Tylko czemu ci z Projektu mieliby to robić? Jeśli wydany zostanie rozkaz zamknięcia stacji, co się z nimi stanie?

— Tak, to prawdziwa zagadka. Każdy motyw pasuje tylko do części układanki. Jednakże są fakty, na których musimy się oprzeć: Marva Rogan zniknęła, a X4-39 miał nigdy nie powrócić na Vroom. Czy zdajesz sobie sprawę, ile mieliście szczęścia, że was odnaleziono? Wasze szansę były nikłe, mój młody przyjacielu, prawie żadne.

— Wiem. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie uszkodzono również urządzenia alarmowego.

— Próbowano. Dowodzą tego znalezione przez techników ślady na obudowie. Ale albo ktoś miał zbyt mało czasu, w co najbardziej wierzę, albo użyto niewłaściwych narzędzi do otwarcia obudowy. Tyle wiemy: na poziomie Projektu jest ktoś, kto postarał się, byście nigdy nie wrócili na Vroom. Tylko dlaczego? Z powodu Marfy? A może, by mieć pewność, że Projekt zostanie całkowicie odcięty od Vroomu? Może z obu powodów. Prawdopodobnie dowiemy się czegoś więcej, gdy technicy zbadają uszkodzone anteny.

— Anteny?

Varlt skinął głową.

— Tak. Dlaczego zawiodły? Sprawdziliśmy wykresy instalacyjne. Nic złego nie powinno było się stać...

— Chyba że ktoś celowo osadził je w niewłaściwym miejscu — powiedział z trudem Blake.

Noga pulsowała tęnym bólem. Powieki miał ciężkie, a w głowie czuł dokuczliwy ucisk. I nagle przestały go obchodzić wydarzenia na obcej planecie. Nie dbał też o to, co stanie się z nim tutaj. Zamknął oczy, by po chwili otworzyć je z trudem. Varlt wpatrywał się w niego.

Starszy strażnik wstał i podniósł dyktafon.

— Potrzebujesz teraz snu — powiedział. — Nie szukaj na razie rozwiązania tej zagadki. Postaraj się zapomnieć o tym na chwilę.

Blake położył się. Ucisk w głowie zmienił się w ból. Połknął tabletkę zostawioną przez lekarza. Gdy poczuł, jak rozpuszcza się na języku, ponownie zamknął oczy, zdecydowany nie przywoływać raz po raz powracających obrazów — skalistej kryjówki z rysą na podłożu, szkarłatnych jaszczurów ciskających włócznie, oddziału żółwi unoszących dokądś prom. Wszystkie wizje zniknęły, gdy zawładnął nim sen.

Przez dwa kolejne dni Blake posypiał, na przemian budząc się i drzemiąc. Gdy nie spał, był tak zamroczony, że nie mógł logicznie myśleć. Ale trzeciego ranka obudził się ożywiony, niespokojny i całkiem przytomny. Lekarz zapewnił go, że noga goi się dobrze i że powinien zacząć ją ćwiczyć. Zgodnie z zaleceniem używając kul, wyszedł na korytarz i opadł na stojący tam fotel, by podziwiać przez szerokie okno jeden z niezwykle pięknych ogrodów, tak charakterystycznych dla tego poziomu. Utrzymując kontakty z wieloma światami, Vroom był mieszaniną dziwnej architektury, roślinności i dekoracji, miejscem magicznych widoków, dźwięków i zapachów. Rośliny, budynki, rzeźby — miasta Vroomu złożone były z elementów wszystkich innych światów znanych jego mieszkańcom. Ogród tuż przed nim był tego najlepszym przykładem.

Znajdowały się tam drzewiaste paprocie podobne do roślin ze świata żółwi, stanowiące dekorację dla fontanny, która przedstawiała postać skrzydlatego mężczyzny lejącego wodę z rogu. Obok ośmiobocznej sadzawki rosły róże i pachnące kwiaty, których nazwy Blake nie znał. W pobliżu dostrzegł letni domek o kryształowych ścianach ozdobionych metalowym, koronkowym wzorem.

Vroom żył z podróży międzyczasowych. Gdyby Limiterzy osiągnęli swój cel, mieszkańcy zostaliby pozbawieni wielu rzeczy. Konflikt atomowy w przeszłości zniszczył tak ogromną część świata Vroomu, że życie toczyło się jedynie w nielicznych oazach. Co zatem kierowało Limiterami? Co mogliby zaoferować w zamian za ogrom bogactw i towarów, które przywoziły promy? Już teraz wszelkie kontakty poddane były ścisłej kontroli. Zmniejszenie ich liczby o dziewięć dziesiątych, jak tego domagali się Limiterzy, niepomniernie zubożyłoby Vroom, ograniczając rozwój naukowo-techniczny i gospodarczy.

— Blake!

Wyrwany z zamyślenia, spojrzął za siebie.

Marfy Rogan, ubrana nie w kombinezon Projektu, lecz w połyskujący jedwab, szła w jego stronę. Na głowie miała welon, a jej twarz ozdabiały wzory zgodne z najnowszą modą. Za nią podążał wysoki mężczyzna, którego twarz, wyjątkowo jasne włosy i zielononiebieskie oczy były męskim odbiciem jej urody.

Odświętny płaszcz niedbale zarzucił na plecy. Odznaka Stu nie była konieczna, by Blake zorientował się, z kim ma do czynienia. Sięgnął po kule, by wstać, ale Marfy pochwyciła je pierwsza.

— Nie wstawaj — powiedziała z dozą arogancji, którą zauważył przy ich pierwszym spotkaniu. — Ojciec, to jest Blake Walker.

Erc Rogan powitał go zgodnie ze zwyczajem — ręce wysunięte, dłonie opuszczone ze skrzyżowanymi nadgarstkami. Następnie przystawił dwa krzesła, jedno dla siebie, drugie dla córki.

W zespole wszyscy znali Rogana, czasem bliżej dzięki wspólnym wyprawom, z reguły oficjalnie, jako łącznika między strażnikami a Radą Stu. Znane były jego nerwowe ruchy, chaotyczny sposób mówienia. Wiedziano, że bywał na Vroomie raczej rzadko, wciąż zamieszany w niebezpieczne przygody na innych poziomach.

Teraz też nie usiadł wygodnie na krzesło, które sam przystawił, lecz jedynie przysiadł na nim, jakby zaraz miał odejść. Mówił szybko i niecierpliwie.

— Dostałem pełne sprawozdanie z waszej przygody... Zamilkł jedynie na chwilę. Blake nie odparł nic, wiedząc, że jakakolwiek odpowiedź nie jest konieczna. Erc Rogan zaś ciągnął dalej.

— Marfy przedstawiła mi swoją wersję.

Swoją wersją? — zdziwił się Blake. Brzmiało to jak sugestia, że ich opisy różniły się. Spojrzął na dziewczynę. W porównaniu z ojcem wydawała się zupełnie spokojna i odprężona. Na jej ustach błąkał się uśmiech, jak gdyby cała scena ją bawiła.

— Podoba mi się pana udział w całej sprawie, Walker. — Rogan pociągnął za skraj swego urzędowego płaszcza, jakby chciał go z siebie zrzucić. — Dlatego też zażądałem, by przydzielono pana do tej misji. Powiedzieli, że nie ma pan w pełni rozwiniętych zdolności psi. Ale to nie jest konieczne, jeśli pracuje się w zespole. Jeżeli wyrazi pan zgodę...

— Ercu Roganie! — powiedziała głośno Marfy. — Jeszcze mu nic nie wytłumaczyłeś!

Ojciec Marfy na moment zmarszczył brwi, zaraz jednak uśmiechnął się szeroko.

— Jak zwykle jestem w gorącej wodzie kąpany, młody człowieku. Dobrze, już spieszę z wyjaśnieniami. Rozmawiałeś z Comem i wiesz, na czym polega problem. Zaginęła moja córka. Myślę, że zmieniła poziom. Mogła zrobić to dobrowolnie. Nie wiem, czemu jeszcze nie wróciła. Odpowiedzi może być kilka, a każda jest prawdopodobna. Trzeba ją — zawahał się na moment, po czym użył słowa, które w normalnych warunkach nie uwypuklałoby problemu, gdyby nie ton, jakim je powiedział — koniecznie odnaleźć. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, przypomina szukanie igły w stogu siana. Utrzymujemy kontakty z ponad tysiącem światów. Na niektórych mamy stałe placówki. Inne odwiedzamy sporadycznie. Wiemy, że Marva nie pojawiła się na żadnej z legalnych stacji. Reasumując, mamy tylko jeden ślad, tak nikły i nietrwały jak pajęczna sieć. Marfy wie, że jej siostra zafascynowana była światem Z625. Istnieje szansa, tak jednak niewielka, że nie chcę wiązać z nią jakichkolwiek nadziei, iż została tam zabrana prawdopodobnie pod pretekstem wizyty...

— Ale porywacze, kimkolwiek są — wtrącił Blake — mogli podać taki cel, po czym polecić gdziekolwiek.

— Absolutnie tak. — Erc Rogan gwałtownym szarpnięciem poluzował płaszcz, który zsunął mu się z ramion. — Ale to wszystko, co mamy. I tego musimy się trzymać.

— A Projekt... a odnalezienie tego, kto uszkodził prom?

— Zespół strażników pracuje tam, szukając dowodów. Ale jeśli Marva znajduje się w rękach jakiegoś nielegalnego podróżnika — sam nie wiem, co każe mi trzymać się tego planu — musimy spróbować. Jeśli Marva jest na Z625, Marfy dowie się o tym natychmiast. A gdy już będziemy mieli pewność, można będzie podjąć kolejne kroki.

— Marfy? — spytał Blake, patrząc na dziewczynę.

— Dowiem się, czy Marva tam jest. Dlatego mój udział w wyprawie jest konieczny, Blake'u Walkerze. Znam zasady, ale w tym jednym wypadku trzeba będzie je złamać,

— To nie podlega żadnej dyskusji — przerwał córce Rogan. — Marfy jest tu niezastąpiona. Nie jesteśmy w stanie przeszukać całego świata, a ona w kilka zaledwie godzin powie nam, czy Marva tam jest. Złamiemy zatem jedną z podstawowych zasad i pozwolimy jej lecieć z nami. Będę musiał się z tego wytłumaczyć, gdy już polecicie, ale nie zamierzam ryzykować utraty córki z powodu jakichś przepisów. Marfy wychowała się wśród raportów i sprawozdań strażników. Sama odbyła też podróże do wszystkich światów, do których wolno podróżować kobietom. Ma już pewne doświadczenie na tym polu. Oczywiście, dopóki nie wróci, nikt nie będzie wiedział o jej podróży!

— Dobrze. — Blake czuł, że choć go do tego zmuszono, nie miał zamiaru rezygnować z wyprawy. Rogan musiał wiedzieć o oskarżeniach, które wisały nad Blakiem. Kolejna misja może zaważyć na jego karierze, pod warunkiem, że zakończy się sukcesem.

Rogan wstał, ciągnąc swój płaszcz po podłodze.

— Marfy — powiedział, zmierzając do drzwi — rozkazałem, by dano wam

nagrania informacyjne. Podzielisz się nimi z Walkerem. Lekarz twierdzi, że w ciągu trzech dni będzie pan gotów do drogi. Szkolenie zajmie około sześciu dni, ale jeśli zaczniesz...

Marfy pomachała mu, mówiąc:

— Już zaczynamy, ojcze. Nie martw się o to.

Blake nie był pewien, czy Rogan usłyszał jej słowa, gdyż zniknął w drzwiach, nim zdążyła dokończyć.

— No to dopięłaś swego! — Blake sam nie był pewien swych odczuć: irytacja, zdziwienie jej spokojem, podejrzenie, że dziewczyna traktuje misję jak fajną przygodę, nie dbając o jej cel.

— No to dopięłam swego? — zmieniła jego słowa w pytanie.

— Brak zdolności telepatycznych, Blake'u Walkerze, musi czasem czynić umysł człowieka tak koślawym i obolałym jak teraz twoje ciało. Żądasz wyjaśnień tam, gdzie inni nie potrzebują słów. I ponieważ jesteś dla mnie jak twardy mur, którego nie mogę przebić własnym umysłem, muszę polegać na twoich słowach i z tonu głosu wnioskować, co myślisz i czujesz. A teraz odnoszę wrażenie, że zastanawiasz się, czy Marfy Rogan nie postrzega tej podróży bardziej jako ciekawej przygody niż wyprawy, której celem jest ocalenie siostry.

Blake zaczerwienił się. Choć jego umysł, tak jak stwierdziła, był odporny na wszelką telepatię, wciąż czytała z jego zachowań i słów jak z otwartej książki.

— Nie znasz ani mnie, ani Marvy i dlatego nie jestem teraz zła. — Jej głos był chłodny i jednocześnie zdradzał rozbawienie.

— Ale bez Marvy jestem jak okaleczona. Nie mam w zwyczaju łkać, działać po wariacku bez konkretnej przyczyny. Być może przez pierwszych kilka godzin, gdy straciłam z nią kontakt, zawałdła mną strach. Ale jeżeli ten strach nie jest jedynie wytworem wyobraźni i utrzymuje się stale, można nauczyć się z nim żyć i uczynić z niego bodziec zachęcający do działania.

Gdybym miała tu pozostać bezczynna, wtedy naprawdę bym się bała, być może groziłoby mi nawet załamanie. Ale teraz zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ocalić Marwę, i temu poświęcę całą moją energię. I nie wydaje mi się, abyś ty lub ktokolwiek inny, kto do nas dołączy, odczuł, że jestem tylko zawadą. Czy możemy już zacząć?

Marfy wyjęła z torby przy pasie odtwarzacz, małą i kosztowną zabawkę, która, jak zauważył Blake, była najlepszą z dostępnych. Przysunęła swoje krzesło bliżej niego i położyła urządzenie na kolanach. Spod pokrywy wyjęła dwie małe słuchawki. Jedną podała Blake'owi, drugą zamocowała pod wymyślną fryzurę. Gdy Blake skinął, wcisnęła przycisk i rozpoczęło się odtwarzanie.

Później przyjdzie czas na filmy, zdjęcia, na solidne i szczegółowe przeszkolenie, które zostanie przeprowadzone po większej części w stanie hipnozy. Teraz zaledwie uczynili wstęp, pierwszy krok na drodze do poznania świata Z625.

Wcześniej, w przeszłości, świat ten stanowił jedność z tym, który Blake uważał za swój dom. Później jednak zaszły ważne wydarzenia, które nadały mu inną historię.

Pierwsze miało miejsce w 1485 roku. Od tego czasu Henry Tudor nie rządził już Anglią. Odważna szarża na siły wroga w bitwie pod Bosworth sprawiła, że Ryszard III własnoręcznie zakończył historię rodu Czerwonej Róży i pozbył się pretendenta do tronu ze strony Lancasterów.

Gdy już umocnił swoją pozycję na tronie, Ryszard rozwinął zdolności, które doceniali historycy w świecie Blake'a i których na tym właśnie świecie nie udało się Ryszardowi nigdy wykorzystać. A na świecie Z625 stał się jednym z najzdolniejszych władców rodu Plantagenetów. Małżeństwo ze szkocką księżniczką dwa lata po bitwie pod Bosworth zapewniło następcę tronu i bezpieczną granicę. A Plantagenetowie rządzili Anglią przez kolejne sto pięćdziesiąt lat. Potężny rozkwit, który nastąpił w

Anglii świata Blake'a za czasów Elżbiety Tudor, na Z625 zaczął się o pokolenie wcześniej pod rządami Ryszarda, a potem jego następców.

Zawsze świadom ważnej roli handlu, Ryszard wspomagał kupców bristolskich, którzy wyszukiwali nowe rynki zbytu. Jedną z ekspedycji podróżujących do Islandii wysłała dwa okręty dalej niż inne, na nieznaną zachód, o którym opowiadali Skandynawowie, i w ten sposób w 1505 roku założono pierwszą placówkę handlową na kontynencie amerykańskim.

Drugie istotne wydarzenie, które zmieniło historię znaną Blake'owi, miało miejsce w 1520 roku. Cortez, wyparty przez oddziały Azteków z Meksyku, walczył desperacko w ostatniej bitwie w pobliżu wioski Otumba. Jednak tym razem poległ trafiony aztecką strzałą, a jego zdemoralizowani i zdziśnięci podczas odwrotu spod Noche Triste żołnierze w większości wyzionęli ducha na spływających krwią ołtarzach ku czci dziwnych bogów, pozostawiając Quauhtemoca panem tej krainy.

Za angielskimi kupcami podążyli do Ameryki angielscy rybacy, grabiąc wody przybrzeżne z ich naturalnych bogactw. Później koloniści zajęli tereny wzdłuż Oceanu Atlantyckiego, by w końcu założyć państwo o nazwie Nowa Brytania, które teraz znajdowało się jedynie pod symbolicznym wpływem Anglii.

Hiszpania, pozbawiona złota Meksyku i Peru, trzymała się kurczowo kilku kolonii w zachodnich Indiach, dopóki jej król, uwikłany w walkę o władzę na kontynencie, nie odmówił wysłania pomocy zamorskim podwładnym, co ostatecznie spowodowało, że hiszpańskie imperium zamorskie stało się jedynie kruchym marzeniem, którego koniec był równie szybki jak początek.

Aztekowie po pokonaniu hiszpańskich najeźdźców napotkali kolejne problemy we własnym kraju. Religia, wciąż żądająca nowych ofiar dla nienasyconych krwią bogów, doprowadziła do tego, że wśród podbitych narodów zawiązały się sojusze przeciwko Aztekom. Po serii międzyplemiennych walk narody te również zostały pokonane, a ci, którzy przeżyli, uciekli na pomoc, na tereny, które w świecie Blake'a zajmowały Stany Zjednoczone. Hiszpanie z wysp, poszukiwacze przygód z oceanu i sąsiedzi z Nowej Brytanii łowili ryby w tych niespokojnych wodach i udzielali swego poparcia najpierw jednej, potem drugiej stronie konfliktu.

Ale do 1560 roku niejasna sytuacja uległa gwałtownej zmianie. Jeden z przywódców, którzy czasami buntowali się w okresie narodowych rozruchów, doszedł do władzy w Ameryce Środkowej, odświeżając legendy o „białym bogu”. Pochodzenia tego władcy nie udało się ustalić, lecz rządy przez niego sprawowane odcisnęły takie piętno na tej ziemi, że jego dwaj następcy oraz ich potomkowie zdołali zjednoczyć kilka prowincji i stworzyć imperium, jakiego nie znali nawet azteccy władcy. Pod tymi rządami kupcy Majów ruszyli na północ. Kolonie podporządkowano nowemu państwu i obszary na południowy zachód od rzeki Missisipi stopniowo stały się częścią nowego imperium.

Nowa Brytania i imperium starły się w dwóch wojnach, z których żadna nie przyniosła rozstrzygnięcia. Od piętnastu lat trwał tam okres pokoju lub raczej zbrojnej neutralności. Od tego czasu imperium miało problemy na północy oraz zatargi z rosyjskimi osadnikami na zachodzie. Rzeka Missisipi stanowiła naturalną granicę między dwoma narodami i dwiema jakże różnymi kulturami...

Był to tylko zarys historii tego świata. Blake wiedział, że będą musieli nauczyć się jeszcze bardzo wielu rzeczy, zanim sami się tam znajdą.

William Campden, urodzony w New Sussex, w posiadłości Gildenthorp; terminował u Gilesa Gofortha; kupiec z zachodu, akredytowany do portu w Ackrone. Mój ojciec jest właścicielem ziemskim z ramienia Bradbury, ja jestem jego trzecim synem. Mój brat Rufus jest komandorem Nowobrytyjskiej Floty, Cadwalder — spekulantem handlowym w Chinach, Richard — dziedzicem ojca i zarządcą jego majątku...

Strażnik nie musiał wywoływać tych informacji z pamięci, miał niemal instynktowną ich świadomość tak dalece, że wydawało się, iż — niejako automatycznie — nowa tożsamość zajmuje miejsce Blake’a Walkera. Poczł się dziwnie. Był poniekąd dwiema osobami naraz i jednocześnie odnosił wrażenie, że nie zna dobrze ani jednej, ani drugiej.

W kwaterze głównej wszystko zostało podporządkowane szkoleniu, którego celem było między innymi wykształcenie u Blake’a tej dwoistości. Niełatwo poddawał się hipnozie, w końcu jednak po wielu próbach szkoleniowcom udało się w podświadomości strażnika zakorzenić Williama Campdena i jego biografię na tyle dobrze, że spełniało to rygorystyczne wymogi Vroomu. W ten sposób wraz z życiorysem Williama i historią jego czasów Blake otrzymał wszystkie niezbędne informacje, które pomogą mu uniknąć zdemaskowania.

— Wiele okoliczności przemawia na waszą korzyść — powiedział Varlt. — Zimna wojna pomiędzy Imperium Tolteckim i Nową Brytanią mocno ogranicza podróże cudzoziemców między miastami w obu krajach. Dawniej Aztekowie wykorzystywali swoich kupców jako prowokatorów. Przed właściwym podbojem wysyłali ich na tereny innych państw, by wzniecali rozruchy, które z kolei stanowiły doskonały pretekst do militarnej interwencji. Tak naprawdę *pochteca*, czyli kupcy, byli po prostu żołnierzami w przebraniu. Z drugiej strony sposób życia w prowincjach Majów był bardziej handlowy niż wojskowy. Ich arystokracja składała się głównie z kupców, którzy zazdrośnie strzegli praw do handlu między prowincjami. Po jednoczących państwo wojnach Kukulcan II faworyzował kastę kupiecką obu narodów. Taka polityka osłabiła władzę lordów—dowódców wojskowych, którzy mogliby wzniecić bunt, oraz stopniowo uszczupliła możliwości kapłaństwa, którego reputacja została nadszarpnięta już wcześniej szeregiem „cudów” wykorzystanych przez Kukulcana do zdobycia władzy.

W czasie ostatniej wojny Nowa Brytania zyskała taką przewagę, że wymogła zawarcie gospodarczego pokoju z Imperium Tolteckim. Od tej pory po obu stronach granicy gorączkowo gromadzono siły, choć cały czas trwała między państwami wymiana handlowa. Toltec miał problemy z osadnikami na północnej granicy i z Rosjanami w Kalifornii. W czasie długiego okresu niepełnoletności obecnego cesarza, Mayatzina, stopniowo narastał konflikt między kupcami a garstką starej, wojennej arystokracji, która mogła odzyskać władzę jedynie podczas wojny. Chodziły również słuchy, że odświeżono potajemnie kult Huitzilopochtli, starego boga Azteków. Dlatego też kroczyć będziemy bardzo wąską ścieżką i musimy pewnie stawiać stopy.

Drużyna miała zatem udać się do świata Z625, żywiąc nikłe nadzieje, że odnajdzie tam cel swej podróży. Blake spojrzł na to, co leżało przed nim na stole. Rzadka uroda tych przedmiotów przykułaby uwagę każdego. Nawet w jego świetle zachwycono się ozdobami z Meksyku, które później służyły jedynie Karolowi V, królowi Hiszpanii, jako źródło pieniędzy potrzebnych na opłacenie wojen. Przed Blakiem leżały kolczyki i naszyjnik znalezione w tajnej skrytce Marvy Rogan, idealne

podróbki oryginalnych wyrobów, oczyszczone i wypolerowane.

Nawet Marfy zobaczyła je po raz pierwszy, gdy przetrząsała osobiste rzeczy siostry, szukając jakiegoś śladu lub wskazówki. Klejnoty, jak ustalono, pochodziły z Toltecu. Podczas gdy Eric Rogan sprawdzał wszystkie kontakty Marvy w ciągu ostatnich miesięcy, próbując znaleźć jakiegokolwiek połączenie między Z625 i jego domem, Marfy wyciszyła się i zamknęła w sobie. Kiedy odkryła, że relacje między nią a siostrą nie były do końca szczere, bardzo ją to zabolowało.

Ze sterylnego skalistego świata nadszedł niepokojący raport. W rzece odnaleziono wrak zaginionego helikoptera. Marfy i Rogan pozornie zaakceptowali ten fakt jako kończący ich poszukiwania, ale żadne z nich nie wierzyło, że Marva rzeczywiście zginęła.

Blake niecierpliwie podciągnął swój nowy płaszcz. Mieszkańcy Nowej Brytanii nie wyzbyli się umiłowania do kolorów, jak uczynili to ludzie jego świata, akceptując monotonię epoki późno wiktoriańskiej. Blake miał teraz na sobie obcisłe, ciemnozielone spodnie, wzorzystą, granatową koszulę z żabotem oraz luźny płaszcz o szerokich rękawach, wykonany z cienkich kawałków futra. Płaszcz spięty był przy szyi złotą klamrą.

Pomimo ekstrawaganckiego ubioru Nowobrytyjczycy byli praktycznymi handlowcami. Byli również nowoczesni, jeśli chodzi o przemysł. Do transportu używali przede wszystkim napędzanych elektrycznie pojazdów. Używano jednak również powozów konnych jako symbolu pozycji społecznej. Podróże powietrzne ograniczono tylko do krótkich lotów, głównie o charakterze wojskowym. Bariery soniczne, wynalezione przed dwudziestu laty, całkowicie wykluczyły możliwość lotów przez granicę dzielącą oba państwa.

Jako kupiec, William Campden nie miał żadnej podręcznej broni, choć jego bracia zwykli niekiedy nosić krótkie, ceremonialne miecze. Dlatego pas, który miał na sobie, był zaopatrzony jedynie w klamrę z herbem rodu określającym status społeczny właściciela. Umiejętność rozpoznawania herbów na takich klamrach była częścią szkolenia, które przeszedł.

— Walker? — Varlt stanął w drzwiach. Ubrany był podobnie jak Blake, z tym że przeważały u niego kolory niebieski i żółty. Jego futrzany kołnierz był szerszy, a wzory na ubraniu bardziej wyszukane. Zwyczajem starszych rangą kupców do pasa przypięty miał miecz, a klamra przy pasku podkreślała przynależność do zamożnego rodu. — Jesteśmy gotowi.

Nowy zespół składał się ze starych towarzyszy broni. Jednym z członków wyprawy był Pague Lo Sige, którego Blake poznał jako Stana Erskina w czasie pamiętnego pościgu za przestępcami międzyczasowymi. Teraz wydawał się nieco bledszy i niepozorny w obszernych kupieckich szatach.

Marfy stała nieco z boku. Kusa spódniczka ledwo sięgała do kolan; na nogach miała pończochy ozdobione wzorami ze srebrnej nici. Jej ubranie, poza tarczą herbową na klamrze paska, nie miało żadnych ozdób. Na wierzch narzuciła ciemnoszary płaszcz o szerokich rękawach. Wyglądała dość osobliwie: od góry szara monotonia, niżej kontrastujące z nią bogactwo wzorów. Jej długie włosy zostały ostrzyżone niemal tak krótko jak u mężczyzny. Niektóre kosmyki ufarbowano na rudawy kolor, co nadawało fryzurze specyficzny, łaciaty wygląd — szczyt mody w Nowej Brytanii.

Był z nią Eric Rogan. Trzymał ją za ramię, jakby dopiero w ostatniej chwili przed odlotem zdał sobie sprawę z ryzyka. Ale gdy wsiadali do promu, wyglądał na spokojnego.

Vroom miał placówkę w świetle Z625. Nic nie pozostawiono przypadkowi, a prom został dokładnie sprawdzony tuż przed odlotem. Blake nie mógł jednak

opanować drobnego niepokoju, gdy poczuł dobrze znany zawrót głowy. Podświadomie oczekiwał kłopotów. Zdenerwowało go, gdy się na tym przyłapał. Czy zawsze, podróżując w czasie, będzie się czuł tak niepewnie?

W kabinie panowało milczenie. Być może inni również, podobnie jak Blake, spędzali czas, powtarzając wyuczone informacje i upewniając się, że dobrze zapamiętali fakty z życia Williama Campdena, Geoffreya Wamsteda, jego kuzynki Ann Warasted i Matthew Lightfoota.

Sygnał ostrzegawczy sprawił, że mocniej wcisnęli się w fotele. Start. Zmaterializowali się w niewidocznej dla innych części składu handlowego. W dowództwie zaplanowano, że przybędą w nocy; tylko pojedyncze światła wyznaczały im drogę pomiędzy belami materiału i skrzyniami. Zmierzali w kierunku światła nad drzwiami magazynu. Varlt zatrzymał prom i ostrożnie otworzył właz.

Na zewnątrz znajdował się odgradzony ścianami i wybrukowany dziedziniec, gdzie czekał na nich pojazd do przewozu towarów. Varlt i Blake zajęli miejsca z przodu, Marfy i Lo Sige usiedli z tyłu. Varlt, który znał teren i przez długi czas jeździł podobnymi furgonetkami, usiadł za kierownicą. Wyjechał przez bramę magazynu i prowadził pojazd labiryntem ulic oświetlonych lampami rozstawionymi równo jak las kolumn. Budynki, które mijali, do wysokości czwartego, piątego piętra zbudowane były z kamienia i betonu, wyżej — prawdopodobnie z drewna. Choć nie dostrzegali szyldów, handlowy charakter poszczególnych budynków zdradzały wymyślne, ozdobne lampy, które rzucały na fasady kolorowe światła.

— To tu. — Varlt skręcił w bramę i wjechali na podwórze równie słabo oświetlone jak przestrzeń dookoła magazynu.

Razem weszli do budynku. W czasie jazdy po mieście widzieli tylko kilku mieszkańców, i to samych mężczyzn. W przygranicznym mieście ściśle przestrzegano przepisów bezpieczeństwa i na stałe mieszało tu bardzo niewiele kobiet.

Wewnątrz czekał na nich mężczyzna solidnej budowy, ubrany w strój starszego rangą kupca. Stalowszara szpiczasta broda przydawała mu szacunku i godności. Roger Arshalm, angielski kupiec z Londynu, nie był ani kupcem, ani londyńczykiem, choć całe Port Ackrone za takiego go uważało.

W kilku niechętnych słowach, które dla Blake'a zupełnie nie brzmiały jak powitanie, zaprosił ich na górę, na wykończone w drewnie wyższe piętra, gdzie mieszkali kupcy, ich rodziny i pomocnicy.

Arshalm zdjął płaszcz i zapraszającym gestem wskazał na stół. Czekają tam na nich wino w pięknie zdobionych pucharach oraz talerze pełne owoców, ciastek i chleba posmarowanego czymś, czego Blake nie potrafił nazwać, ale co pachniało bardzo apetycznie.

— To szaleństwo — powiedział Arshalm bez ogródek. — Ty, pani — wskazał na Marfy — jesteś tu zagrożeniem. W mieście przebywa tak mało kobiet, że każda jest dobrze znana, łącznie z historią jej rodu do trzech pokoleń wstecz. Gdy ujawni pani swoją obecność, wywoła to komentarze i podejrzenia, które mogą nas zdemaskować. — A co do was — tu zwrócił się do reszty drużyny — waszą obecność zdołam jakoś wytłumaczyć, chociaż w pobliżu rzeki panuje napięta sytuacja i możecie zostać wydaleny z imperium tak, jak stoicie, kaprysem któregoś z lordów...

— Czy to prawda? — przerwał Varlt. — Istotnie zawisły nad nami czarne chmury?

— Tak, to prawda. W tym kraju zawsze coś wisi w powietrzu, w każdej chwili może spaść niczym grom z jasnego nieba!

— Jakie są przyczyny tej sytuacji? Arshalm wznosił ręce ku górze:

— Przyczyny? Stare jak świat. Kupcy pragną pokoju, a lordowie wojny, która osłabiłaby kupiecką władzę. Poza tym są uporczywe plotki o dzikich obrzędach na granicy i w mniej strzeżonych miejscach. Coraz częściej pojawiają się wzmianki o

powtórny nadejściu Huitzilopochtli. Długi okres niepełnoletności władcy nie wpływa stabilizująco na stan państwa. Niejeden lord chętnie widziałby siebie w królewskich szatach.

— Ale przecież wszystko to trwa już od lat...

— I sytuacja stopniowo staje się coraz gorsza. Zostało już niewiele czasu i lordowie rozzuchwalili się tak jak przed powstaniem w 1912 roku. Gdzie i kiedy mogą, przywołują do życia dawno zapomniane prawa. Przywileje zagranicznych kupców zostały drastycznie ograniczone. Wolno im wychodzić z domów tylko za okazaniem przepustki i pod strażą — dla ich własnego dobra, oczywiście. Mieszkańcy odnoszą się wrogo do cudzoziemców, co doprowadziło już do zamieszek. Kilka starannie zaplanowanych incydentów i będą mieli pretekst, by wywalić wszystkich zagranicznych kupców...

— A co Nowa Brytania na to?

— W najbliższym czasie rząd nie wykona żadnych ruchów. Ale jeśli wzrośnie społeczne niezadowolenie, ugodowcy mogą stracić władzę, którą przejmie Partia Królewska. Wicekról kroczy bardzo wąską ścieżką i trudno mu będzie utrzymać pokój. Może jedynie doradzać, a nie wydawać rozkazy. Zostało to ustalone specjalnym aktem z 1810 roku.

— Jeśli więc nie znajdziecie tego, czego szukacie w Nowej Brytanii... — zaczął Arshalm, gdy nagle Marfy wykonała gwałtowny, niekontrolowany gest, przewracając kielich i oblewając obrus winem.

Nawet nie zwróciła uwagi na rozlane wino. Obróciła głowę jakby wbrew swej woli, niczym stal przyciągana przez magnes. Obserwowano ją ze zdumieniem.

Z wciąż przekrzywioną głową wstała z krzesła. Powoli odwróciła się i ruszyła z szeroko otwartymi oczami w stronę ściennego dywanu. Jej ręce badały materiał i rozdzieliły go, odsłaniając okno. Dłonie powędrowały do zamknięcia i zaczęły otwierać zamek.

Pierwszy poruszył się Varlt, pokonał kilkoma susami odległość dzielącą go od dziewczyny, odsunął jej ręce i otworzył okno. Do środka wtargnęło chłodne, nocne powietrze, a wraz z nim szum wody i wilgoć. W oddali majaczyły światła lamp. Varlt delikatnie objął Marfy w geście wyrażającym jednocześnie poparcie i ochronę.

— Marfy — powiedział kojącym głosem.

Marfy poddała się jego uściskowi, ale nie odwróciła głowy, wciąż wpatrując się w noc. Jej ciało przeszył dreszcz, zupełnie jakby ocknęła się nagle w lodowatej wodzie. Obróciła się i przywarła do Varlta, napięta i wyczerpana.

— Miałam rację — powiedziała słabym, cichym głosem, ale wszyscy ją usłyszeli, bo nadal panowała cisza — Marva tu jest!

— Możesz ustalić gdzie? — Głos Varlta był delikatny jak jego uścisk.

— Gdzie leży Xomatl? — zapytała.

Arshalm wykonał ruch równie niekontrolowany jak poprzednio Marfy. Varlt spojrział na niego ponad głową dziewczyny.

— W imperium, na południu, to jedno z podbitych miast. Jeśli ona naprawdę tam jest... — Potrząsnął głową.

— Nowa Brytania nie ma tam żadnych kontaktów? — zapytał Varlt.

— Co drugi miesiąc wyrusza do Xomatl karawana pod eskortą i ścisłym nadzorem. Przynajmniej tak było do tej pory. Nikt nie wie, co będzie teraz. Ale listy uwierzytelniające kupców tej karawany są praktycznie nie do zdobycia. Te same rodziny jeżdżą tam od pokoleń. Nawet jeśli kolejna karawana dostanie zezwolenie na podróż, nie ma możliwości umieszczenia w niej kogoś obcego.

Varlt spojrział na Marfy:

— Jesteś pewna?

— Tak. Jest trzymana w zamknięciu, ale nie nazywają jej więźniem. Może gdybym spróbowała bezpośredniego połączenia...

Varlt skinął szybko głową:

— To właśnie zrobisz. Arshalm, jest tu jakieś spokojniejsze miejsce? Marry, potrzebujesz stymulantu?

— Najpierw spróbuję bez leków. Nigdy dotąd nie używałyśmy ich i zawsze miałyśmy bardzo dobry kontakt.

Wyszła z pokoju z Arshalmem i Varltem. Blake wiedział co nieco o ciężkiej próbie, jaka ją czekała, choć sam nigdy nie brał w czymś takim udziału. Bezpośrednie połączenie umysłów wprawiało uczestniczące w nim osoby w stan zbliżony do transu. Trzeba zapewnić im spokój i ciszę. Warunki zostaną zapewnione, ale czy Marva znajdzie się w podobnych? Nawet jedna szansa na tysiąc warta była próby. Przypuszczenia Marfy co do miejsca pobytu jej siostry okazały się trafne. Ale jak tam się dostać?

Lo Sige dopił wino, uśmiechnął się do Blake'a i wzruszył ramionami, zupełnie jakby czytał w jego myślach.

— Zastanawiasz się nad naszym kolejnym ruchem? Nie trać energii umysłowej. Nie podejmiemy żadnych kroków, dopóki nie uzyskamy pewności. Arshalm biadoli, że to niemożliwe, ale sam zaczyna dostrzegać pochoptność swego osądu. Musimy uzbroić się w cierpliwość. Jedyne, co powinno cię teraz interesować, to łóżko.

I rzeczywiście, Blake'owi udało się jako tako odprężyć, gdy położył się w szerokim łóżu z baldachimem. Jedwabna pościel była chłodna, miła w dotyku i pachniała lawendą. W pokoju unosił się zapach przeszłości, jakby czas płynął tu gładziej. Ślady, które pozostawiła po sobie majestatyczna epoka, zwiększały poczucie bezpieczeństwa i identyfikacji z przodkami, czego tak brakowało w świecie Blake'a.

Odgłos płynącej rzeki wpadał do pokoju przez okno, które otworzył przed pójściem spać. W Port Ackrone uderzała kompletna cisza i brak nocnego ruchu w mieście.

Rzeka, a za nią terytorium wroga. Gdzieś na południowym zachodzie znajdowało się inne miasto, być może jeszcze bardziej obce niż to, a w nim Marva, uwięziona z trudnych do określenia powodów. Kiedy to, co nieprawdopodobne, okaże się nieprawdopodobnym tak dalece, że stanie się po prostu niemożliwe? Znajdowali się na tym samym poziomie co Marva, a jednak szansę na dotarcie do niej graniczyły z cudem. Czy szczęście dalej będzie im sprzyjać?

Szmer rzeki był tak kojący, że Blake jakby dryfował między jawą a snem. Potem się obudził. Nadciągało nieznane niebezpieczeństwo. Instynkt dawał Blake'owi jedynie słabe znaki, ale ważne było, że się uaktywnił. Nie był to zwykły niepokój, normalny w tych okolicznościach, lecz zdecydowane ostrzeżenie przed zbliżającym się zagrożeniem. Jednak nadal nie było to gwałtowne wezwanie do działania, a tylko coś bardzo mglistego i nieokreślonego, co nadchodziło z południowego zachodu.

Szaleństwo! — wykrzyknął Arshalm, wchodząc na górę ze sklepu. Nerwowo przemierzał izbę tam i z powrotem, a powiewające poły płaszcza nadawały mu wygląd ptaka przynoszącego złą wróżbę, który za moment wzbije się w przestworza. — Właśnie dostałem wiadomość, że wydalają kupców z Tonocahl i Manao.

— Ale karawana wciąż jest gotowa, by wyruszyć do Xomatl, nieprawdaż? — Varlt siedział przygarbiony, wpatrując się w mapę rozłożoną na stole. — Miasta, o których wspomniałeś, są na północy. Dlaczego Toltekowie mieliby robić teraz zamieszanie?

— Oba leżą na terenach w pobliżu starej granicy — odparł Arshalm z roztargnieniem.

— Kupcy byli tam zawsze podejrzani — skomentował Lo Sige. — Wojownicy z równin zostali podbici dopiero dwa pokolenia temu. Ich powstanie przeciwko imperium przechyliło szalę w ostatniej wojnie i ocaliło Nową Brytanię przed najazdem. Nigdy łatwo nie podporządkowali się władzy imperium i są jak naładowana broń gotowa w każdej chwili wypalić.

Arshalm przystanął przy stole.

— Tak. I wszystko wskazuje na to, że ten wulkan niedługo wybuchnie. Jeśli jacyś Nowobrytyjczycy będą się wtedy znajdować na terenach imperium, Panie, miej ich w swej opiece! Nic na tej ziemi ich nie uchroni! Żadni krwi fanatycy będą potrzebowali ofiar do spełnienia starych rytuałów. A wiadomo, że bogów karmi się najpierw krwią cudzoziemców.

— Marva tam jest. — W ciszy, jaka zaległa po wybuchu Arshalma, słowa Marfy zabrzmiały dziwnie i przenikliwie. Pod oczami miała głębokie cienie, jakby wyszła z ciężkiej choroby.

— Ale nic poza tym wam nie wiadomo — odparł Arshalm gwałtownie.

— Nie mogłam... dowiedzieć się... więcej. Nie wiem czemu.

Podjęta przez Marfy próba nawiązania bezpośredniego kontaktu z siostrą nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. To zaskoczyło wszystkich, u Marfy zaś spowodowało szok, z którego jeszcze nie wyszła.

— Blokada umysłu? — Lo Sige zerkał na dziewczynę, Varlta i Arshalma.

— Niewykluczone — odparł Varlt.

— Nikt na tym poziomie nie ma takich umiejętności — zaprzeczył Arshalm.

— Nigdy nie należy lekceważyć potęgi miejscowego kapłaństwa — zauważył Lo Sige, po czym dodał: — Nie przybyła sama i przywieziono ją tutaj w określonym celu. Co do tego zgadzamy się wszyscy. Ci, którzy ją tu przywieźli, musieli się jakoś zabezpieczyć.

— Musimy ją odnaleźć! — W głosie Marfy zabrzmiała nuta hysterii. — A jeśli... jeśli przywieziono ją tutaj jako... podarunek?

Jeśli o to chodzi, mieszkańcy Vroomu nie byli święci. Wielu z nich, by założyć rodziny, sprowadziło niechętne z początku oblubienice, porwane z innych światów. Roganowie mieli przynajmniej jeden taki przypadek w swej rodzinnej historii, dobrze znany późniejszym pokoleniom. Dlatego też sugestia Marfy nie była zupełnie bezpodstawna. Varlt potrząsnął głową:

— Nie, tu nie chodzi o sprowadzenie sobie żony. Gdyby tak było, narzucono by jej sfabrykowane wspomnienia, a nie umieszczano na obcym poziomie jako więźnia. Poza tym taki podarunek nie byłby mile widziany w Toltecu. Dziewczyna waszego pokroju nie zainteresowałaby tutejszych władców i notabli. Chyba że... — Przerwał gwałtownie i zacisnął wargi.

Marfy krzyknęła i prawie uniosła się z fotela, zakrywając dłońmi usta w geście przerażenia, jakby chciała się powstrzymać przed wypowiedzeniem na głos czegoś okropnego. Nie po raz pierwszy Blake żałował, że nie ma zdolności telepatycznych. Cokolwiek przyszło do głowy Varltowi, zostało odczytane przez Marfy i sądząc po jego minie, również przez Lo Sige'a. Arshalm patrzył nich nierozumiejącym wzrokiem. Blake doszedł więc do wniosku że zdolności psi kupca musiały rozwinąć się w innym kierunku.

— No to — odezwał się Lo Sige — teraz zaczęło nam się spieszyć...

Varlt przerwał mu, zwracając się do Arshalma:

— Czas nagli! Musimy znaleźć się wśród członków karawany, która wyrusza za dwa dni. Jak można to zrobić?

Arshalm uderzył pięścią w stół:

— Już powiedziałem! To niemożliwe! Trzy brytyjskie rody dziedziczą przywilej handlu w Xomatl: Wellford, Frontnum i Trelawnly. Każdy, kogo wysyłają, jest znany strażom, patrolom granicznym i kupcom w Xomatl. Żadnych zastępstw; od razu wyszłyby na jaw.

Lo Sige uśmiechnął się chłodno:

— Nie ma sytuacji bez wyjścia — powiedział z udanym spokojem. — Czy masz kompletną listę członków karawany, wraz ze zdjęciami?

Arshalm wyjął zawiniątko z jednej z wewnętrznych kieszeni płaszcza i rzucił na stół:

— Oto sześciu ludzi znanych tym po drugiej stronie rzeki tak dobrze jak własnym braciom.

Lo Sige odwinął paczkę, wsunął rolkę taśmy do projektora i skierował obraz na ścianę. Zdjęcie nie było tak wyraźne jak na normalnym ekranie, ale pozwoliło im przyjrzeć się każdemu i z mężczyzn. Było ich sześciu, w różnym wieku. Najstarszym był pierwszy rangą kupiec James Frontnum, poza nim było jeszcze dwóch asystentów, czeladnik i dwóch pakowaczy, ambitnych młodzików zgłębiających kupiecki fach.

— Każdy z nich to Frontnum, Wellford albo Trelawnly, nawet pakowacze! — powiedział Arshalm. — Nie ma możliwości podczepienia nawet jednej osoby.

— Dlatego też — zaczął Lo Sige — usuniemy wszystkich i podstawimy całą karawanę.

Blake spodziewał się, że Arshalm natychmiast zdecydowanie zaprotestuje, ale kupiec milczał. Usiadł tylko i przyglądał im się po kolei.

— Wiecie co, to już nie szaleństwo — powiedział łagodnym głosem — to skończona głupota. Och... — Machnął ręką, by mu nie przerywano. — Możemy upodobnić was do nich. Możemy dostarczyć wam niezbędnych informacji o nich. Ale wszystko to na nic, gdy wylądujecie po drugiej stronie rzeki wśród podejrzliwych ludzi, którzy od dawna bardzo dobrze znają tych kupców i którzy widzą w każdym cudzoziemcu potencjalnego szpiega. Znają tych ludzi — tu wskazał na taśmę ze zdjęciami — prawdopodobnie lepiej niż siebie samych.

— Zgoda — powiedział Varlt.

— Więc zgadzasz się, że nie można tego dokonać?

— Zgadzam się, że nie można nie próbować — odparł Varlt. — Po prostu trzeba coś zrobić i to, jeśli moje przypuszczenia są słuszne, jak najszybciej.

Marfy nadal siedziała z rękami przyciśniętymi do ust. Sprawiała wrażenie przerażonego zwierzęcia. Blake zaś wciąż nie wiedział, co ich wszystkich tak przerażało, a co musiało być na tyle groźne, że popchnęło Varlta do podjęcia ryzyka.

— Co to za przypuszczenia? — Głos Arshalma zabrzmiał niemal smutno.

— Dotyczą starych obrzędów — odparł Varlt z widoczną niechęcią — bardzo starych obrzędów. Pomyśl, dlaczego ktoś sprowadzałby obcą kobietę, dziewczinę, na

tereny za rzeką?

Arshalm, który nerwowo wyglądał płaszcz, nagle zamarł. Jego przymrużone oczy wnikliwie wpatrywały się w Varlta spod szarych brwi. Z głośnym sykiem wypuścił powietrze.

— Nie! — wykrzyknął, jakby walcząc z własnymi myślami. Ale złe przeczucia Varlta już mu się udzieliły.

Blake również domyślił się prawdy. Gdy przypomniał sobie okrutne obrazy, zrozumiał powagę sytuacji. Była to opowieść z przeszłości, wystarczająco okropna, by poruszyć każdego.

Dawni Aztekowie wędrowali w poszukiwaniu ziemi, na której mogliby osiąść. Zawarli tymczasowe przymierze z władcą wyjątkowo żyznej doliny. Dzięki waleczności azteckich wojowników wspólnie odnosili sukcesy. Aztekowie zaproponowali przypiecztowanie przymierza ślubem córki miejscowego króla ze swoim władcą. Król pod wrażeniem doświadczenia i kunsztu wojennego dzikich przybyszów z północy przystał na to. Gdy jednak przyszli na uroczystość, zastali kapłana tańczącego przed posągiem dzikiego i obcego im boga. Kapłan okryty był skórą, którą ściągnięto z księżniczki! Rozwścieczony król i jego ludzie zwrócili się przeciw Aztekom i wyparli ich z powrotem w głąbę. Aztekowie nie pojmowali gniewu sprzymierzeńców; ich zdaniem honor, jaki uczyniono zarówno księżniczce, jak i bogu, był ogromny.

Tak, to były ciemne i krwawe dzieje. A teraz być może ktoś stara się przywrócić dawne obrzędy.

— Ale to zdarzyło się sześćset lat temu — wybuchnął Blake. — Dzisiaj nikt nie wracałby do tego!

— Trudno wykorzenić stare wierzenia. Poza tym można je wykorzystać do własnych celów. Łatwiej jest przewodzić ludziom zjednoczonym w zbrodni. W imperium nigdy dawna religia nie wygasła do końca. Kapłani zostali zmuszeni do zmiany rytuałów, ale wciąż mają duże wpływy w niektórych rejonach. Wygnali jednego ze swych największych przywódców, Quetzalcoatla, bo chciał całkowicie zlikwidować krwawe ofiary. W chaosie, jaki powstał w 1624 roku, podczas wojny domowej, w wyniku której w końcu na tronie osiadł Kukulcan II i osłabła władza kleru, stara religia przeżyła chwilowe odrodzenie. Nigdy już jednak dawni bogowie nie odzyskali swego znaczenia. Wiem, że żaden z władców osobiście nie czcił Huitzilopochtli, Xipe czy innych bogów, ale krwawe obrzędy miały miejsce i ekscytowały uczestników. Jedna większa i bardziej masowa uroczystość wystarczy, żeby wstrząsnąć całym imperium i doprowadzić do kolejnego powstania, którego celem będzie zmiana rządzących.

— Masz rację. — Arshalm mówił z trudem, jakby zmuszał się do wypowiedzenia tych słów. — Poza tym czas...

— Pięćdziesiąty drugi rok, czas rozpalania nowego ognia. Varlt rzucił Lo Sige'owi mrozące krew w żyłach spojrzenie.

Ten jednak skinął jedynie w stronę swego zwierzchnika, jakby potwierdzał przyjęcie jakiegoś tajnego rozkazu.

Dzięki szkoleniu Blake wiedział, co znaczyły słowa Lo Sige'a. Pradawne Królestwa Słońca ściśle kierowały się astronomią i systemami numerycznymi, których podstawę stanowił pięćdziesięciodwuletni cykl. Po upływie tylu lat rozpoczynał się długi okres Nowego Roku. Zapominano o jakichkolwiek długach, sporach i kłótniach. Wygasła ważność umów. Każda gospodyni pozbywała się starych sprzętów domowych, zastępując je nowymi. Zaś na piersi wybranej ofiary rozniecano ogień, symbol początku nowej ery.

— Koniec starego, początek nowego czasu — powiedziała Marfy. — Musimy

zaryzykować... Och, Com!

Starszy strażnik zbliżył się, by chwycić jej dłoń. Nawet nie przytaknął. Musiał jednak wysłać telepatycznie jakąś kojącą wiadomość, gdyż dziewczyna wyraźnie się uspokoiła.

— Możesz zgromadzić razem wszystkich członków karawany? — spytał Varlt.

— Tak — odparł Arshalm — mogę zaprosić ich tutaj na przyjęcie. To częsty zwyczaj — wydawać przyjęcie na część kolegów, którzy wyruszają na wyprawę handlową, by przekonać ich do zabrania próbek towaru gospodarza. A że jestem Anglikiem, nie powinno to wzbudzić ich podejrzeń. Mamy jednak mało czasu, tylko dwa dni.

— Szczęście, że mamy choć dwa dni! — odpowiedział Varlt.

Popołudnie, zmierzch, świt, potem pierwsze godziny wstającego dnia. Blake przeglądał się w lustrze. Nie był już ani Blakiem Walkerem, ani Williamem Campdenem, lecz Rufusem Trelawnym. Zdjął kupiecki strój, z którego pozostała mu jedynie heraldyczna kłamra przy pasku. Miał teraz na sobie czerwono-brunatne spodnie, jasnozieloną koszulę i ciasną kamizelkę bez rękawów, która zapewniała swobodę ruchów.

Varlt odgrywał rolę Jamesa Frontnuma, Lo Sige — Richarda Wellforda, a Marfy — Denysa Frontnuma. Do ich kompanii dołączyli dwaj inni strażnicy, podszywający się pod pozostałych pakowaczy. Byli to ochotnicy przysłani z kwatery głównej. Arshalm nie mógł wynająć swoich ludzi, gdyż ich nieobecność została szybko zauważona.

Prawdziwych członków karawany najpierw poddano telepatycznej kontroli, a później uspio i wysłano na Vroom. Po zakończeniu misji miano im zaszczyścić nieprawdziwe wspomnienia, które wypełniłyby okres ich nieobecności. Taki przynajmniej był plan.

— To ta. — Stojąc na nabrzeżu, Blake spojrzał w kierunku, w którym wskazywał mężczyzna. Zatrzymał swój wózek bagażowy obok wózka Blake'a, pokazując ręką na barkę rzeczną. Jej załogę stanowili śniadzi niewolnicy imperium. Gdzieś widać było przechadzających się po pokładzie wartowników. Większa część towaru została załadowana na statek w ciągu ostatnich dni. W skrzyniach, za które odpowiedzialni byli Blake i jego towarzysz, znajdowały się najbardziej luksusowe produkty, w większości przeznaczone dla notabli i dworu królewskiego, w tym również na prezenty.

Czy uda im się ta cała maskarada? Ich przygotowanie do poszczególnych ról było tak pobieżne i powierzchowne, że Blake zastanawiał się, jak długo zdołają ukryć prawdę przed podejrzliwym przeciwnikiem.

— Zważaj tam! — pognił ich Varlt.

Blake i jego kompani weszli na pokład jako jedni z pierwszych. Łódź miała kształt trójkąta o szerokiej rufie. Nigdzie nie było widać źródła napędu, więc mechanizm, który wprawiał ją w ruch, musiał znajdować się pod pokładem. Po wejściu na statek zostali umieszczeni na rufie i odgradzeni kratami od reszty pokładu. Wolno im było korzystać z zapasów jedzenia, które sami przynieśli. Przy kracie zamykającej ich odosobnienie ustawiono wartę, która zmieniała się co cztery godziny. Wszystko to było częścią rutynowej procedury.

— No dobra. Udało się — powiedział Lo Sige — tylko co dalej?

— Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem — odparł Varlt — powinniśmy dotrzeć do Wschodniego Nabrzeża w Xomatl. Stąd jednak zostaniemy odprowadzeni pod strażą do Domu Cudzoziemców w południowej części miasta. Niestety, to bardziej więzienie niż dom! Następnie przygotujemy podarunki dla zarządcy portu,

dla prezesa Bractwa Kupieckiego i dla mieszkającego tu *tonalpouliqui*, który zajmuje się wróżbami i wyznaczy nam najkorzystniejszy dla handlu dzień. To standardowa procedura. Jeśli wszystkie prezenty zostaną przyjęte, władze wyznaczą nam dzień handlowy i Pochteca Flatoque dokona inspekcji naszych towarów w kwaterze bractwa. Prawdopodobnie od momentu przybycia do dnia handlowego będziemy mieli trzy dni, może trochę więcej. Niewykluczone, że uda nam się trochę opóźnić dawanie prezentów, jednocześnie zaś nie na tyle, by wzbudzić podejrzenia...

— Przez cały czas będą nas bacznie obserwować! — wtrącił jeden z nowych.

— Z pewnością — przytaknął Varlt.

Zdaniem Blake'a mieli raczej marne szanse. Strażnik wierzył jednak w Varlta i jego doświadczenie. Z całą pewnością Com miał jakiś plan, którego nie chciał jeszcze ujawnić.

Instynkt nie ostrzegął Blake'a przed poważnym niebezpieczeństwem; choć coś nieokreślonego wciąż błąkało się po zakamarkach umysłu, czasami dając o sobie znać gwałtownym mrowieniem pleców. Blake pomógł w załadunku reszty towaru, żeby strażnicy nie nabrali podejrzeń, i przechadzał się po wydzielonej dla kupców części pokładu.

Koryto rzeki w tym miejscu było szerokie. Płynęli teraz ukosem w poprzek jej nurtu, zmierzając w stronę przeciwnego brzegu, który należał już do imperium. Mijali tak dzikie ostepy, że Blake zastanawiał się, czy zostały kiedykolwiek zbadane przez człowieka.

Przed zmierzchem natknęli się dwa razy na niewielkie pomosty, lecz nie przybili do żadnego. Nie można było również dostrzec widocznych śladów życia w ich pobliżu. Blake wszedł do kajuty na wieczorny posiłek. Obecni byli wszyscy oprócz Lo Sige'a, który pojawił się po chwili i oświadczył:

— Na pokładzie jest Oficer–Jaguar!

— Jesteś pewien? — spytał Varlt.

— Obserwował nas z wyższego pokładu. To na pewno on, ma odznakę. Wiesz dobrze, że nikomu nieuprawnionemu nie wolno jej nosić.

— Oficer–Jaguar... — zamyślił się Varlt.

Wojskowa elita dawnych Azteków dzieliła się w obecnym imperium na dwa stowarzyszenia: Jaguary i Orły. Należeli do nich tylko najbardziej doświadczeni i dzielni wojownicy. Imperium nie było w stanie wojny prawie od pokolenia, ale przygraniczne walki stanowiły dla najambitniejszych okazję, by wykazać się i awansować. Tak czy owak, zaszczytu noszenia odznaki z paszczą drapieżcy lub orłem o rozpostartych skrzydłach dostępowali bardzo rzadko synowie kupieccy. Godność ta zarezerwowana była przede wszystkim dla potomków starej arystokracji.

— Może to tylko kontrola graniczna, a oficer wybrał nasz statek przypadkowo, z ciekawości...

— Nie wierzę w takie przypadki — odparł Varlt.

Marfy udała się już do swojej kajuty, ale Varlt, Lo Sige i starszy z pakowaczy wciąż siedzieli przy stole. Chyba chcieli siei naradzić, Blake wyszedł więc na pokład. Usłyszał regularne kroki przechadzających się wartowników. Obaj byli uzbrojeni niej tylko w maczety, ale również w broń, która stanowiła odpowiednik strzelby. Strzelała jednak nie twardymi nabojami, lecz wyrzucała wiązki promieni.

Blake znalazł olinowanie burty. Tu również rozstawiono wysoką na blisko dwa metry siatkę, która uniemożliwiała ucieczkę, a każdy śmiałek, który pokonałby siatkę i spróbował przedrzeć się przez dziką puszcę, zostałby szybko wytropiony przez wytresowane bestie i równie dzikich ludzi.

— Teyualouanime! — Słowo dobiegło go z cienia skrywającego górny pokład i brzmiało prawie jak syk. Jednocześnie coś z przytłumionym hałasem upadło przed

Blakiem na pokład. Wyciągnął rękę i trafił na ledwie widoczny przedmiot. Była to drabinka sznurowa.

— W górę! — rozkazał głos nad nim.

Na moment ktoś zapalił światło, które szybko zgaszono. Blake mógł jedynie zobaczyć majaczącą przy drabinie postać.

— W górę! — Tym razem polecenie zabrzmiało bardziej rozkazująco.

Ktoś przywołał go imieniem, którym dawniej określano kupca–szpiega na usługach imperium, a teraz kazał mu wydostać się z więzienia, tak jakby Blake mógł się tego spodziewać. Jeśli odmówi, może narazić na zdemaskowanie całą drużynę. Ale kto to był? I czego chciał?

Blake wspiął się do góry na pokład przeznaczony dla oficerów i wartowników.

— Kto Dnia Dziewiątego po ulicach kroczy z pociemniałą twarzą? — Słowa wypowiedziano po angielsku, ale z nienaturalną intonacją. Blake nie miał pojęcia, co odpowiedzieć na tak dziwne pytanie, które musiało z pewnością znaczyć coś więcej i dla pytającego, i dla prawdziwego Trelawny'ego, nie śmiał się więc odezwać.

— Kto Dnia Dziewiątego po... — zaczął tamten znowu. Chwilę później Blake usłyszał głośny tupot na pokładzie. Jednocześnie instynkt gwałtownie ostrzegł go przed niebezpieczeństwem i wezwał do natychmiastowego działania. Szybko odskoczył od poręczy, do której wciąż przywiązana była drabinka. Ale przeciwnik, cały czas niewidoczny, skoczył za nim, chcąc go albo zaatakować, albo ukryć. Strażnik czuł za sobą olinowanie burty. Próbował się czegoś złapać. Popchnięto go mocno, Nie, ten drugi nie spieszył z pomocą! Ktoś chwycił go i wypchnął za burte...

Blake leżał twarzą w lepkiem mule. Dławił go smród gnijącej roślinności. Ciało miał pokryte szlamem. Nie wiedział, jak w ciemnościach udało mu się dotrzeć aż tutaj. Silny instynkt przeżycia pozwolił mu umknąć przed błyskającymi tuż nad głową snopami laserowych karabinów, gdy walczył o to, by się nie utopić. Pewnie uznano, że został trafiony, albo po prostu nie dbano o to, skoro prędzej czy później dopadną go nabrzeżne patrole.

Ożywił się na tyle, by odpełznąć od rzeki w stronę zwałów trzeszczącej trzciny. Potem spróbował usiąść i przemyśleć wydarzenia na łodzi. Oczywiście było, że został wezwany na tajne spotkanie i powitany hasłem, na które nie znał odzewu. Później ktoś, najprawdopodobniej niezwiązany ze spiskiem, pojawił się na pokładzie. Jego niewidoczny rozmówca, by pozbyć się niewygodnego świadka, uciekł się do drastycznych środków i wyrzucił Blake'a za burtę. Nie wyjaśniało to wprawdzie przyczyny, dla której znalazł się w tak opłakanym położeniu, ale jako doraźne: wytłumaczenie brzmiało sensownie.

Teraz znajdował się na lądzie, w okolicy, gdzie był łatwym i łupem dla każdego, kto go tu zobaczy. Miał dwa wyjścia — albo spróbować przepłynąć rzekę z powrotem do Nowej Brytanii, albo ruszyć w dół rzeki i dogonić kupiecką barkę. Nie był pewien, czy w tej chwili któreś z nich było możliwe do zrealizowania. Poza tym nie wyszedł z ostrzału bez obrażeń, jak świadczyło długie, na trzy palce krwawe oparzenie, które ciągnęło się od lewego łokcia aż do barku. Gdy próbował poruszyć ramieniem, przeszywał go przejmujący ból. Płynąć z taką raną przy tak wartkim prądzie... Niemożliwe!

Z drugiej jednak strony wszędzie dookoła pełno było materiału naniesionego przez rzekę, która w świecie Blake'a znana była z częstych wylewów, a podobnie musiało być i tutaj. Jeśli zatem znalazłby jakąś prowizoryczną tratwę, może udałoby mu się wrócić na wodę i nawet dogonić łódź, choć nie jest powiedziane, że nie zastrzelą go, gdy tylko zostanie zauważony.

Chociaż... mogą chcieć wciągnąć go na pokład, by usłyszeć opowieść o jego spotkaniu z nieznanym. Blake był pewien, że spiskowiec to oficer, wojskowy. Co jednak łączyło oficera z zagranicznym kupcem, którego powinien uważać za swego śmiertelnego i odwiecznego wroga?

Wstał, chwiejąc się. Nie mógł iść dalej przez trzciny: gdy próbował się poruszyć, nogi grzęzły w szlamie. Należało dostać się na pewniejszy grunt. Noc była jednak bezksiężycowa i mógł posuwać się tylko po omacku, pamiętając, po której stronie ma wodę. Jakoś udało mu się dotrzeć na wzniesienie przy brzegu rzeki. Położył się i obrócił na plecy, dysząc ciężko. Rana na ramieniu powodowała ból w piersiach.

Pod ciemną zasłoną buszu migotały świecące punkty... Świetliki. Gdy tak leżał bez ruchu, doszły go odgłosy nocy, pohukiwanie sowy, plusk zwierzęcia, które zanurzyło się w rzece i — Blake zamarł — szczekanie. Psa tropiciela?

Ucieczka na osłep w tych ciemnościach była bezcelowa. Ale jednocześnie im dłużej tutaj pozostawał, tym bardziej oddalała się łódź i tym większe było prawdopodobieństwo, że nakryje go jakiś patrol. No, dalej! Rusz się!

Wstał. Rzeka zakręcała w tym miejscu na południowy zachód. Dookoła znajdowały się drzewa i krzewy, jednak niezbyt gęste. Zataczając się, ruszył przed siebie. Dwakroć jeszcze usłyszał odległe szczekanie. Jakiś ciemny kształt przemknął w zaroślach z głośnym parsknięciem. Blake zaczynał liczyć do pięciuset, po czym stawał, liczył do stu i ruszał dalej, licząc od nowa. I tak na zmianę. Było zbyt ciemno,

by w dole wypatrzeć coś, co mogłoby posłużyć jako tratwa. Dopiero kiedy zacznie świtać, zejdzie do rzeki i poszuka czegoś takiego.

Nowa Brytania używała kłazowników do patrolowania swojej części wybrzeża. Pomyślał zatem — i plan ten wydał mu się bardzo dobry — że gdyby zdołał znaleźć zastępczą tratwę i opuścić tę nieprzyjazną i niebezpieczną stronę rzeki, mógłby dotrzeć do władz nowobrytyjskich i podać się za zbiega uciekającego przed władzami imperium.

Był rozpalony. Ramię dawało o sobie znać tęnym pulsującym bólem, który przy każdym kroku przesywał rękę i piersi. Blake przystawał więc raz po raz dla zaczerpnięcia tchu; ból nie pozwalał mu swobodnie oddychać, co utrudniało marsz.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, jakby czas umarł, a strażnik skazany był na błądzenie w ciemnościach. Co rusz potykał się o wystające korzenie lub gałęzie. Był odrętwiały. Jego wewnętrzny instynkt ostrzegawczy dawał mu jedynie ogólny sygnał, tak jak wówczas, gdy przybył promem do bazy Projektu. Prom — Varlt — Marfy — łódź. Bezwiednie przemknęły mu przed oczami minione wydarzenia, ale jakby żadne z nich go nie dotyczyło. Liczył się tylko następny krok i następny, i następny — jeśli da radę go postawić.

Znowu się przewrócił, tym razem lądując na zranionym ramieniu. Nie mógł stłumić ostrego krzyku, podobnie jak bezradny był wobec panujących dookoła ciemności. Pozostał tak, leżąc, aż niebo zaczęło szarzeć.

Obudził go deszcz, który zacinął zimnymi strugami i na nowo moczył ubranie. Mrużąc oczy, Blake próbował zorientować się, gdzie jest. Deszcz... gałęzie... jest na otwartym terenie. Jak? Gdzie? Duże krople rozbijające się o twarz przywróciły resztki pamięci. Był w jednym ze światów... łódź... rzeka... wzdłuż rzeki... I nastał już dzień, bo mógł bez trudu odróżnić wznoszące się w górze rośliny. Tratwa... brzeg rzeki... musi się stąd wydostać!

Próbował wstać, przytrzymując się chaszcy. Nagle usłyszał niski pomruk i zamarł. Jego instynkt odezwał się gwałtownie. Odwrócił się powoli, by zobaczyć, skąd dobiegał odgłos. Ukośne, zielonkawe i błyszczące oczy wpatrywały się w niego z uwagą łowcy, zapowiadając niebezpieczeństwo. Spłaszczone okrągłe uszy, kocia czaszka, świszczący oddech między ostrymi białymi kłami. Puma? Nie, to był jaguar, jeden z władców puszczy na południu, złapany i przywieziony tutaj, gdzie wciąż, w obecnej sytuacji, miał przewagę.

Wysunął łapę i nieznacznie zbliżał się z brzuchem przy ziemi. Dookoła szyi miał obrozę wysadzaną zielonymi kamieniami. Ponownie mruknął ostrzegawczo i Blake zaczął oceniać swoje szanse. Za jego plecami, z pewnością niezbyt daleko, znajdował się brzeg rzeki. Czy mógł tam dotrzeć, zanim zwierzę go dopadnie?

Raczej nie.

Jaguar zatrzymał się i uniósł łeb. Wydał z siebie przeciągłe wycie podobne do krzyku. Odpowiedź nadeszła od strony stromego brzegu za plecami Blake'a. Był osaczony! Baczenie obserwując podkradające się zwierzę, odsunął się nieznacznie, by spojrzeć za siebie. Jego wewnętrzne poczucie niebezpieczeństwa utrzymywało się na stałym poziomie, jakby koty nie planowały jeszcze ataku.

Ukazał się następny gładki łeb. Tego jaguara trudniej było dostrzec w gąszczu; miał czarne futro, na którego tle odcinały się białe, obnażone kły. Nie wyszedł też na otwartą przestrzeń. Ociekając wodą, gwałtownie potrząsnął łbem i zamruczał. Pierwszy kot również położył się na ziemi, ociekając wodą i mrużąc. Żadne ze zwierząt nie przejawiało ochoty do ataku, ale Blake był pewien, że nie pozwoli mu się stąd ruszyć nawet na krok.

Bestie tropiciele! Ostrzegano go przed kotami z rzecznych patroli, przebiegłymi, niezmordowanymi w tropieniu. Ich ataki na uciekinierów często były śmiertelne. Ale

te dwa były inne niż znane mu ze szkolenia. Może to oswojone, domowe zwierzęta któregoś z lordów? Jaguar był zwierzęciem świętym; imperator zasiadał na tronie w kształcie jaguara, a imieniem tego kota nazwano elitarną kastę wojskową.

Blake nie miał zbyt wiele czasu na zastanowienie. Wewnętrzny zmysł przesłał mu nowe ostrzeżenie. Spojrzał na jednego, potem na drugiego kota. Żaden nie poruszył się ani nie gotował do skoku. W dali rozległo się dudnienie i jedna z czarnych bestii zniknęła jak wessana przez busz. Teraz słyszeć było bębny. Niebezpieczeństwo... blisko... niebezpieczeństwo...

Poruszył się, ale natychmiast usłyszał wzmagający się pomruk. Kot, którego miał przed sobą, przysiadł gotowy do skoku. Blake zamarł. Niezbyt daleko usłyszał wycie kota, na które odpowiedziano okrzykami. Znajdował się w pułapce, a właściciel kotów zmierzał w jego kierunku.

W grupie znajdowali się różni ludzie. Idący na przód nosili bryczesy z garbowanej skóry i luźne zielone, bawełniane koszule w brązowe ciapki. Ubiór ledwie okrywał ich muskularne torsy i ramiona. Włosy zaczesane mieli do tyłu i spięte przy karku, a na czołach wymalowane farbą znaki. Podwładni jakiegoś lorda, jego łowcy, wszyscy nosili myśliwskie dmuchawki. Poza tym nie dostrzegł żadnego innego uzbrojenia. Wszyscy mieli też na koszulach plakietki z herbem.

Jaguar wstał i wycofał się. Żaden z myśliwych nie powiedział nic do zwierzęcia, ale wszyscy ustąpili mu z drogi, jakby był dobrze urodzonym arystokratą. Zwierzę usiadło i zaczęło oblizywać przednią łapę.

W międzyczasie przywódca grupy pstryknął palcami i dwóch ludzi podeszło do Blake'a, zdejmując rzemienie wiszące u pasa. Zranione ramię wygięli do tyłu i skrępowali ręce w nadgarstkach, jak to się zwykle robi przy transporcie ubitego zwierzęcia. Popchnięty w ramię, ruszył chwiejnie przed siebie, eskortowany przez ludzi i kota.

Potykał się tyle razy, że w końcu zniecierpliwiony dowódca nakazał jednemu ze swych podwładnych iść koło więźnia i podtrzymywać go. Blake zdawał sobie sprawę, że nawet nieskrępowany i w pełni sprawny nie miałby w lesie szans z tymi wojownikami. Byli to Indianie północnoamerykańscy z równin, którzy kilka pokoleń wstecz, po wielu bitwach i partyzanckich wojnach, zostali wchłonięci przez imperium. Dziś pracowali jako pogranicznicy. Wszyscy byli wysocy, dobrze zbudowani, podobni do Czejenów, Siuksów i Czarnych Stóp, którzy w świecie Blake'a przez pół wieku zwycięsko opierali się europejskim najeźdźcom, by w końcu ulec naporowi cywilizacji za nic mającej ich zalety i zdolności. Tutaj imperium podporządkowało ich, a nie zniszczyło.

Byli siłą, na której poparcie mogli liczyć lordowie, gotowi, jak głośiły plotki, przeciwstawić się zmechanizowanej cywilizacji południa. I zapewne nie będą zbyt delikatni wobec jakiegoś jeńca z Nowej Brytanii. To był lud plemienny, zawsze gotów przekroczyć granicę.

— Tu. Idź. — Przydzielony Blake'owi wartownik mówił po angielsku z niechęcią. Popchnął więźnia na lewo.

Wyszli teraz na wąską drogę i natknęli się na duży oddział. Kilka metrów przed nimi stał ogromny pojazd, podobny do ciężarówek używanych w Port Ackrone. Ale ten w połowie przypominał obóz myśliwski, a w połowie fortecę. Na dachu zamontowano trzy karabiny nieznanej Blake'owi konstrukcji. Przez otwarte z boku drzwi widać było wygodne wnętrze pojazdu, a przy wejściu siedział człowiek, który prawdopodobnie był dowódcą całego oddziału.

Jego duży nos i spłaszczone czoło zdradzały, że jest przedstawicielem starej arystokracji. Jednak tu, w głuszy, nosił garbowane skórzane bryczesy, buty z cholewami i koszulę równie prostą jak jego podwładni. Tarcza z herbem na koszuli

była obszyta złotą nicią. Miał również przypięty do pasa ręczny laser, podczas gdy jego ludzie byli uzbrojeni tylko w dmuchawki. Dwaj żołnierze, którzy stali obok, nosili mundury prywatnej ochrony. Uzbrojeni byli nie tylko w lasery, ale i w strzelby. U stóp lorda leżał czarny jaguar. Jego wysadzana złotem i rubinami obroża połyskiwała w słońcu. Płócienny daszek chronił arystokratę przed padającym wciąż deszczem. Jaguar, który biegł przed oddziałem prowadzącym Blake'a, skoczył do przodu pod zasłonę i oparł łeb na kolanach swego pana. Mężczyzna podrapał zwierzę za uchem, zupełnie nie zwracając uwagi na jeńca.

Dwóch przybocznych strażników musiało pochodzić z południa, ale kilka słów, które Blake wychwycił, było zupełnie niezrozumiałych. Dopiero gdy obie bestie dostały miski z jedzeniem, dowódca spojrzał na Blake'a, przyglądając mu się nadzwyczaj dokładnie i wnikliwie.

Mężczyzna przywołał go zgiętym palcem; był to gest kompletnej arogancji i braku szacunku. Przez krótką chwilę Blake zastanawiał się, jak wyglądałoby jego spotkanie z Isinem Kuturem. Obaj, pomimo różnic cywilizacyjnych, różnic poziomów, z których pochodzili, byli nieco do siebie podobni.

— Skąd jesteś? — wycedził Toltek, jakby odpowiedź na to pytanie nie miała żadnego znaczenia. Jeden z kotów uniósł łeb i syknął.

— Port Ackrone, *Tecuhtli* — odparł Blake, używając starego określenia na wielmożę. Udawanie kogoś stąd nie miało sensu. Najrozsądniej było trzymać się prawdy, oczywiście w miarę możliwości. Chociaż będą pewnie chcieli wydobyć z niego wszystko... nie miał ochoty myśleć o tym teraz.

— Cóż... To za rzeką. Spory kawałek na północ. Co zatem robisz tutaj?

— Byłem na łodzi płynącej do Xomatl. Zdarzył się wypadek i wyleciałem za burtę. Kiedy dotarłem na brzeg, nie wiedziałem, gdzie jestem...

Jeden z wartowników wykonał gwałtowny ruch, na który Blake nie był przygotowany. Obrócono go, a ręce wygięto mu tak, by rozmówca mógł zobaczyć oparzenie na ramieniu.

— Wypadek, co? Ktoś do ciebie strzelał, białoskóry. Mówią, że prawda jest wam obca, a wasze języki przekręcają znaczenie słów, zamiast mówić szczerze. Ale my mamy swoje sposoby na wydobywanie prawdy. — Dał znak stojącym za nim ludziom.

— W to, że wyszedłeś z rzeki, mogę uwierzyć. Cuchniesz na kilometr. Podaj mi swoje imię, a wyślemy je w dół strumienia, gdzie pewnie już cię poszukują.

— Rufus Trelawnly, zagraniczny kupiec, w drodze do Xomatl.

Mężczyzna zwrócił się do jednego z ludzi stojących za nim:

— Słyszałeś? — spytał po angielsku, jakby chciał, żeby Blake zrozumiał.

— Słyszałem, *ah cuch cabob*.

Radny z tytułem Majów. Co z tego wynika? — pomyślał Blake. Majowie byli przede wszystkim kupcami. Czy jednak dalej tak jest? Czy fakt, że zajmują się tym samym co on, sprawi, że prościej mu będzie dogadać się z nimi niż z wojowniczymi Aztekami?

Wartownik wskoczył na przód pojazdu i jak przypuszczał Blake, właśnie wysyłał raport.

— Więc jesteś zagranicznym kupcem jadącym do Xomatl, gdzie z pewnością musiałeś zetknąć się z Yacabec, Pochteca Flatoque. — Toltek używał teraz bardziej azteckich pojęć.

— Rzeczywiście, mój zwierzchnik utrzymywał kontakty z Pochteca Flatoque. Ja nie jestem *tecuhenengue*. Lord, który jest prezesem Bractwa Kupieckiego, nazywa się Npoaltzin.

Ah cuch cabob wzruszył ramionami. Wydał jakiś rozkaz w języku ojczystym i Blake'a wyprowadzono za ciężarówkę, w stronę pojazdów zaparkowanych nieopodal.

Kilka ze stojących tam samochodów wyposażonych było w klatki, z których dwie były zajęte. W jednej znajdował się niedźwiedź, a w drugiej wilk tak ogromny, że Blake stwierdził, iż mógłby być godnym przeciwnikiem dla jaguarów. Blake'a osadzono w trzeciej klatce, w której jeszcze było czuć zapach poprzedniego lokatora. Strażnik upadł na brudną podłogę, próbując utrzymać równowagę, gdy ciężarówka zaczęła zawracać na wyboistym terenie.

Minęli największy pojazd, przy którym arystokrata wciąż drapał za uchem jednego z jaguarów. Łeb zwierzęcia spoczywał na kolanach pana. Ten zaś spojrział na uwięzionego Blake'a z nieznacznym uśmieszkiem. Zwierzę również wydeło wargi jakby w uśmiechu.

Wąska leśna ścieżka przeszła w szeroką drogę o kamiennej nawierzchni. Ta z kolei wkrótce zmieniła się w gościniec z kamiennych płyt. Często mijali inne towarowe ciężarówki, lecz ani razu Blake nie zobaczył pojazdu, który przewoziłby ludzi.

Nie dano mu nic do jedzenia ani picia, chociaż dwie kobiety w kabinie wozu, gdy robiły przerwę, by zmienić się za kierownicą, dzieliły się pićm i kanapkami posmarowanymi jakąś substancją. Oplatając nogami kraty, Blake zdołał utrzymać się w pozycji siedzącej przez kilka godzin. Ale ciągle napięcie mięśni stało się nie do zniesienia, tak że w końcu opadł bezwładnie, chroniąc jedynie zranione ramię przed zbytymi wstrząsami.

Minęli samotną wioskę, jadąc wzdłuż jej jedynej ulicy. Blake przez krótką chwilę widział rzekę płynącą za falochronem. Zmierzali na południe, tyle wiedział. Nie dbał o cel podróży. Miał tylko nadzieję, że dotrze tam przytomny.

Gdy ocknął się z letargu, w który zaczął wpadać coraz częściej i na coraz dłużej, dookoła panowała ciemność. Zobaczył światła, gościniec zniknął, zamiast niego dookoła wznosiły się budynki tak samo wysokie lub nawet wyższe niż w Port Ackrone. W migającym świetle lamp widział ich groteskowo oświetlone fasady. Słyszał też ruch uliczny, na tyle głośny, że przyprawił go o zawrót głowy — odgłosy kół, okrzyki, hałas dużego miasta.

Znowu ciemność, a potem przygaszone światło. Odgłosy miasta jakby ucichły. Ciężarówka zatrzymała się. Kobiety wysiadły z kabiny. Jedna z nich rozłożyła szeroko ręce, druga coś krzyknęła.

Więcej głosów. Więcej światła. Odgłos otwieranych drzwi klatki. Czyjeś dłonie pochwytyły Blake'a i wyciągnęły na zewnątrz. Mimo że bardzo chciał stanąć z wrogiem twarzą w twarz, osunął się na ziemię. Ktoś nadepnął ciężkim butem na zranioną rękę i Blake zapadł w ciemność.

Zimno... ciepło... bezbronny w rzece... walczy, by się nie utopić. Płynie... porusza rękoma i nogami... nie daje rady. Nurt zwycięża...

Woda wlewa się przez usta, jego wysuszone, spierzchnięte usta. Woda — tego mu było trzeba. Rzeka jest dobra. Ugasi jego wewnętrzny ogień! Próbował wypić więcej, ale płyn spływał po jego ciele, nie trafiając do ust.

Otworzył oczy. Nad nim unosiły się twarze. Trzy... cztery... wszystkie nieznanym. Próbował poprosić o wodę, ale jego głos zabrzmiał jak skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Czyjeś ręce uniosły go. Świat zawirował i zatańczył. Blake zamknął oczy. Od patrzenia na wirujące światła, twarze i ściany zrobiło mu się niedobrze.

Nie był w stanie iść, więc go wywlekli. Nogami bezwładnie włóczył po ziemi. Mówili coś, ale nie rozumiał ani jednego słowa. Potem popchnęli go gwałtownie do przodu i pozwolili opaść na twardą posadzkę. Leżał, ciężko dysząc, dopóki ktoś czubkiem buta nie obrócił go na plecy.

Blake z trudem otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Jaskrawe światło przysłańało twarze oprawców. Jeden z nich poruszył się. Jego ciemne oczy wnikliwie przyglądały się Blake'owi. Wyciągnął rękę w stronę heraldycznej sprzączki u paska, który nosił strażnik. Padły szybkie, ostre słowa — zapewne szereg rozkazów.

Po raz kolejny Blake znalazł się w górze. Gdzieś był niesiony. Tym razem jednak obchodzono się z nim delikatniej. W końcu został rzucony na miękkie maty. Z mgły, która go otaczała, wyłoniła się stara, pomarszczona twarz. Oparzenie bolało potwornie, ale ręce już mu rozwiązano i ułożono wzdłuż ciała. Ktoś uniósł głowę i ramiona więźnia, zmuszając go do picia z przystawionej do ust miseczki. Gorzki, duszący płyn zalał Blake'owi brodę, zanim dał radę cokolwiek przełknąć. Z powrotem pozwolono mu opaść na maty i zasnąć.

Po jakimś czasie Blake wyrwał się z objęć snów, które choć nie pamiętał ich treści, musiały być koszmarnie. Obudził się zupełnie przytomny i świadomy pozycji i miejsca, w którym leżał. To była wiedza przyswojona wcześniej, jakby zmienił się w tablicę, na której wyświetlały się różne obrazy. Zdarzyło się to dwa lub trzy razy wcześniej i Blake czerpał wewnętrzną siłę z nagłego wyostrenia zmysłów. Chwilę później, gdy leżał z zamkniętymi oczami, nie dając poznać po sobie, że odzyskał świadomość, poczuł, jak czyjaś myśl wkrada się w jego umysł. Nie była to ingerencja tak silna jak ta, z jakimi spotykał się na Vroomie, lecz zaledwie ślizganie się po powierzchni jego myśli, jakby osoba przeprowadzająca próbę nie była w tym zbyt biegła.

Przywołał swe wspomnienia jako Rufus Trelawnly, by ukryć własne i przejść pomyślnie próbę. Było to bardzo proste, zbyt proste. Podejrzenia narastały w nim z każdym uderzeniem serca, ale utrzymał wspomnienia młodego pakowacza, dopóki niezręczny szpieg nie zakończył badania i nie wycofał się z jego umysłu. Nie, z całą pewnością nie był to telepata z Vroomu. Niefortunne sondowanie nie mogło równać się z doskonalonymi i rozwijanymi przez pokolenia zdolnościami, podobnie jak drewniane włócznie o obsydianowych grotach, używane niegdyś przez wojowników imperium, nie mogły równać się z podręcznymi pistoletami laserowymi. Jednak dla ludzi, którzy najmniejszą nawet zdolność psi taktowali jak cud, nawet powierzchowne czytanie w myślach było jak magia. Do dzisiaj ludność imperium opierała się na przepowiedniach tonalpouhqui, którzy zachowali wiele ze starych przywilejów kapłaństwa, szczególnie wśród niższych klas. Horoskop, postawiony w chwili urodzin, odsłaniał przed człowiekiem całe jego życie, nim ten zdążył wziąć pierwszy oddech. Opanowanie którejkolwiek ze zdolności psi pozwoliłoby tonalpouhgui na utrzymanie prestiżu i niesłychanego poważania.

Blake nasłuchiwał. Nic nie wskazywało na to, że w pomieszczeniu jeszcze ktoś jest. Nad nim znajdował się biały sufit, oświetlony teraz pojedynczym promieniem słońca. Gdzieś w pobliżu gotowano coś, bo ostry zapach podrażnił jego nozdrza. Pozorny spokój całej sytuacji zdemaskował ostry sygnał ostrzegawczy w jego głowie.

Obrócił głowę i spojrział w lewo na ścianę ozdobioną motywami roślinnymi o krzykliwych kolorach, w której znajdowały się trzy nieosłonięte okna. Szyby były nieprzezroczyste; wpuszczały światło, lecz nie sposób było dostrzec, co znajdowało się na zewnątrz.

Przy ścianie stał bardzo niski stół. Ci, którzy przy nim jadal, musieli ze skrzyżowanymi nogami siedzieć na matach, które teraz zgromadzono przy jednym jego końcu. To dało Blake'owi do myślenia. Nie znajdował się zatem w domu

jakiegoś możnowładcy, lecz u ludzi, którzy — jak prości chłopcy — podtrzymywali stare zwyczaje.

Lewe ramię strażnika pokrywały bandaże. Prawą ręką zbadał łóżko, na którym leżał. Znowu maty. Gdy obrócił się w prawo, tuż przed sobą zobaczył następną, pomalowaną ścianę. Podarte, przemoczone ubranie zabrano. Teraz odziany był w szorstką koszulę i tkaną derkę, kolorową i bogato zdobioną.

Doglądano go, a miejsce nie wyglądało na więzienie. Dobry znak. Co do reszty, no cóż, został ostrzeżony i był teraz czujny.

Rozległy się miarowe kroki, wprawiając w drżenie cały pokój. Blake usiadł. Musiał przytrzymać się ściany, gdyż cały pokój zatańczył wokół niego. Po chwili, już trzeźwiejszy, zerknął na drzwi. Usłyszał dźwięk obracanego w zamku klucza. Ktokolwiek to był, należało się go obawiać.

Ciężkie drzwi otworzyły się do środka i Blake spojrzał na wchodzącego. Był to wysoki mężczyzna o ostrych rysach i haczykowatym nosie, typowy Aztek. Jego luźne bryczesy uszyto z materiału ozdobionego czerwonymi i niebieskimi pasami. Koszula z długimi rękawami miała czysty, żółty kolor i ozdobne wzory na ramionach, a płaszcz na brzegach wykończenia z piór. Nosił wysokie buty zapinane na turkusowe klamry, które zdradzały jego arystokratyczne pochodzenie. Jednak to nie ów pełen przepychu człowiek otworzył drzwi. W rękę trzymał tylko pęk kwiatów i ziół spiętych bogato zdobioną wstęgą. Przybysz raz po raz wachał bukiet.

Drzwi natomiast otworzył mężczyzna w mundurze prywatnego ochroniarza. W przeciwieństwie do łowców, którzy pochycili Blake'a, człowiek ten musiał pochodzić z wielkich równin. Pod pachą trzymał zwinięte ubranie, które rzucił w kierunku posłania. Odzienie rozwinęło się w locie i Blake spostrzegł, że był to jego kupiecki strój z Nowej Brytanii.

— Wstawaj! — rozkazał ochroniarz, wskazując jednocześnie na ubranie. — Włóż to. Sąd czeka.

Blake nie sięgnął po koszulę leżącą tuż obok niego. Okazanie odwagi było najlepszą metodą w postępowaniu z wojownikami.

— Sąd, powiadasz — odparł bardzo formalnie. — Gdzie jest sąd, tam jest i przestępstwo. O co jestem oskarżony? — Jego głos wyrażał zniecierpliwienie. — O co, *Tecuhtli*? — Teraz zwrócił się nie do ochroniarza, lecz do jego zwierzchnika. Zauważył przy tym, że aztecki szlachcic gniewnie wciągnął powietrze.

Tego szlachetkę, kimkolwiek był, zaskoczyła jego postawa. Im szybciej jednak zrozumie, że Blake nie jest w ciemny bity, tym lepiej. Dawni mieszkańcy zawsze biernie przyjmowali zrządzenia losu, a odmowa nieodmiennie zbijała ich z tropu. Naród, gdzie wybrani na ofiarę dla bogów pokornie czekali, nierzadko od zmierzchu do świtu, na swoją kolej, nie przywykł nawet teraz, po latach, do jakiegokolwiek formy sprzeciwu.

— Wstań — powtórzył oficer. — *Teactli* czeka! — Zagwizdał i w drzwiach pojawiło się dwóch żołnierzy. — Idziesz albo oni cię zmuszą.

Blake sięgnął po ubranie. Mimo że było zniszczone już wcześniej, ktoś obszedł się z nim wyjątkowo niedelikatnie. Przeszukano dokładnie każdy szew i załamanie. Co chcieli znaleźć? Strój pozszywano grubymi nićmi i Blake miał nadzieję, że kiedy będzie stał przed sądem, szwy wytrzymają... żeby mógł zachować godność. Ubrał się najwolniej, jak potrafił.

Jeden z żołnierzy oddalił się, widząc, że nie będzie potrzebny. Wrócił po chwili z kubkiem i miską, które postawił na stole.

— Jedz. Pij. — Oficer wskazał na jedzenie.

W kubku znajdowała się toltecka czekolada w płynie, nie doprawiona wanilią. Ale była gorąca i Blake wiedział, że poczuje się po niej lepiej. W misce były ciastka

kukurydziane zwilżone jakimś smarowidłem. Zjadł i wypił wszystko. Jeśli zabierają go do sądu, to oznacza, że będzie prowadzony przez miasto. Cały czas zastanawiał się nad ucieczką, chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że nie ma ona najmniejszego sensu w obcym mieście. Kolor skóry, włosów oraz ubiór wyróżniały go z tłumu tak bardzo, jakby niósł przed sobą transparent z napisem: „Jestem zbiegłym więźniem”.

Widząc, że jeniec najadł się i napił, szlachcic wyszedł z pomieszczenia, wymachując bukietem jak szpicrutą. Za nim ruszył oficer. Na końcu szedł Blake w towarzystwie dwóch żołnierzy. Weszli w wąski korytarz o niskim stropie. Przez otwartą bramę Blake dostrzegł niezwykle kolorowy ogród. Bardziej jednak jego uwagę przykuł mężczyzna stojący u wylotu korytarza, za którym znajdował się dziedziniec. Stało tam kilka pojazdów.

To... to musiał być ten domorosły telepata! Jak zwierzę wyczuwa naturalnego wroga, tak instynkt ostrzegał teraz Blake'a. Mężczyzna był starszy od arystokraty, który prowadził Blake'a. Miał te same azteckie cechy, choć u niego były one bardziej widoczne ze względu na mocno zaciśnięte, wąskie usta i oczy głęboko osadzone w czaszce. Jego długie, posiwiałe włosy były tak splątane, jakby nie czesał ich od lat. W przeciwieństwie do pozostałych nosił się na czarno, a jego wyjątkowo długi płaszcz przypominał habit. Mężczyzna wspierał się na wygładzonej lasce ozdobionej licznymi wzorami, teraz prawie niewidocznymi, prawdopodobnie na skutek długiego używania.

Młodszy szlachcic wystąpił na bok, okazując swemu zwierzchnikowi tyle samo szacunku co wcześniej jego podkomendni jemu samemu. Oficer popchnął Blake'a w kierunku starca. Blake zajrzał w głęboko osadzone oczy mężczyzny i dojrzał w nich szaleństwo. Znowu otrzymał wyraźne i gwałtowne ostrzeżenie.

Ludzie Vroomu byli obcy w świecie, w którym Blake spędził młodość. Jednak dopiero na innych poziomach spotkał ludzi zupełnie innych niż jemu podobni. Czasem różnili się od Blake'a tak bardzo, że nie dostrzegał już w nich istot ludzkich. U niektórych widział zło, do jakiego jego ziomkowie nie byli zdolni. Ale ten mężczyzna miał w sobie coś innego: głęboko zakorzeniony fanatyzm, który rozwinęło wiele pokoleń wstecz. Nie był człowiekiem podobnym do tych, których Blake znał, lecz ucieleśnieniem złych zamiarów, medium noszącym w sobie nieludzką moc, wolę i żądzę.

Posiadał moc, czarną moc. Gdy spojrział na Blake'a, ten wyczuł w nim także żądę, długo niezaspokojoną żądę. Wewnętrzne ostrzeżenie pchało strażnika do ucieczki. Z trudem opanował się. Przez dłuższą chwilę mężczyźni stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Laska w ręku starca poruszyła się i jej wytarta przez czas rączka dotknęła piersi Blake'a. Dotknięcie było prawie niezauważalne, Blake jednak poczuł się tak, jakby go napiętnowano.

Mężczyzna w czerni bez słowa odwrócił się, przeszedł przez dziedziniec i sztywno wsiadł do jednego z pojazdów. Wyglądał w nim jednak dziwnie. Wyzwoliło to Blake'a spod wrażenia, jakie wywarł na nim starzec. Po chwili również i jego samego zaprowadzono do jednej ze stojących na dziedzińcu niewielkich ciężarówek.

W samochodzie znajdowały się okna, które jednak pozasłaniano. Więzień nie mógł więc przyjrzeć się dokładnie ulicom, przez które jechali. Pojazd przystosowany był do przewozu ludzi. Świadczyły o tym zaskakująco wygodne siedzenia, na których spoczęli Blake i wartownicy. Całą drogę panowało milczenie.

Imperium miało wysoko rozwinięte poczucie sprawiedliwości. Blake wiedział to z materiałów szkoleniowych. Od wieków sądy były niezawisłe i nieskorumpowane; karą dla stronnicych sędziów była śmierć. Dlaczego jednak zwykły sąd miał zająć się jego sprawą? Każdy w jego sytuacji zostałby przekazany sądowi wojskowemu. Tam złożyłby zeznanie, które zmieniłoby się prawdopodobnie w zwykłe przesłuchanie. W

czasie takiego przesłuchania więzień mógł umrzeć, co znacznie uprościłoby sprawę. Wszystko wskazywało jednak na to, że Blake miał być postawiony przed zwykłym sądem. Tylko dlaczego?

By uniknąć incydentu, który pogorszyłby stosunki z Nową Brytanią? Mało prawdopodobne. Od wielu lat obywatele obu państw podróżowali za granicę na własne ryzyko, świadomi, że w razie kłopotów zdani będą tylko na siebie, że nie mogą liczyć na pomoc ze strony własnego kraju.

Pojazd skręcił za róg ulicy i zatrzymał się. Otworzono tylne drzwi. Blake, mrużąc oczy, wyszedł z ciemnego wnętrza. Stał na chodniku przy wznoszących się trzema kondygnacjami schodach, które prowadziły do gmachu zbudowanego na planie piramidy. Pierzaste węże, jaguary i maski bogów, które dawniej były ważnym elementem dekoracji, z czasem nabrały bardziej symbolicznego znaczenia. Jednak pozostały wciąż tak samo piękne.

Dookoła budynku zgromadził się tłum, który teraz przypatrywał się Blake'owi. Wartownicy otrzymali głośny rozkaz, by utorować przejście. Rozkaz wykonano tak sprawnie, jakby Blake należał do świty cesarskiej. Nawet wyżej urodzeni cofnęli się, by go przepuścić.

Schody były wysokie, o wąskich stopniach. Wartownicy dotrzymywali mu kroku. Asekurowali go, jednocześnie pilnując, by nie umknął. W końcu przez otoczone kolumnami wejście dostali się do środka.

Wewnątrz również było bardzo tłoczno. Żaden wyrok w imperium nie był wydawany na podstawie orzeczenia przysięgłych. Ostateczną decyzję podejmowali sędziowie, którzy starym zwyczajem zasiadali ze skrzyżowanymi nogami na platformie, nad którą wznosiło się podium dla kogoś z najwyższych sfer. Na podium stała ława o nogach wyrzeźbionych na kształt łap jaguara. Oparcia na ręce ukształtowano na wzór łbów uzbrojonych w kły, całość wyściełała mata utkana z orlich piór. Ława była przeznaczona dla cesarza, który zawsze mógł pojawić się w sądzie.

Tłum bezceremonialnie odepchnięto na boki, by utworzyć ścieżkę prowadzącą do sędziów; wyznaczali ją stojący po obu stronach wartownicy. Blake'a doprowadzono przed platformę, a wartownicy wycofali się. Oficjel sądowy rozpoczął rozprawę od monotonnego przemówienia, raz po raz zaglądając do dokumentu, który mu dostarczono. Co jakiś czas któryś z sędziów przytakiwał lub czynił komentarze. Gdy mówca skończył, wszyscy spojrzeli na Blake'a, oczekując, że coś powie. Cóż... mógł najwyżej poprosić o wyjaśnienie. Kilku z nich na pewno znało angielski, choć się z tym nie obnosili.

— Nie wiem, czy to zadowoli wysoki sąd. — Była to pierwsza rzecz, która przyszła mu do głowy. — Nie wiem, o co jestem oskarżony. Powinienem chyba znać swoją winę, jeśli jestem sądzony?

Nastała chwila ciszy, po której przemówił jeden z sędziów. Jego akcent prawie nie zdradzał pochodzenia.

— Stajesz przed sądem Jedyne — tu sędzia pochylił głowę — zostałeś oskarżony przez sąd i Tron Jedyne o...

Jego wypowiedź przerwało zamieszanie w holu za plecami Blake'a. Zmiana! — podpowiadał mu instynkt. Gwałtowna zmiana sytuacji. Nie odwracając się, próbował odgadnąć, o co chodzi. Tłum po jego lewej stronie cofnął się. Jednocześnie w szeregu ustawiło się więcej żołnierzy. Ubrani byli w szkarłatne płaszcze, a na głowach mieli hełmy w kształcie łba jaguara. Jeden z nich, oficer w pierzastej kamizelce, wskoczył na podium powyżej platformy i usiadł na cesarskim krześle.

Jego czarno-biały płaszcz był znakiem *cuiacoatla*, wicecesarza, który miał nad sobą jednego tylko zwierchnika — młodego władcę. Sam wicecesarz nie był już

jednak chłopcem, mógł mieć około czterdziestu lat. Nie był też wojownikiem jak ci dwaj, którzy właśnie oddawali mu honory. Poruszał się chwiejnie, kulejąc: jedną nogę miał krótszą. Lewe ramię szczelnie ukrył w fałdach urzędowego płaszcza. Jego twarz przypominała jedną z tych kryształowych czaszek, jakie jubilerzy imperium rzeźbili z ogromną precyzją.

Był to Tlacacel, najstarszy brat młodego władcy. Nie mógł zasiąść na tronie z powodu kalectwa, jednak w swej przebiegłości wymógł na najwyższych urzędnikach, by obrali go wicecesarzem. Usadowiwszy się na cesarskim krześle, dał znak swemu oficerowi, który drzewcem włóczni uderzył o kamienną posadzkę.

Blake spostrzegł, że sędzia siedzący tuż przed kalekim możnowładcą nieznacznie wzruszył ramionami, po czym kontynuował przemówienie, nie zwracając uwagi na arystokratę.

— Przywiedziono cię tu, Przybyszu, oskarżając o próbę wykradzenia sekretów imperium i wzniecenia buntu...

Cuiacoatl spojrział na Blake'a i kiedy sędzia przerwał, przemówił:

— Co ten człowiek zza rzeki ma do powiedzenia na swoją obronę?

Sędziowie nie ukrywali swego wzburzenia. Niezależnie od tego, kim był Tlacacel, zmiana i przyspieszenie procedury sądowej były niedopuszczalne.

Możnowładca ponownie dał znak i oficer jeszcze raz uciszył wszystkich uderzeniem włóczni o posadzkę. Wicecesarz wskazał palcem na Blake'a. Miał długie paznokcie przypominające szpony.

— Mów! Co masz na swoją obronę?

Blake podjął szybką decyzję. Powie prawdę. Polegał teraz na swoim instynkcie, który podpowiadał mu zmianę sytuacji, a nie nagłe niebezpieczeństwo.

— Jestem zagranicznym kupcem. Zmierzałem do Xomatl. Wszystko zgodnie z prawem, Wasza Wysokość...

Choć mówił wolno, udało mu się opowiedzieć całą historię. Powiedział prawdę. Zmienił tylko powód opuszczenia statku, stwierdzając, że był to wypadek. Ile zrozumieli słuchacze, nie wiedział, choć większość arystokratów i możnowładców znała angielski.

W czasie gdy snuł swoją opowieść, jego umysł intensywnie pracował. Przyszła mu do głowy pewna rzecz, której nauczono go na szkoleniu. Gdy skończył, pokłonił się, dotknął palcem podłogi, a następnie ust i powiedział:

— Taka jest prawda. Przysięgam na Huitzilopochtli! Pięćset lat temu taka przysięga uwolniłaby Blake'a od wszelkich podejrzeń. Tlacacel przyjrzał mu się uważnie i rzekł:

— Choć Król-Motyl zachował moc przysięgi stanowiącej o życiu i śmierci, brzmi ona dziwnie w twoich ustach, Przybyszu. Jednak twe słowa nie wystarczą, by oczyścić cię z tak poważnych zarzutów. Czy jest na sali ktoś, kogo chciałbyś wyznaczyć, aby przemówił w twoim imieniu i potwierdził prawdziwość twych słów tak, abyśmy mogli zwrócić cię rodakom pewni, że nie chciałeś wyrządzić krzywdy temu krajowi ani żadnemu z jego mieszkańców? Kto przemówi teraz w obecności sędziów?

Czy pytanie to było skierowane do Blake'a? Cuiacoatl nie patrzył już na więźnia, lecz na tłum stojący za wartownikami po prawej stronie.

— Jest tak, jak mówi.

Przed tłum wysunął się oficer w jednokolorowym mundurze. Nie należał do Jaguarów. Blake nie rozpoznał insygniów na jego stroju.

— Niech zostanie to zanotowane. Szlachetny Cuauhuehuetque znad granicy, Thohtzin, przemówił za więźnia, wiedząc, że kłamstwo oskarżonego będzie teraz również jego winą!

Cuiacoatl mówił szybko, znów wywołując poruszenie wśród sędziów. Nikt jednak

nie śmiał przeciwstawić się otwarcie. Thohtzin wkroczył na niższy podest, złożył oficjalną deklarację i podszedł do Blake'a. Wartownicy z widoczną niechęcią pozostali na swoich miejscach.

— Chodź, szybko!

Blake nie potrzebował zachęty. Nie wiedział wprawdzie, co się za tym wszystkim kryje, ale szczęście mu sprzyjało i nie miał ochoty tego psuć. W każdym razie jako wolny człowiek opuszczał teraz miejsce, do którego przyprowadzono go pod strażą.

Dopiero gdy znaleźli się w pobliżu doków, Blake zorientował się, że zacierają nad rzekę. Wcześniej uznał, że nierozsądnie będzie pytać Thohtzina o cel podróży, oficer nie był bowiem skory do wyjaśnień. Ciężarówkę prowadził żołnierz w mundurze podobnym do tego, jaki miał na sobie Thohtzin. Na siedzeniu za nimi siedziało jeszcze dwóch innych mężczyzn.

Do nabrzeża przycumowany był niewielki krążownik. Przy sterze znajdował się jakiś człowiek. Drugi czekał przy burcie, gotów do natychmiastowego odcumowania. Thohtzin ponownie ponaglił Blake'a:

— Chodź, szybciej!

Wepchnął strażnika do łodzi, jednocześnie zerkając nerwowo na ulicę, jakby obawiał się pościgu. Odprężył się dopiero, gdy odbili od brzegu. Łódź była nadzwyczaj szybka. Blake nigdy wcześniej nie płynął z taką prędkością.

Thohtzin zaprosił strażnika do sterówki, gdzie przejął ster od jednego z żołnierzy. Gdy zostali sami, nieznacznie się uśmiechnął:

— Z pewnością musiałeś odbyć pielgrzymkę do Jednego z Węży albo naprawdę urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą, Teyauualouanime. Jesteśmy wciąż w zasięgu strzału. Ci, którzy skazali cię na spotkanie z Xipe i Huitzilopochtli, mogliby teraz zrealizować swoje plany. Tylko Jedyny mógł pokierować w tak korzystny sposób wolą Tlalogue. A tak w ogóle, jakie złe wiatry przygnały cię w te strony?

Tylko ostrożnie, pomyślał Blake. Jasne było, że oficer brał go za kogoś, komu dopomógł jeden z podwładnych imperatora. Kim naprawdę był Rufus Trelawny?

— Było tak, jak powiedziałem sędziom — odparł Blake. — Wpadłem do rzeki...

— I woda cię oparzyła...? — Oficer przyglądał mu się bardzo uważnie.

— To stało się później. Nie wiem, kto do mnie strzelał ani dlaczego.

Blake trafił z odpowiedzią, bo Thohtzin przytaknął:

— Tak, to możliwe. Widząc cię w rzece, wartownicy zachowali się zgodnie z przepisami. Ah Kukum nie mógł temu zapobiec bez wzbudzenia podejrzeń. Nactitl ma tu wszędzie swoich ludzi. Powiedz, jak przebiegają negocjacje? Czy masz dobre wieści?

Blake spojrział na wodę, która wirowała pod przepływającym okrętem:

— Z tego, co wiem, wszystko jest na dobrej drodze. Mój... mój zwierzchnik będzie wiedział więcej.

Odpowiedź była nieco dwuznaczna, ale pytający wydawał się zadowolony.

— Dzień... — Thohtzin wznosił jedną rękę znad steru i zacisnął pięść — dzień, w którym uda nam się przywrócić stary ład, rozbrzmi odgłosem trąb!

Przerwał i rzucił Blake'owi szybkie spojrzenie, w którym mogło kryć się zakłopotanie:

— Oczywiście, dziś będziemy walczyć innymi metodami niż nasi przodkowie.

— Odwaga imperium jest powszechnie znana, tak jak znane są zalety jego wojowników — przytaknął Blake.

— Twoje słowa znajdą wkrótce potwierdzenie w czynach! To nowe prawo, które chcą wcielić w życie... żadnych systemów obronnych, otwarta granica... handel, wszędzie handel...

Blake zastanawiał się, co oficer miał na myśli. Ackrone opowiadał przecież o zacieśnieniu kontroli, o niepokojach, które mogą doprowadzić do otwartego konfliktu między dwoma narodami. A Thohtzin sugerował coś zupełnie przeciwnego.

— Powiedz mi — kontynuował oficer — czemu działacie przeciwko Nowej

Brytanii, wystawiacie ją imperium na pożarcie?

To było wyjątkowo trafne i zarazem trudne pytanie. Blake jakoś poskładał w głowie odpowiedź:

— Czyż istnieje władza, która nie ma przeciwników? Zresztą, ja jestem tylko prostym żołnierzem. Rozstrzygać takie kwestie to zadanie mojego zwierzchnika.

Po raz kolejny Blake'owi udało się zgrabnie zmienić temat.

— Powiedz mi, czy widziałeś tą nową broń, której dźwięk potrafi kruszyć kamienie i sprawia, że wojownicy z krzykiem porzucają swój ekwipunek, myśląc jedynie o ucieczce? Albo tę, którą wdycha się z powietrzem, a ona zmienia umysł atakowanych tak, że wrogowie bez walki zdobywają ich pozycje? Czy widziałeś tę broń?

Blake, zaszokowany, oparł się o owiewkę. Był tak zaskoczony, jakby właśnie otrzymał postrzał z bliskiej odległości. Tyle że to uczucie nie paliło jak promień lasera. Było zimne i kłujące.

— Tak... — wyszeptał z trudem, po czym powiedział już głośniej — tak, widziałem taką broń!

Choć wpatrywał się w wodę, okręt i w rozmówcę, nie widział nic. Przywołał z pamięci oglądane na Vroomie obrazy.

Ziemia miała ciemną i krwawą przeszłość. Na wszystkich poziomach czasowych z wyjątkiem tych, na których nie było w ogóle ludzi, toczyły się okrutne wojny i bitwy. Życie było wyjątkowo brutalne. Na Vroomie wcześniej niż w świecie Blake'a rozwinęła się cywilizacja mechaniczna. Z czasem odkryto broń atomową, co doprowadziło do nuklearnego konfliktu, wyniszczenia prawie całej populacji i barbarzyństwa tych, którzy przetrwali. Trzy czwarte świata zostało zniszczone i nadzieję przyniosły dopiero podróże międzyczasowe. Tuż przed zagładą cywilizacji zdążono jednak odkryć przerażające rodzaje broni. Odcisnęły one trwałe piętno na tych, którzy byli na tyle szaleni, by je wynaleźć. Na Vroomie panował teraz pokój, jednak wciąż skrupulatnie pilnowano, by żaden szaleniec nie zagroził stanowi równowagi. A tu, na innym poziomie, ten człowiek mówi spokojnie o takich typach broni! Informacje te musiały pochodzić z Vroomu. Dotychczas żaden inny poziom nie opanował podróży międzyczasowych, a ten świat nie posiadał jeszcze na tyle rozwiniętej techniki, by skonstruować taką broń.

— Czy ciebie również te wynalazki wprawiają w zdumienie, Teyualouanime?

— To zabawki diabła! — wybuchnął Blake i już chwilę później zrozumiał, że się zdradził.

— Diabła?

— Wielkiego zła.

— Być może. Ale czasami trzeba przyjąć pomoc od *tztizimime*, pradawnego demona zmroku, by czynić dobro. Czymże stanie się nasze życie, gdy ci *tecuhnennenque*, którzy dbają bardziej o skarby niż o honor swój i Wielkiego Węza, odbiorą nam broń i zrobią z nas niewolników? Być może wystarczy użyć tej broni tylko raz, by pokazać naszą potęgę. Wtedy ci, którzy teraz dolewają nam trucizny do wody, zmienią się w nędzne psy i będą biegać wokoło, szczekając i bezradnie szukając schronienia. Dobra broń i umiejętność jej użycia dają przewagę i zapewniają respekt wrogów!

Blake zastanawiał się, ile było w tych słowach prawdziwej wiary, a ile propagandowego bełkotu.

— Oczywiście, nie oddamy tej broni w ręce ekstremistów.

— Ekstremistów? Thohtzin uśmiechnął się:

— Miałeś już z nimi kontakt. Lord Chacxib, ten, który postawił cię przed sądem, daje schronienie Ihuitimalowi i popiera go, byłego *cuacuacuiltina*, jednego z

szacownych Starców oddanych wierze w Huitzilopochtli. Słyszałem kiedyś przemówienie Ihuitimala. Musisz wiedzieć, że tytuł *cuauhuehuetque* dawniej nie oznaczał żołnierza zajmującego niebezpieczną placówkę przy granicy. Wcześniej słowo to określało wysokiego rangą, walczącego kapłana. Być może wy, tam w Anglii, nie znacie naszej historii na tyle, by zrozumieć znaczenie...

— Wiem o tym co nieco — wtrącił Blake.

— Musisz zatem wiedzieć, że nasz sposób życia był kiedyś krwawy i okrutny. Nie w każdej potyczce zabijano wrogów; często brano ich jako jeńców, z których później składano krwawe ofiary bogom. A bogów mieliśmy wielu i wszyscy żądali krwi. Pojmanie dużej liczby jeńców zapewniało szacunek i poważanie oraz dawało możliwość awansu nie tylko tym, którzy pochodzili z wysoko postawionych rodów.

Starzy bogowie zawsze mieli swoich zwolenników, którzy sprzeciwiali się Quetzalcoatlowi, gdy zaczął po raz pierwszy zastępować ziarnem, kwiatami i plectwem ofiary z ludzkich serc. I gdy to samo czynił Kukulcan, znaleźli się tacy, którzy utrzymywali w tajemnicy stare obrzędy.

Dziś wychodzą z cienia, łączą się w ugrupowania, a ponieważ potrzebują wsparcia, zgodzili się przystać do nas. Ale gdy wojna się skończy, zorientują się, że ich marzenia o spływających krwią ołtarzach są tylko mrzonką. Poza tym nie wydają się teraz zbyt rozgniewani. Gdyby jednak wyrok sądu był inny...

Oficer przerwał i kątem oka spojrzął na Blake'a. Nie odezwał się, dopóki ten nie zapytał:

— Co mogłoby się stać?

— Dostałbyś się ponownie w ręce Lorda Chacxiba, a ten wymierzyłby ci sprawiedliwość. To na jego ziemiach zostałeś złapany. Tym samym wydano by cię w ręce Ihuitimala i jego popleczników, którzy nakarmiliby tobą swoich bogów.

Dlatego właśnie Varlt obawiał się o Marwę! I jeśli Blake dobrze zrozumiał Thohrzina, Varlt miał ku temu słuszne powody. Strażnik ukrył więc swoje ogromne zainteresowanie, które ujawniło się dopiero w pytaniu:

— Czy to się zdarza?

— Tak — odparł Thohtzin z niesmakiem. — Powiadają, że musimy trzymać ekstremistów po swojej stronie, bo kontrolują wieśniaków i barbarzyńców. Honor wojowników to rzecz ważna, to esencja imperium, ale nie wolno przywracać do życia przeszłości. Nie trzeba zakłócać snu starych bogów. Gdy już będziemy mieli tę broń, nikt, ani kapłan, ani kupiec, nie odważy się wystąpić przeciwko nam.

Powinniśmy przybić do Xomatl o świcie — dodał po chwili. — Gdy już dołączysz do rodaków, powiedz swojemu zwierzchnikowi, że nie ma czasu do stracenia. Dziewczyna jest na razie bezpiecznie ukryta, ale nie wiadomo na jak długo. Nie ma zabezpieczenia, które powstrzyma plotki i pogłoski w mieście. A to wiadomość warta swojej ceny. Z tego powodu spieszcie się, jeśli nie chcecie stracić okazji, za co później winić możecie tylko siebie.

— Tak uczynię.

Marva! To ona musi być tą „dziewczyną”. Tylko kto... kto jest zwierzchnikiem Rufusa Trelawnly'ego? Kupiec, którego rolę grał teraz Vark? Jeśli kupcy z karawany mieli jakieś koneksje z nielegalnym podróżnikiem w czasie, Arshalm z pewnością wiedziałby coś na ten temat. Chyba że on również brał udział w spisku, który zataczał coraz szersze kręgi jak kamień wrzucony do wody. Być może drużyna strażników wplątała się w większą aferę, której sama nie da rady rozwikłać.

Thohtzin z powrotem przywołał sternika, po czym wraz z Blakiem udali się na posiłek, który smakował lepiej niż ten, jakim strażnika uraczono, gdy był jeszcze więźniem. Po jedzeniu oficer ułożył się na posłaniu z mat, wskazując Blake'owi legowisko po przeciwnej stronie kajuty. Blake położył się i wsłuchał w ciężki oddech

Thohtzina. Sam również powoli zapadł w drzemkę. Budził się jednak często, nie mogąc odgonić niepokojących myśli.

Wczesnym rankiem brzeg rzeki spowijała gęsta mgła. Okręt zwolnił, bo zbliżali się do miasta. Poza nielicznymi światłami w budynkach majaczących we mgle panowała ciemność. Gdy cumowali, dok był pusty. Statek ustawiono z taką precyzją, że Blake pomyślał, iż załoga krażownika musiała dobrze znać to nabrzeże. Jeśli rozstawiono tu strażę, mogły teraz znajdować się gdziekolwiek. Blake podążył za Thohtzinem, starając się dotrzymać mu kroku. Minęli falochron i idąc wzdłuż brzegu, dotarli do składu handlowego. Małe drzwi wejściowe były częścią większej bramy. Nad wejściem paliło się przygaszone światło.

Wnętrze wypełniały towary pakowane w pudła i wysokie kosze. Wzdłuż sklepienia, w regularnych odstępach wisiały zapalone lampy. Blake zauważył oficera zmierzającego w stronę ścieżki, jaką na środku magazynu tworzyły poustawiane w rzędach towary. Doszli już prawie do przeciwległego końca składu, kiedy Thohtzin zatrzymał się i zaczął liczyć ustawione tam kosze. Gdy doszedł do jednego z nich, zaczął liczyć od drugiej strony, by upewnić się, że wybrał właściwy. Następnie zajął się zamkiem przy pokrywie i po chwili otworzył pojemnik.

— Wskakuj — wyszeptał — i czekaj tu. Tylko bądź cicho, jeśli chcesz jeszcze zobaczyć swoich.

Na dnie kosza znajdowały się pozwijane ubrania, które Thohtzin wyciągnął i owinął nimi Blake'a, gdy ten, obejmując kolana ramionami, kucnął wewnątrz pojemnika. Po chwili pokrywa opadła, odcinając Blake'owi niemal całkowicie, z wyjątkiem kilku niewielkich prześwitów, kontakt ze światem zewnętrznym. Usłyszał odgłos zamka na pokrywie, gdy Thohtzin zabezpieczał kosz przed otwarciem.

Potem była już tylko cisza i narastające uczucie odrętwienia w rękach i nogach. Musiał się zdrzemnąć z głową opartą na kolanach, bo z otepienia wyrwały go hałasy: szmer rozmów, jakieś okrzyki, odgłos pracującego silnika.

Ktoś mówił po toltecku tuż obok jego kryjówki. Chwilę później, bez żadnego uprzedzenia, kosz został uniesiony w powietrze i ponownie opuszczony. To, na czym go postawiono, poruszało się. Blake znajdował się zbyt daleko od któregoś z wlotów powietrza, by wyrzeć na zewnątrz. Był jednak pewien, że wyjechali z magazynu. Kolejny przechył i ponownie kosz osadzono na twardej powierzchni. Nagle zapanowała kompletna ciemność i całym pojemnikiem wstrząsnęły drgania warczącego silnika.

Blake nie mógł w tym hałasie odgadnąć, co dzieje się na zewnątrz. Kosz kiwał się, jakby ciężarówka ostro zakręcała. I znowu zatrzymali się znów pojemnik znalazł się w powietrzu, a strażnik uderzył w ścianę kosza, boleśnie ocierając sobie bok. Po chwili kontener znalazł się na ziemi.

— To już ostatnia. — Słowa te wypowiedziano po angielsku! Był to głos jednego ze strażników, którzy na ochotnika zgłosili się do misji! Czy był tu sam? Czy Blake odważy się go zawołać?

— Można równie dobrze otworzyć je... Lo Sige! To głos Lo Sige'a!

Walker pamiętał, by używać imion, pod którymi się teraz ukrywali.

— Richard... Richard Wellford! — Jego zachrypnięty głos brzmiał nienaturalnie cicho. Jednak na zewnątrz natychmiast zapanowało milczenie. Po chwili ktoś odbezpieczył i podniósł pokrywę. Blake próbował sięgnąć rękami brzegu kosza. Pojemnik zachwiał się i przewrócił, a strażnik, wciąż częściowo uwięziony w kontenerze, wylądował na kamiennej posadzce.

Czyjeś ręce chwyciły go i uniosły, choć przez moment wydawało się, że nie utrzyma się na odrętwiałych nogach. To był rzeczywiście Lo Sige i jeden z pakowaczy, który — Blake nie pamiętał ile dni temu — pomagał mu wtaszczyć

ładunek na pokład.

— Cóż z takiego? — pierwszy odezwał się Lo Sige, spokojny jak zwykle. — Towar nieznacznie uszkodzony, wciąż jednak, rzekłbym, w dobrym stanie. Jak dalece uszkodzony, a jak bardzo w dobrym stanie?

Blake nie miał pojęcia, o co mu chodziło. Puścił ramię Lo Sige'a, które chwycił wcześniej, ciesząc się ze spotkania. Starał się nie okazywać uczuć przy Lo Sige'u. Ten z kolei nigdy nie okazywał słabości; stawała się ona natomiast w jego obecności nad wyraz widoczna u innych.

Blake próbował odzyskać spokój, jaki zachowywał Lo Sige.

— Część towaru lekko nadpalona, reszta w dobrym stanie. Gdzie Mistrz Frontnum? — Pamiętał, by nie nazywać Varlta jego prawdziwym imieniem.

— Na górze, ale... — Lo Sige zamyślił się — pełno tu wszędzie szpiegów imperium. Wprowadzenie cię na górę bez zwracania uwagi stanowi mały problem. Ach, dobrą sztuczkę można przecież wykorzystać dwa razy! Henry — tu zwrócił się do pakowacza — znaleźliśmy właśnie rozległe uszkodzenie towaru; wygląda na sabotaż. By stwierdzić to na pewno, musimy pokazać koszt naszemu zwierzchnikowi. Wskazuj do środka, Rufus. Zobaczmy, jak poradzimy sobie z ładunkiem.

Blake nie odważył się zaprotestować i powrócił do swego więzienia. Słyszał postękiwania pakowacza i szuranie przesuwanego kosza. W czasie drogi pojemnik musiał porysować się i poobijać niemiłosiernie. W końcu dotarli na miejsce i Blake usłyszał ściszony głos Lo Sige'a.

— Tak jak mówiłem, panie Frontnum, celowo zrobione uszkodzenie, z pewnością celowo. Trzeba spisać oświadczenie po wypakowaniu towaru. Jestem pewien, że ubezpieczenie pokryje straty, ale musimy mieć dowód.

— Zobaczmy — z dumą odparł Varlt. Zachowywał się jak przełożony, któremu nikt nie będzie mówił, co ma robić.

Znowu podniesiono pokrywę i Blake nieco chwiejnie wydostał się na zewnątrz.

— A cóż to? — Varlt zareagował tak jak poprzednio Lo Sige. — Z tego, co widać, wszystko chyba w porządku. Siadaj, człowieku. Richard?

— Już jestem. — Lo Sige pojawił się koło Blake'a, wskazując mu jeden ze stołków i podając kubek z aromatycznym napojem regenerującym, który Blake znał z Vroomu.

— Teraz — Varlt wstrzymał się, dopóki strażnik nie zaspokoił pragnienia — liczę, że opowiesz nam, co się z tobą działo od czasu, gdy pięć nocy temu wypadłeś za burzę.

Blake opowiedział wszystko bardzo szczegółowo. Jego słów nie nagrywano jak na Vroomie, ale wiedział, że Varlt i Lo Sige będą w stanie dokładnie je powtórzyć. Próbował zdać relację tak, szybko, jak to możliwe. Starał się jednak nie pominąć żadnych ważnych szczegółów. Obaj mężczyźni słuchali w milczeniu, nie zabierając głosu nawet wówczas, gdy Blake przerwał, by się napić.

— Labirynt w labiryncie labiryntów — podsumował opowieść Blake'a Lo Sige.

Varlt gładził szpiczastą brodę, znak rozpoznawczy Frontnuma.

— Więc wzięli cię za łącznika z handlarzem bronią — zaczął, jakby wypowiadając na głos swe myśli. — Nie było o tym mowy na szkoleniu. Kupcy z karawany zdawali się prowadzić jedynie legalne interesy. Żaden z nich, poddany telepatii, nic nie ujawnił. A przecież nie byli chronieni blokadami.

— Hasło, na które nie znałeś odpowiedzi i które było przyczyną twych późniejszych kłopotów, świadczy o tym, że spiskowcy spodziewali się na pokładzie łącznika. Nie zagadnęliby niewłaściwego człowieka. Spodziewali się Rufusa Trelawny'ego lub kogoś podszywanego się pod niego. To tłumaczyłoby drastyczny sposób, w jaki się ciebie pozbyto. Coś mi się wydaje, że nie tylko my urządzamy tu

przedstawienie. Po prostu pierwsi podstawiliśmy dublera!

— Nie spodziewali się również żadnych podejrzliwych pytań z naszej strony, gdy wróciłeś tak niespodziewanie — Varlt patrzył gdzieś przed siebie. — To zastanawiające. Tak jak mówisz, Richard, im głębiej wchodzimy w ten labirynt, tym bardziej staje się zawikłany. Widzę mnóstwo korytarzy, lecz nie wiem, dokąd prowadzą. Rufus, niech Worsley opatrzy ci ramię. Potem trochę odpocznij.

Rozkaz był tak stanowczy, że Blake nie oponował. Cieszył się, że nie musi już sam o niczym decydować. Długoletnie doświadczenie Varlta gwarantowało, że podejmie najwłaściwsze w obecnej sytuacji decyzje.

Marva znajduje się, jak udało nam się ustalić, we włościach niejakiego Otoronga, który zajmuje wyjątkową pozycję w państwie. Dopiero od stu lat tron jest dziedziczony zgodnie z prawem pierworództwa. Dawniej bracia i kuzynowie cesarza mieli większe szansę niż jego synowie, by zasiąść po nim na tronie. O przejęciu korony częściej decydowały wybory niż przekazanie jej na drodze dziedziczenia. Ten Otorongo jest potomkiem jednego z dawnych cesarzy i w świetle niejasno określonego prawa, podobnie jak wielu innych spadkobierców rodziny królewskiej, ma prawo do tronu. Od dawna uważa się go za dyletanta okazującego małe zainteresowanie sprawami polityki. Znany jest przede wszystkim jako opiekun jubilerów i mecenas artystów, który raz do roku organizuje słynny w całej prowincji koncert. Teraz dla uczczenia roku pięćdziesiątego drugiego planuje szereg imprez rozrywkowych, zarówno kameralnych, jak i publicznych.

— Jakież powiązania z wojskiem? — spytał Lo Sige, gdy Varlt skończył.

Varlt przesunął palcem po mapie miasta leżącej na stole:

— Nie mamy żadnej pewności, bo nasze informacje oparte są w głównej mierze na plotkach. Pozornie jego zainteresowania skupiają się wokół tego, o czym przed chwilą mówiłem. Trudno stwierdzić, czym naprawdę się zajmuje.

— Marva jest tam — powiedziała Marfy, studiując mapę — a my tutaj.

Jej palec powędrował w dół planu o dwa, może trzy centymetry od miejsca, które wskazał Varlt. Jednak te kilka centymetrów stanowiło w rzeczywistości spory odcinek drogi.

— Musimy ją wydostać!

Varlt nie powiedział ani słowa o trudnościach, jakie ich czekały. Nie podniósł nawet wzroku znad mapy, którą teraz wyglądał ręką.

— Pojutrze zaczyna się nowy cykl. Do Xomatl ściągają przybysze na obrzędy i święta towarzyszące rozpaleniu nowego ognia. To jedyna okazja, by dostać się do miasta bez zwracania niczyjej uwagi. Otorongo może wykorzystać święto jako przykrywkę dla tajnych spotkań. Tak więc...

Blake ożywił się:

— Thohtzin i jego zwierzchnicy uznali mnie za łącznika z handlarzem bronią, która nie pochodzi z tego poziomu. Moglibyśmy wykorzystać to dla naszych celów?

Varlt obrzucił go długim, badawczym spojrzeniem:

— Moglibyśmy, gdyby Thohtzin podał ci jakiś adres kontaktowy, tu, w Xomatl, i gdybyś wiedział, gdzie go szukać. Ale...

— Ale, ale, ale! — wykrzyknęła Marfy. — Mówię wam, że wiem, gdzie jest Marva. Mogę znaleźć ją w ciągu godziny. Gdy już będzie bezpieczna, tutaj...

— Bezpieczna, tutaj... w domu zagranicznych kupców? — powiedział zimno Varlt, unosząc brwi. — Tu będą szukać jej w pierwszej kolejności. Stąd nie ma ucieczki. Mamy tylko jedno wyjście. Musimy wykorzystać zamieszanie związane z obchodami pięćdziesiątego drugiego roku. Ucieczka w głąb kraju nie ma sensu. Złapią nas łowcy. Trzeba dostać się do łodzi. To pewne. Gdy zabezpieczymy drogę ucieczki, musimy działać z zaskoczenia. Drugiej szansy nie będzie.

Blake wstał i podszedł do przeciwległej ściany. Wisiało na niej lustro, w którym widać było towarzyszy siedzących przy stole. Jednak to jego własna twarz przykuła uwagę strażnika.

Intensywne zabiegi kosmetyczne techników z Vroomu rozjaśniły mu skórę. Wiedział, że efekt ten utrzyma się, gdy będzie używał odpowiednich kremów. Od

przybycia do Xomatl zaniedbał tego jednak i po kilku dniach w niewoli jego skóra zaczęła odzyskiwać dawny kolor. Na dole, w sklepie, widział lordów oglądających towary. Ich skóra miała podobną barwę. Był pewien, że będzie w stanie upodobnić się do nich na jakiś czas, imitując ostrość rysów rządzącej kasty Azteków i Majów.

W lustrze napotkał wzrok Varlta. Czuł, że starszy strażnik nawet jeśli nie mógł czytać mu w myślach, odgadł jego intencje.

— Łowca z północy może być jednym z przybyszów? — wypowiedział to w formie pytania.

— Po co? — zapytał bez ogródek Varlt.

— By znaleźć Thohtzina.

— Lub Marwę! — Marfy wstała. — Racja... wydostań ją... mógłbyś ukryć się nad rzeką, żeby cię zabrano...

— Thohtzin — powiedział Varlt w zamyśleniu, nie zwracając na nią uwagi — jeśli już go znajdziesz, co wtedy zrobisz? Poza tym nie zostałeś przeszkolony do roli łowcy z północy. W ciągu minuty zdradziłbyś się na sto różnych sposobów.

— Ulice są zatłoczone. Wielu przyjezdnych. Wybierzcie dla mnie odległe miejsce pochodzenia. — Blake nie był podenerwowany. Bardziej drażniło go beczynne wyczekiwanie. Ponadto, gdy pomysł ten przyszedł mu do głowy, zmysł nie ostrzegł strażnika przed niebezpieczeństwem. Zatem, w tej chwili, plan nie wydawał się bardzo ryzykowny.

— Powiedzmy, że go znajdziesz — Lo Sige rozpatrywał najczarniejszy scenariusz — co wtedy?

— Zaproszę go tutaj na spotkanie z moim zwierzchnikiem. Varlt przestał jeździć palcem po mapie. Dla odmiany zgiął go i wyprostował, jakby przywołując coś niewidzialnego.

— Myślisz, że Thohtzin ma dostęp do szybkiego krążownika i posiada cenne dla nas informacje?

— Właśnie tak.

— Thohtzin — Varlt zamyślił się — szkoda, że nie wiemy o nim trochę więcej. Końcówka *zin* sugeruje tytuł honorowy. Samo imię znaczy „sokół”. Nosi tytuł *cuauhuehuetque*, walczący kapłan, choć obecnie nazwa ta odnosi się do stanowiska o zupełnie innym charakterze. Gdzie zatem masz zamiar szukać tego wysoko latającego sokoła?

— Tam gdzie widziałem go ostatnio, w dokach. Jeśli krążownik wciąż tam jest...

Lo Sige zaśmiał się:

— My, którzy mamy działać potajemnie i ze wszech miar dyskretnie, podejmujemy teraz takie ryzyko. No, nie patrzcie tak na J mnie! Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Minęło południe, gdy Blake wraz z gromadą oglądających wyszedł ze sklepu na parterze domu dla kupców. W drzwiach stali wartownicy, którzy bez sprawdzania wpuszczali bogatych handlarzy i notabli pragnących obejrzeć towary z importu. Strażnicy nie czynili też żadnych trudności wychodzącym ze sklepu; widocznie wszystkim udzieliła się już atmosfera świątecznego odprężenia. Kupcy z Nowej Brytanii nie mogli handlować na własną rękę, a jedynie za pośrednictwem mediatorów specjalnie do tego celu wyznaczonych przez władze miasta.

Blake, gdy znalazł się już na ulicy, starał się zapamiętać trasę swojej wędrówki. Od doków dzielił go spory kawałek drogi przez miasto. Mógł wprawdzie wynająć pojazd z kierowcą, ale na razie wolał się przejść.

Mężczyzna, który minął Blake'a, wsunął mu coś do ręki. Strażnik powstrzymał swą ciekawość i spojrzął na przedmiot dopiero, gdy udał, że poprawia myśliwski

kapelusz na głowie. Było to czarne ptasie pióro. I znowu nie wiedział, co to oznacza. Nie stracił jednak z oczu tajemniczego mężczyzny, a że obaj szli w tym samym kierunku, podążył za nim.

Wyglądało na to, że takie były intencje nieznajomego. Specjalnie wybierał drogę przez mniej zatłoczone miejsca, by Blake go nie zgubił. Szli w stronę doków.

Obok przejechał pojazd „do wynajęcia”. Walker nie tracił z oczu czerwonego turbana nieznajomego. Turban przypominał te, jakie nosiła służba; nie było na nim jednak żadnych herbów czy znaków. Intensywna barwa zawoju raczej nie zwracała uwagi w pełnym kolorów mieście. Blake zauważył, że mężczyzna odłączył się od tłumu i zniknął w wąskim przesmyku między budynkami. Strażnik dotarł tam i zawahał się. Jego wewnętrzny sygnał milczał. Rozwaga nakazywała mu iść dalej w kierunku doków. Choć nadal trzymał w ręku pióro, mógł tylko przypuszczać, że przywieziono go tutaj celowo. Teraz uznał jednak, że to wystarczający powód, by podjąć ryzyko, o którym mówił Lo Sige. Ruszył więc wąską alejką.

Ściany bez okien rzucały wąskie cienie. Nigdzie nie było widać czerwonego turbana. W przejściu znajdowało się dwoje drzwi: jedno na końcu przesmyku, drugie w połowie drogi, na prawo. Blake nie miał zamiaru pukać i sprawdzać, które z nich wybrał nieznajomy.

Już miał wracać, gdy nagle dostrzegł ruch przy jednym z wejść. Drzwi poruszały się zapraszająco. Blake czekał na ostrzeżenie, ale jego instynkt nie podnosił natychmiastowego alarmu. Cicho stąpając, podszedł do na wpół otwartych drzwi.

Gdy wszedł do środka, natknął się na sternika z łodzi Thohtzina.

— *Cuauhuehuetque*. — Choć sternik miał na sobie cywilne ubranie, był bez wątplenia żołnierzem. Przywarł do ściany i przepuszczając Blake’a, wskazał zdecydowanym ruchem na wąski korytarz, w którym się znajdowali. Strażnik ruszył przed siebie, słysząc za plecami trzask zasuwanego zamka. Jeśli znalazł się w pułapce, to właśnie odcięto mu drogę ucieczki. Jednak jego instynkt wciąż milczał, więc Blake, nie odwracając się, szedł dalej.

Wszedł do magazynu, który wypełniała woń najrozmaitszych, nieznanych mu potraw. Zza kolejnych drzwi dolatywały inne zapachy. Słychać było, że coś się tam dzieje.

— Tutaj.

Przygaszone światło nie kryło mężczyzny, który właśnie wyszedł z jakiegoś pudła. Thohtzin wyglądał zupełnie inaczej, niż gdy widzieli się ostatnio. Elegancki mundur zamienił na strój żołnierza z pomocy. Jego pomalowaną twarz pokrywały maskujące wzory — popularna wśród przygranicznych plemion praktyka. Zamiast lasera uzbrojony był w długi nóż w ozdobnej pochwie. Przez chwilę przypatrywał się Blake’owi, po czym skinął głową.

— Sprytne... jeśli nie zaczepia się niewłaściwych ludzi. Dziś widać na ulicach miasta więcej takich jak ty. Tak, to przebranie może się przydać.

— Do czego? — zapytał Blake i już po chwili zastanawiał się, czy było to rozważne pytanie.

— Mamy problem — odparł żywo Thohtzin — konfidenci na statku. Jeden z nich doniósł o twoim wypadku i śmierci w rzece. Twój powrót, który, zapewniam cię, został już zauważony, wzbudzi podejrzenia. Ale czas, choć może być dla nas przeszkodą, działa przeciwko nim. Ta dwulicowa ropucha, Otorongo, znowu skrzeczy. Kombinował coś ze Świętym Ogniem. Ze Świętym! Ogniem! — wyrzucił z siebie Thohtzin. — Nie jesteśmy już naiwniakami, którzy wierzą w każde słowo kapłanów. Człowiek używający go widzi nie wizje wysłane przez bogów, którzy zmarli, gdy ludzie przestali w nich wierzyć, lecz fantazje zrodzone w swoim własnym umyśle. Przekazane kapłanom, mogą ulec dowolnej deformacji. Wszystko zależy od

słuchacza. Gdy jednak człowiek da się uwieść tym „mrocznym” misteriom, uwierzy we wszystko, co szepnie mu się do ucha. Otorongo zawsze poszukiwał albo zupełnie nowych doznań, albo znanych już, których jednak sam jeszcze nie doświadczył. Odkąd pije dym, uzależnia się od dawno już zapomnianych doznań i dlatego nie można mu ufać.

— I... — zachęcił go Blake.

— I dlatego trzeba odebrać mu dziewczynę.

— Zrobisz to? Thohtzin potrząsnął głową:

— Nie, ty to zrobisz.

— Dlaczego? I w jaki sposób?

— Dlaczego? Ponieważ jest własnością tych, którzy na nas liczą. Powiedzieli to nam, gdy po raz pierwszy ją tu ukryli. Ponieważ to ty ich reprezentujesz, musisz upewnić się, że dopóki jest potrzebna, nic jej nie grozi. W jaki sposób? Tu również zdany będziesz częściowo na siebie. Otorongo dziś po południu otwiera dla ludzi z miasta swoje ogrody. Chce uczcić koniec Xiuhlopilli i zadziwić wszystkich tym gestem. Pozwoli, by splądrowano i ograbiono jego wewnętrzny ogród, zanim powstanie nowy. Znajdziesz się tam dwie godziny przed zachodem słońca. Przejdiesz przez płot, zanim otworzą bramy. Gdy będziesz już w środku, musisz przedostać się przez wewnętrzny mur do ogrodu dla kobiet. Dalej — Thohtzin uśmiechnął się szyderczo — będziesz zdany już tylko na siebie. Mogę ci jedynie obiecać, że ci, którzy pilnują dziewczyny, zostaną uśpieni.

Blake nie mógł uwierzyć w sprzyjające mu szczęście. Wszystko wydawało się zbyt proste.

— Jeszcze jedno. — Blake uważnie przyglądał się oficerowi. — Będziemy musieli jakoś uciec. Nie można ukryć jej w domu dla kupców...

— Otorongo nie będzie mógł winić nikogo bez oczernienia samego siebie.

— Myślisz, że po jej zniknięciu nie podejmiemy żadnych kroków? Thohtzin uśmiechnął się:

— To zależy od nastroju, w jakim będzie. I jak daleko odważy się posunąć. Co masz na myśli, mówiąc o ucieczce?

— Łódź... powiedzmy taką jak twój krażownik.

— A dokąd chcesz uciekać? — Uśmiech zniknął z twarzy Thohtzina. Kolejny raz zastąpił go szyderczy grymas.

— Ty wskaż jakieś miejsce, wyślij tam swoje strażę, jeśli chcesz — zaproponował Blake. Jeśli pojawi się taka szansa, wiedział, że wszyscy strażnicy z Vroomu będą chcieli z niej skorzystać.

— W tej kwestii będę musiał naradzić się z moim zwierzchnikiem.

— O co ci chodzi? — spytał Blake i zaraz potem dodał: — Ludzie Otoronga bardzo łatwo rozprawią się z nami. Cóż znaczy więzień, którego nie można dłużej zatrzymać, i jakiś obcy, który odważył się wykraść takiego więźnia?

— Bardzo słusznie! — wykrzyknął Thohtzin. — Zapominasz tylko, że dziewczyna wciąż jest nam potrzebna. Mój pan nie zostawi jej na pastwę kapryśnego Otoronga, choć nie odważy się wydać samego siebie, wysyłając po nią własnych ludzi. Ktoś będzie czekał na was poza murami, by wywieźć was bezpiecznie z posiadłości Otoronga.

— Nad rzekę?

— Nic nie obiecuję — odparł zdecydowanie Thohtzin — omów to z przełożonymi. Jeśli przystaniecie na nasz plan, za godzinę daj wartownikowi w domu dla kupców sokole pióro, które trzymasz teraz w dłoni.

— Zgoda — odpowiedział Blake.

Przedarł się z powrotem przez zatłoczone ulice i poczekawszy na kolejną grupę

zwiedzających, wszedł z nią do środka domu dla zagranicznych kupców. Wystawionych towarów doglądał Lo Sige.

Idąc na zaplecze, Blake uchwycił jego spojrzenie. Pędem wspiął się po schodach i dotarł do pomieszczeń zajmowanych przez drużynę.

Marfy, ubrana w kupiecki strój, siedziała przy stole, pracowicie nagrywając dyktowane przez Varlta informacje.

— Co się stało? — wykrzyknęła, gdy tylko Blake pojawił się w pokoju.

Strażnik, unikając wzmianek o grożącym Marvie niebezpieczeństwie, opowiedział im o rozmowie z Thohtzinem.

— Możemy łatwo ją wydostać! — Marfy, rozpromieniona, poderwała się z miejsca. — Wezwę ją. Wyjdzie nam naprzeciw. Nie będziesz musiał nawet wchodzić do pałacu! Och, to takie proste, Comie, prawda?

— Możesz dać jej znać, że po nią idę.

— Że po nią idziemy — poprawiła go zdecydowanie.

— To niemożliwe! Kobiety nie podróżują tu same. Chyba że do doków, jeśli płyną gdzieś dalej... — zaczął Blake.

— Dlatego pójdę z tobą jako drugi łowca. Wiesz dobrze, Blake'u Walkerze, że tylko ja mogę wywołać Marwę. Ale... Och! Przecież on nie wie... — Spojrzała na Varlta.

— Nie może w ogóle połączyć się z Marwą — wyjaśnił starszy strażnik. — Przypuszczamy, że dali jej jakieś leki... narkotyki...

— No to na co się przydasz, idąc ze mną? — zapytał Blake.

— Bo im bliżej niej się znajduję, tym większą mam szansę na połączenie. A jeśli nie uda mi się wyprowadzić jej do bramy, to ona pokieruje nas do siebie. Chyba nie chcesz przetrząsać apartamentów kobiet?

Ku niezadowoleniu Blake'a Varlt przyznał jej rację. Zanim Walker zdążył zaprotestować, starszy strażnik powiedział:

— Lo Sige pójdzie z wami. Kragon i Laffy też, potajemnie. Do pomocy weźmiecie to. — Podeszedł do jednego z kufrów podróżnych, uniósł jego ciężką pokrywę i pogrzebawszy chwilę w środku, wyjął pudełko, w którym znajdowały się cztery srebrzyste ogłuszacze ręczne. Podobne były do zwykłych, na strzałki, tylko dużo mniejsze. Varlt owinał sobie rękę kawałkiem materiału, wyjął jeden z nich i pokazał Blake'owi.

— To nowy typ, strzela promieniami, a nie strzałkami. Można jednak użyć go tylko sześciokrotnie. I nie da się ponownie naładować. Weź go do ręki i zacisnij palce.

Gdy Blake zrobił to, poczuł, jak zimna powierzchnia broni rozgrzała się. Zacisnął na niej dłoń i gdy po chwili ją otworzył, zobaczył, że srebrny połysk zniknął. Ogłuszacz zmienił kolor tak, że trudno go było dostrzec w dłoni Blake'a.

— Teraz dostroił się do ciebie. Jeśli dotknie go ktoś inny, wybuchnie. Pamiętaj, masz tylko sześć strzałów. Ani jednego więcej.

— Skąd... — Blake wpatrywał się w broń, o której istnieniu wcześniej nie wiedział.

— To prototyp. Jedyne w swoim rodzaju. Rogan dostarczył te ogłuszacze wbrew rozkazom. Każdy z nich wart jest fortunę.

Marfy gwałtownym ruchem chwyciła drugi laser. Jej dłoń była zbyt drobna, by objąć broń całkowicie, jednak Blake zobaczył, jak urządzenie zmienia swój kolor, dostrajając się do dziewczyny. Varlt nie zdążył zareagować w porę.

— Mówię wam — powiedziała buńczucznie — że nie wydobędziecie Marvy bez mojej pomocy.

— Niestety — odparł chłodno Varlt — masz rację. Twoja więź z nią może być

pomocna. Ale pamiętaj, że w czasie akcji podlegasz rozkazom Blake'a i Lo Sige'a. Masz mi to obiecać.

Marfy spoglądała to na jednego, to na drugiego.

— Narzucać komuś idącemu na akcję takie ograniczenia to niebezpieczna sprawa, Comie Varlicie.

— Obowiązuje cię teraz dyscyplina strażnika, Marfy. W tym wypadku Walker jest twoim zwierzchnikiem. To jego się spodziewają. Dlatego musi się tam pokazać. Lo Sige być może będzie musiał się ukryć, jeśli wzbudzi podejrzenia. Dlatego dowodzi Walker, a ty słuchasz jego rozkazów. Zrozumiano?

Choć przytaknęła, Blake przypuszczał, że wciąż miała obiekcje. Nie podobało mu się, że będzie jego towarzyszką w tak niebezpiecznej misji.

Sokole pióro otworzyło im drzwi na zewnątrz i Walker odetchnął, gdy, już w przebraniach, znaleźli się na ulicy. Nie było z nimi Kragona i Laffy'ego, którzy mieli iść osobno.

Tłum znacznie zgęstniał i cała trójka trzymała się blisko siebie. Do granicy posiadłości Otoronga musieli iść piechotą. Wszelkie dostępne środki transportu były już zajęte.

Dotarli do muru porośniętego bluszczem. Lo Sige oparł się o ścianę, a Blake wspiął się na jej szczyt po jego karku. Za płotem znajdował się ogród pełen kwiatów, drzew i sprytnie zaplanowanych alejek. Walker wyciągnął ręce w dół i chwyciwszy Marfy, pomógł jej wspiąć się na mur. Gdy również Lo Sige znalazł się na górze, cała trójka zjechała po pnączach winorośli do ogrodu.

Dlaczego ktoś chciałby to zniszczyć? — dziwiła się Marfy, gdy szukali kryjówki wśród ozdobnych krzewów, wymyślnych skalniaków i innych ozdób, których pełen był ten przypominający dzieło sztuki ogród.

— Kwestia prestiżu — odparł Lo Sige. — Dzięki gestowi przyzwalającemu zburzyć to wszystko z okazji świąt Otorongo zyska najwyższe poważanie.

Blake zamarł. Ruchem ręki ostrzegł pozostałych i zaczął nasłuchiwać, choć bardziej polegał na swoim instynkcie niż na zmyśle słuchu. Rzucił się do przodu, jednocześnie zerkając w lewo. Miał jedynie czas, by oddać szybki strzał w kierunku włochatej błyskawicy, która wyskoczyła na niego spod zwisających winorośli. Zwierzę skoczyło z warczącą furią i powaliło strażnika na ziemię. Nie zdażyło jednak zatopić pazurów. Blake wyczołgał się spod nieprzytomnego jaguara. Pozostało mu teraz pięć pocisków, o czym musiał pamiętać.

Marfy zadrżała, wpatrując się w nieprzytomne zwierzę, a potem ze strachem w oczach rozejrzała się dookoła: w ogrodzie mogło się kryć więcej niespodzianek. Lo Sige pomógł Blake'owi wstać.

— Ciekawe, ile takich domowych kociaków biega tu jeszcze swobodnie. Nie to, żebym chciał je liczyć...

— Posłuchajcie! — Słowa Marfy nie były potrzebne, bo wszyscy usłyszeli teraz głucho dudnienie bębnow dochozące z wnętrza pałacu.

Lo Sige ruszył przed siebie. Musieli jak najszybciej znaleźć kryjówkę wolną od cętkowanych łowców. Stanęli przed kolejnym bogato zdobionym murem. Na jego szczycie leżał olbrzymi wąż o wypukłych, kamiennych łuskach.

— To tu. Musimy teraz znaleźć bramę — powiedział Blake, badając dłońmi ścianę. Na prawo czy na lewo? Marfy przyłączyła się do niego. Obrócił się w prawo. Lo Sige przyglądał się jej przez chwilę, po czym kiwnął Blake'owi, by ten szedł za dziewczyną.

Znajdowali się teraz w wąskim przejściu pomiędzy ścianą, wzdłuż której szli, a pieczołowicie rzeźbionym kamiennym parawanem zasłaniającym ogród. Niektóre ozdoby były ażurowe, widzieli przez nie liście i kwiaty. Przeszli kilka metrów, zanim znaleźli w ścianie drzwi czy też coś, co przypominało drzwi. Przejście miało kształt koła, było głęboko osadzone w murze i zamknięte, bez śladu klamki od ich strony.

Marfy obróciła się i stała teraz z rękoma mocno przyciśniętymi do ściany. Oczy miała zamknięte. Strażnik próbował odsunąć ją od drzwi, ale Lo Sige złapał go za ramię i odciągnął od dziewczyny, zdecydowanie potrząsając głową, jakby przerywanie jej skupienia było kardynalnym błędem.

Blake podszedł do muru i dał znak, by pomogli mu wspiąć się i zajrzeć do środka. Przy pomocy Lo Sige'a wspiął się do góry i chwyciwszy za łuskowate ciało kamiennego węża, wdrapał się na szczyt ogrodzenia. Gdyby teraz ktoś obserwował go z pałacu, jego ciemny kształt na tle jasnego kamienia stanowił doskonały cel.

Za murem znajdował się kolejny ogród, równie piękny jak pierwszy. Stały tam dwie ogromne klatki z misternie splecionego drutu. Rosły w nich drzewa, wśród gałęzi było widać kolorowo upierzone ptaki. Jednak to zamknięte drzwi poniżej przykuły uwagę strażnika. Wszystko wskazywało na to, że od dawna ich nie otwierano. Co więcej, tuż za nimi, od wewnętrznej strony ogrodu, ustawiono ławkę dla strudzonych spacerowiczów.

Ciche syknięcie kazało spojrzeć Blake'owi na Lo Sige'a. Drugi strażnik wskazywał na Marfy. Nie stała już przyciśnięta do nie dających się otworzyć drzwi, lecz cofała

się od nich krok po kroku. Prawą ręką dotknęła głowy, przyciskając czubki palców do czoła. Oczy miała wciąż zamknięte, a na twarzy wyraz głębokiego skupienia. Jednak lewą ręką wykonała powolny i tęskny gest w kierunku drzwi.

Blake znów spojrział do drugiego ogrodu. Między klatka biegła ścieżka; tylko tu, przy murze, można było się ukryć. Otorongo może spisać na straty zewnętrzny ogród, ale z pewnością zaciekle będzie strzegł reszty posiadłości.

Wspierając się na kamiennych łuskach, Blake przeszedł i drugą stronę i zeskoczył w dół. Do wtargnięcia tłumu pozostało niewiele czasu. Jeśli wcześniej uda im się wydostać Marwę z wewnętrznego ogrodu, mogą ukryć się wśród plądrujących. Ścieżka; przed ptaszarnią rozwidlała się. W głębi po lewej znajdowała się główna część pałacu. Znów... niebezpieczeństwo!

Strażnik przykucnął z ogłuszaczem gotowym do strzału. Szelest... czyżby kolejny jaguar? Plecami wsparty o zimną skałę, Walker lustrował każdy cień, każde miejsce nadające się na kryjówkę. Jednak to nie miękka futrzana łapa zagrażała teraz jego życiu. Zauważył drobny ruch na ziemi, niżej, niż mógłby przycząć się jakikolwiek jaguar. Prawie jednocześnie dostrzegł ogniki bezlitosnych oczu i uniesioną w górę płaską głowę. Wystrzelił instynktownie, jak zrobiłby każdy na jego miejscu, stając oko w oko z wężem.

Ciało gada wyprężyło się i po chwili zamarło w bezruchu. Blake odczekał kilka sekund, zanim odważył się zbadać swą ofiarę. Istotnie, był to wąż, prawdopodobnie jadowity. Tuż za głową miał metalowy pierścień wysadzany drogimi kamieniami, które lśniły jak oczy. Zwierzę nie było więc dzikie, pochodziło z pałacu.

Walker usłyszał nad sobą świst. Lo Sige leżał płasko na szczycie ogrodzenia, żywo wskazując na pałac. Poruszał ustami tak wyraźnie, że Blake zdołał odczytać informację:

— Czekaj... Patrz...

Ogród wydawał się opustoszały. Przez drzewa, które zasłaniały sporą jego część, Blake widział zaledwie fragment tarasu. Nigdzie nie było widać służby. Przy drzwiach nie stali wartownicy. Pałac wyglądał na niezamieszany.

Blake usłyszał daleki pomnik. Ptaki musiały usłyszeć ten dźwięk wcześniej, zanim dotarł on do Blake'a. Zebrały się razem; tylko niektóre latały zaniepokojone. Za murem wyznaczającym zewnętrzny ogród zgromadził się tłum gotów do plądrowania.

— Patrz! — Lo Sige znów przesłał mu niemą wiadomość.

Na tarasie coś się poruszyło. Ktoś, szlochając, biegł po schodach, a potem alejką wzdłuż ptaszarni.

Blake czekał za ławką przy zamkniętych drzwiach. Na otwartą przestrzeń wypadła dziewczyna. Zmierzała prosto w jego stronę. Jej szeroko otwarte oczy były jak nieobecne. Gdyby jej nie złapał, wpadłaby prosto na drzwi. Szarpała się, jednak nie bezwiednie, lecz jakby walcząc o uwolnienie, i wrywała się w ich stronę.

Miał wrażenie, że walczy z dzikim kotem. Nie chciał jej wypuścić, toteż dziewczyna odwróciła się i podrapała go z furją. Lo Sige zeskoczył na dół i zawiąawszy poję płaszcz dziewczyny, owinął nią Marwę, jednocześnie krępując jej ręce. Przez cały czas spazmatycznie szlochała, a z niewidzących oczu gęsto płynęły łzy.

We dwóch przenieśli ją ponad ogrodzeniem, choć Blake obawiał się, że szamotanina może ściągnąć im na głowy wartowników Otoronga. Jednak gdy postawili ją po drugiej stronie muru, dziewczyna nagle się uspokoiła. Marfy podbiegła z otwartymi ramionami, by ją uściskać. Chwilę później cofnęła się, a Marva bezwładnie osunęła się na ziemię. Marfy pochylała się nad nią przerażona.

— Ona... ona...

Lo Sige chwycił ją za ramię i odciągnął od siostry.

— Narkotyki albo narzucona blokada — powiedział szybko. — Zdejmij jej spódnicę!

Marva ubrana była w długą i bogato zdobioną spódnicę. Ciemnofioletowy płaszcz, w który ją owinęli, ozdobiony był jedynie pasem niebiesko–złotych piór. Lo Sige złapał zwisający z parawanu pęd winogrona i zaczął zrywać liście. Kwiaty, które gniótł i miażdżył, pachniały intensywnie.

— Zaczekaj! — Blake zrozumiał, co Lo Sige chce zrobić. Obszedł parawan i chwycił za korzenie winorośli, którą zrywał Lo Sige. Wrywał te, które miały najwięcej liści, i przerzucał je przez parawan. Zamiłowanie tubylców do kwiatów, a szczególnie do tych najbardziej pachnących, okazało się teraz przydatne.

Hałas za główną bramą wzrastał się — można już było odróżnić pojedyncze głosy i okrzyki — po chwili zaś zmienił się w ogólny wrzask. Bramy zostały otwarte! Jeśli będą mieli trochę czasu, może uda im się uciec.

Blake wrócił na drugą stronę parawanu, by pomóc Lo Sige'owi i Marfy. Marva, bezpiecznie zawinięta w fioletowy płaszcz, leżała wciąż na ziemi, nieświadoma ich obecności. Oczy miała zamknięte i wydawało się, że śpi. Lo Sige oplatał ją winogronowymi liśćmi. Marfy zbierała z ziemi pojedyncze kwiaty, obdzierała je z korzeni i zasłaniała nimi te miejsca, których nie przykrył w pośpiechu strażnik.

Gdy skończyli, Marva wyglądała jak ogromny bukiet rzadkich kwiatów. Przez pnącza przełożyli pieńek młodego drzewa, tak, by obaj mężczyźni mogli nieść zawiniętą dziewczynę. Okrzyki i śpiewy słychać było coraz bliżej. Poczekali ukryci za parawanem, dopóki nie ukazali się pierwsi łowcy kwiatów. W gromadzie znajdowali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Nieśli ze sobą kosze, garnki i misy; szukali bowiem nie tylko kwiatów, ale i korzeni. Kilku zmyślniejszych mężczyzn przyniosło ze sobą łopaty i teraz wykopywali mniejsze drzewa i wysokie krzewy. Nie, w tym tłumie obcy z pewnością nie będą się wyróżniać.

Marfy odwróciła spódnicę siostry na lewą stronę, ukrywając bogate wzory i ozdoby. Wypchała ją bulwiastymi kwiatami i przerzuciła sobie przez ramię jak worek. Pochyliła się pod tym ciężarem, jednocześnie ukrywając twarz.

— Czas ruszać!

Blake nie potrzebował zachęty ze strony Lo Sige'a. Już wcześniej wyszedł zza parawanu. Zbieracze wokół byli zbyt zajęci, by zwracać na nich uwagę. Od czasu do czasu ten czy ów obrzucał ich wzrokiem, ale natychmiast powracał do przerwanej pracy.

Powoli... muszą iść powoli niezależnie od tego, jak bardzo chcieliby się stąd wydostać. Jeśli kręcili się tu jacyś wartownicy, lepiej, żeby się nie zastanawiali, jak tej trójce udało się tak szybko zebrać tak ogromny łup.

Opóźniali marsz, co jakiś czas kładąc pakunek na ziemi. Raz czy dwa zostali zagadnięci przez innych zbieraczy, ale Lo Sige dawał niewyraźne odpowiedzi, tak jakby byli pijani. Reagowano wzruszeniem ramion lub śmiechem.

— Przy bramie! — Marfy zrównała się z Lo Sigiem, cicho wypowiadając ostrzeżenie.

I rzeczywiście! Wyglądało na to, że Otorongo w pełni rozkoszował się nowym doznaniem. Nie dość, że osobiście oglądał grabież swojego słynnego ogrodu, to jeszcze zaprosił gości lub przynajmniej domowników, by również podziwiali niecodzienne widowisko. Przy głównej bramie, przez którą nieprzerwanie płynął tłum zbieraczy, ustawiono zadaszony podest z fotelami. W otoczeniu władcy widać było zarówno szkarłatne, wojskowe mundury, jak i cywilne ubrania w jasnych odcieniach. Służba roznosiła napoje i jadło, a niektórzy goście zdawali się robić zakłady. Wszyscy żywo interesowali się opuszczającymi ogród zbieraczami. Niektórym kazano pokazywać łupy, jakie zebrali.

— Nie możemy... — zaczęła Marfy.

— Musimy! — odparł Lo Sige. — Udawaj podbitego. A ty — zwrócił się do Marfy — idź przodem. Gdyby coś się zaczęło dziać, uciekaj.

Blake wyszukał wśród zgromadzonych na podeście mężczyznę, który wyglądał na Otoronga. Był wysoki i szczupły. Miał na sobie bogato zdobioną koszulę, którą w połowie skrywał płaszcz przystrojony piórami. Na nogach nosił buty z turkusowymi zapięciami, a na głowie diadem ozdobiony piórami w tym samym kolorze. Do jego staroświeckiego wyglądu pasowały ciężkie kolczyki, które zniekształciły mu uszy.

Na twardej azteckiej twarzy Otoronga malował się wyraz pogardliwego rozbawienia. Chwilowe ożywienie wywoływały co jakiś czas uwagi czynione przez mężczyznę siedzącego po jego lewej stronie. Człowiek ten miał na sobie jednolicie czarną szatę, jaką zwykli nosić kapłani. Jego włosy nie były jednak zmierzwione, a na twarzy nie wypalił swego piętna fanatyczny ascetyzm, jak to miało miejsce w przypadku kapłana z przyrzecznej posiadłości.

— Teraz, idziemy — powiedział cicho Lo Sige.

Blake czekał na głos swego instynktu. Nie było natychmiastowego niebezpieczeństwa. Być może uda im się szczęśliwie odegrać tę maskaradę. Chwiejnym krokiem podążał za Lo Sigiem w stronę bramy. Goście na podeście zajęci byli właśnie tacami pełnymi owoców i ciastek, a służba napełniała każdy pusty kielich.

— Li li li li li — zaśpiewał Lo Sige. Zachowywał się jak pijany z rozkoszy i błogości.

Blake nie odważył się śpiewać, ale wykorzystując swoje niewielkie zdolności, dostosował zachowanie do postawy kompana. A Marfy... Marfy śmiała się, poklepując przewieszony przez ramię worek pełen kwiatów i korzeni.

Dotarła już bezpiecznie na wysokość podestu... już byli prawie przy bramie...

— Hej tam! — Okrzyk zabrzmiał rozkazująco. Resztę słów wypowiedziano w niezrozumiałym dla Blake'a języku.

— Walker — rozkazał cicho Lo Sige — odwróć ich uwagę. Szybko!

Blake spojrział w górę. Jeden z oficerów przechylał się przez barierkę podestu i przywoływał ich rozkazującym gestem. Za nim widać było Otoronga. Wpatrywał się w nich.

Odwrócić ich uwagę? Blake oparł trzymany przez siebie koniec kija na lewym ramieniu i przytrzymał go lewą ręką. Wzniósł swą prawą rękę w geście, którego, jak widział w mieście, używały do powitania klasy niższe. Jednocześnie wypalił z ogłuszacza. Szczęśliwie Otorongo odwrócił się właśnie, by odpowiedzieć na jakieś pytanie kapłana. Zatoczył się do przodu i chwycił barierkę. Zaskoczony oficer odwrócił się akurat we właściwym momencie, by go złapać.

— Teraz!

Zanim Blake miał czas, by pomyśleć, byli już za bramą, przeciskając się przez tłum. Wyglądało na to, że zbieracze wpuszczani byli w grupach i kolejna miała właśnie wejść do środka.

Przed nimi znajdowała się gromada wychodzących. Przyspieszyli, by wmieszać się w ich tłum. Thohtzin obiecał im pomoc poza murami ogrodu. I choć Blake nie ufał mu, jednak bardzo chciał go teraz zobaczyć. Szli jednak wciąż za gromadą powracających, ze strachem nasłuchując odgłosów pościgu. Ktoś mógł przecież skojarzyć z nimi niespodziewane omdlenie Otoronga.

W bocznej uliczce stała niewielka ciężarówka z zamykaną naczepą. Ciężarówek takich, jak wiedział Blake, używano do przewozu dam z wyższych sfer. Ta jednak była w wyjątkowo kiepskim stanie, odrapana i brudna. Tylne drzwi otworzyły się i kiwnął na nich posłaniec Thohtzina.

Przez krótką chwilę zawahali się. Przyjęcie pomocy z tej strony mogło jedynie opóźnić zbliżającą się katastrofę. Jednak dalszy marsz ulicami miasta z podejrzanym pakunkiem wzbudziłby niepotrzebne zainteresowanie. Skręcili więc i ułożyli owinięty winoroślą ładunek w pojeździe.

— Dokąd jedziemy?— spytał Blake.

— Dokąd chcecie — odparł posłaniec. — Wsiadajcie, szybko! Nie ma czasu do stracenia. Zbyt wielu ludzi was widziało. Część z nich na pewno was zapamięta. Musimy naprowadzić ich na fałszywy ślad.

Lo Sige przytaknął. Starszy strażnik już wpychał Marfy do środka. Gdy Blake wsiadł, zatrzaśnięto za nim drzwi. Oparł się o nie ramieniem. Były zamknięte od zewnątrz.

— Krogan tam był — wyszeptał Lo Sige, kładąc mu rękę na ramieniu — szybko by nas znaleźli. I ma rację, mówiąc, że widziało nas zbyt wiele osób. Jeśli mogą zmylić pościg, czy mamy się sprzeciwiać? Teraz wyjmijmy panią z opakowania.

W zamkniętym pojeździe zapach kwiatów był bardzo intensywny, prawie duszący. Rozerwali pachnący kokon, wyciągnęli Marwę z płataniny liści i kwiatów i posadzili na fotelu przy szczelinie, przez którą wpadało nieco świeżego powietrza. Marfy siadła przy siostrze, podtrzymując ją. Marva zachowywała się tak, jakby obezwładniono ją ogłuszaczem. Jej głowa bezwładnie kiwała się na ramieniu siostry.

— Co z nią? — spytał Lo Sige. Marfy potrząsnęła głową.

— Udało mi się nawiązać z nią kontakt na tyle, by podeszła do muru w ogrodzie. Ale teraz... jakby zupełnie odpłynęła. Co oni z nią zrobili?

— Thohtzin powiedział, że uspi wartowników, którzy jej pilnowali — odpowiedział Walker. — Może i ją to spotkało?

— Próbuj dalej — dodał. — Musi odzyskać przytomność. Być może sama będzie musiała sobie pomóc.

— A co innego niby mam robić? — zachnęła się. — Dokąd nas zabierają?

Blake przykucnął przy jednym z pozostałych siedzeń. Próbował wypatrzeć cokolwiek przez wąską szparę w ścianie. Jechali wolno, bo ulica była zatłoczona. Dwukrotnie skręcili i pojazd nabierał teraz prędkości. Jednak droga, którą właśnie jechali, nie była już tak gładka.

— Na pewno nie jedziemy z powrotem do miasta. — Blake był prawie tego pewien.

Lo Sige przesunął się do przodu ciężarówki. W ścianie kabiny kierowcy znajdował się otwór z klapką, przez który pasażer mógł wydawać polecenia. Strażnik próbował ją przesunąć, ale była zablokowana.

Jęk ponownie zwrócił ich uwagę na Marwę. Szloch, który wcześniej wstrząsał jej ciałem, zmienił się teraz w sapanie, jakby dziewczyna próbowała z trudem złapać oddech. Lo Sige szybko znalazł się przy niej i przystawił jej głowę do jednej ze szpar w ścianie pojazdu.

— Marva! — Marfy mocniej przytuliła siostrę i spojrzała na strażnika. — Wydaje jej się, że śni.

— Możesz ją kontrolować?

Blake przeszukał porwaną winorośl i znalazł kawałek grubego korzenia. Za jego pomocą, choć z trudem, przesunął osłonę wywietrznika i otworzył go szerzej. Podał korzeń Lo Sige'owi, który uczynił podobnie po drugiej stronie pojazdu.

Zieleń, intensywna zieleń gęstego lasu migała im przed oczami. Jechali zbyt szybko, by zobaczyć coś więcej. Blake'owi trudno było uwierzyć, że gęsty las mógł rosnąć tak blisko miasta; wyglądało na to, że zagłębiali się w puszcze.

Teren łowiecki... — powiedział niepewnym głosem Lo Sige.

— To znaczy... — spytał Blake.

— Pasma dzikiego lasu wyznaczone do uroczystych polowań. Widziałem je na mapie miasta. Jeśli rzeczywiście zmierzamy w tym kierunku, oznacza to, że oddalamy się od rzeki...

— Dokąd więc jedziemy? — odezwała się Marfy.

— Tego trzeba się dowiedzieć — odparł Lo Sige po namyśle.

Pojazd kiwał się i podskakiwał na coraz bardziej wyboistej drodze, która była teraz tak wąska, że gałęzie uderzały o ciężarówkę. Zmusiło to kierowcę do wolniejszej jazdy, a po chwili samochód w ogóle się zatrzymał. Blake klepnął Lo Sige'a po plecach.

— Ogłuszę kierowcę i kogokolwiek, kto jest razem z nim. Potem weźmiemy samochód... wrócimy do miasta...

— Czemu nie... — przytaknął Lo Sige.

— Aaaaa! — Marva wyrwała się z objęć siostry i podpełzła w kierunku przednich siedzeń. W tej samej chwili Marfy złapała się rękoma za głowę w geście wyrażającym sprzeciw i ból, a Lo Sige zachwiał się jak uderzony od tyłu. Blake również poczuł telepatyczny cios. Nie była to jednak niezdarna i nieudolna próba, jakiej poddano go wówczas, gdy był więźniem w nadrzecznej posiadłości, ale fachowo przeprowadzony atak w celu przejścia kontroli nad ich umysłami. Był równie potężny jak ataki, które znali z Vroomu.

Ciało Lo Sige'a wygięło się, a na twarzy odmalował się wyraz przerażenia i skrajnego wysiłku. Wargi strażnika wyduły się i Pague wydał z siebie nieludzki dźwięk. Jego wzrok spoczął na młodszym strażniku. Wrodzona blokada umysłu Blake'a zadziałała w zwykły sposób. Mogła jednak stanowić ostrzeżenie dla tego, kto przeprowadził atak, że w aucie znajduje się ktoś odporny na działanie fal umysłowych.

Bezradny Lo Sige zbliżał się krok po kroku do tylnego wyjścia. Z przodu, wciąż zawodząc, czołgała się Marva. Na końcu, z trudem i zataczając się, do drzwi podeszła Marfy.

Blake czmychnął w lewo. Słyszał trzask otwieranego zamka. Ktokolwiek znajdował się za drzwiami, nie spodziewał kłopotów, chyba że zdawał sobie sprawę z odporności Blake'a, Uczucie niepokoju narastające teraz w umyśle Walkera, na razie nie zapowiadało natychmiastowego niebezpieczeństwa.

Otwarto drzwi i Lo Sige wytoczył się na zewnątrz. Poruszał się sztywno, jak gdyby nie sam kierował własnym ciałem. Marva, zataczając się, wypadła z samochodu. Za nią chwiejnym krokiem podążyła Marfy. Blake kopnął splecione szczątki winorośli na podłodze. Ktoś wsunął rękę przez drzwi. Strażnik wystrzelił z ogłuszacza i przeskoczył na drugą stronę wozu, skąd mógł zobaczyć więcej.

Człowiek, którego trafił, zatoczył się do tyłu, potknął i runął jak długi. Blake strzelił w kierunku drugiego mężczyzny, który stał w pobliżu. Jeden strzał... został mu tylko jeden strzał! Choć Marfy i Lo Sige również byli uzbrojeni, Blake nie mógłby użyć ich ogłuszaczy.

Druga ofiara upadła bez przytomności. Walker zobaczył, jak Marfy i Lo Sige pochylili się nad Marwą i podnieśli ją. Poruszali się nienaturalnie sztywno. Cała trójka zaczęła oddalać się od ciężarówki. Blake ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Leżeli tam dwaj nieprzytomni mężczyźni. Jednym z nich był posłaniec Thohtzina, drugiego

Walker nie znał. Dookoła pojazdu rosły drzewa i gęste krzaki. Dwie nierówne koleiny wyznaczały powrotną drogę, ale jego nieświadomi towarzysze obeszlą ciężarówkę dookoła i prawdopodobnie zmiierzali w kierunku leśnej gęstwiny.

Blake poradziłby sobie z jedną osobą, ale wiedział, że z całą trójką nie ma szans. Stało się jasne, że prowadzeni siłą czyjegoś umysłu szli do ściśle określonego celu. Cel ten nie mógł znajdować się daleko, niemożliwe było bowiem utrzymanie mentalnej kontroli na większą odległość. Innymi słowy, ktokolwiek zawładnął umysłami towarzyszy Blake'a, musiał znajdować się w pobliżu. A ponieważ używał techniki znanej na Vroomie, mogło to oznaczać spotkanie z wrogiem, którego poszukiwali od dawna. Niezależnie od tego, czy przeciwnikiem będzie wyszkolony adept, czy nie, Blake może zrobić dobry użytek z ostatniego naboju. Pod warunkiem jednak że dane mu będzie zbliżyć się na odległość strzału. Podążył więc za przyjaciółmi, nasłuchując dookoła i bacznie zwracając uwagę na swój wewnętrzny sygnał ostrzegawczy.

Droga kończyła się ścieżką wydeptaną prawdopodobnie tylko przez dzikie zwierzęta. Ktoś jednak ostatnio próbował ją poszerzyć, bo dookoła widać było powycinane gałęzie. Zapadał mrok i cienie wydłużyły się, zmniejszając widoczność. Wreszcie dotarli do szerokiego koryta rzeki. Teraz, w suchej letniej porze, płynął tu zaledwie wąski strumyk. Trójka przyjaciół bezwolnie podążyła w górę potoku.

Blake szedł za nimi. Byli teraz na otwartej przestrzeni; naśladował więc ich zachowanie, by zmylić ewentualnego obserwatora. Przeszli wzdłuż zakręcającego koryta rzeki i w przedwieczornym półmroku ich oczom ukazało się światło. Nie był to jednak jasny i przyjazny blask płonącego ogniska ani też kolorowy promień rzucany zwykle przez tutejsze lampy, ale niebieskawy i złowieszczy blask, który sugerował obce pochodzenie.

Teraz Blake był już pewien! Za chwilę mieli spotkać autora całej tej misternie utkanej intrygi lub przynajmniej sprawcę ich ostatnich kłopotów. Powietrze przesycane było auro zwycięstwa. Walker rozpoznał to tak dokładnie, jakby zostało wykrzywane na głos. Ten, kto ich oczekiwał, był pewny całkowitego triumfu. Dlaczego jednak nie zorientował się, że nie zawładnął Blake'em? A może nie dbał o to, myśląc, że skoro zdołał podporządkować sobie trójkę śmiałków, nie musi martwić się o czwartego? To oznaczało, że przeciwnik mógł dysponować nie tylko zdolnością kontroli umysłowej, ale również innymi metodami pokonywania przeciwnika.

Budynek, w którego stronę zmiierzali, został starannie zamaskowany. Gdyby nie otwarte okna i światło, Blake w ogóle by go nie zauważył. Szorstkie kamienne ściany idealnie wtapiały się w skalisty brzeg rzeki, a umieszczone na płaskim dachu rośliny wyglądały jak część poszycia leśnego.

Trójka towarzyszy skierowała się prosto w stronę otwartych drzwi. Blake ukrył się za skałą wygładzoną przez wodę. Widział, że nie pomoże przyjaciółom, wchodząc razem z nimi w zastawioną pułapkę. Mógł zrobić tylko jedno: skutecznie wykorzystać ostatni nabój. Jeśli zdoła zakłócić lub przerwać, choćby na moment, kontrolę nad umysłami trojga, zyska również pomoc ze strony Lo Sige'a.

Ich przeciwnik musiał czuć się wyjątkowo bezpiecznie w zamaskowanej chacie. Nie po raz pierwszy Blake żałował, że obce mu są zdolności psi, które opanowali inni strażnicy. Gdyby je posiadał, mógłby teraz bez trudu określić liczbę ewentualnych napastników w kryjówce. Z drugiej strony jednak, gdyby Blake posiadał takie zdolności, sam stałby się podatny na myślowe ataki i szedłby teraz bezwolnie wraz z otumanionymi towarzyszami.

Niebieskawe światło bardziej skrywało, niż oświetlało. Na jego tle przez chwilę zamajaczyły sylwetki trójki przyjaciół, po czym zniknęły. Być może w drzwiach wisiała zasłona. Blake czekał. Jeśli przeciwnik spodziewał się również czwartego

jeńca, musiał przedsięwziąć pewne kroki, by go odnaleźć.

W końcu stało się tak, jak przypuszczał strażnik. Kolejny atak przyszedł niczym potężne uderzenie, które miało osłepić go, ogłuszyć i odebrać mu resztki tożsamości. Blake natychmiast podjął decyzję: uda, że ta próba zakończyła się powodzeniem.

Wytoczył się więc zza skały i chwiejnym krokiem skierował w stronę drzwi. Liczył na to, że zdąży podejść na odległość strzału, zanim przeciwnik zorientuje się, że go nabrano. Podeszedł do drzwi. Niebieskie światło otoczyło go, jakby wciągając do środka.

Było tak gęste, że widział jedynie zarysy trzech postaci: jedna stała, dwie leżały na podłodze. Lo Sige i bliźniaczki. Ani śladu kogoś jeszcze.

— Naprzód! — Uderzył w nich rozkaz.

Lo Sige pochylił się i z trudem podniósł jedną z dziewczyn.

Druga sama podpełzła do przodu. Blake, próbując dostrzec coś w gęstej mgle, trzymał się za nimi na wyciągnięcie ręki.

Tam! Ostrzeżenie było tak gwałtowne jak wcześniej w ogrodzie. Właśnie tam! Blake nie widział celu. Lo Sige kołował się pomiędzy Walkerem a niewidocznym źródłem mocy. Ściana... kolejne otwarte drzwi.

Ostrzeżenie było teraz tak wyraźne, że Blake rzucił się do przodu i wypadł z niebieskawej mgły do normalnie oświetlonego pomieszczenia. Przeskoczył ponad leżącym na podłodze ciałem i odzyskawszy równowagę, stanął oko w oko z przeciwnikiem. Mężczyzna siedział w miękkim fotelu i wpatrywał się w Blake'a z wyrazem najwyższego oszołomienia. Wykorzystując zaskoczenie przeciwnika, Blake strzelił mu prosto w głowę. Chciał natychmiast uśpić umysł wroga.

Usłyszał skrzypienie metalu i stracił równowagę. Podłoga pod nim zadrżała. Gdy próbował się unieść, zobaczył nieprzytomnego mężczyznę. Nieznajomy trzymał rękę na przyrządzie, który Blake znał... To był panel sterowania...

Strażnik poczuł typowy dla podróży czasowych skurcz. Znajdowali się na nielegalnym promie! Nie miał pojęcia, dokąd zmierzają. Może lecieli bez określonego celu, wysłani na chybił trafił przez tracącego przytomność przeciwnika.

— Co...

Blake dostał się do fotela pilota, choć nie miał pojęcia, co mógłby zrobić, by przerwać podróż lub skierować prom w jakieś konkretne miejsce. To instynkt podpowiadał mu, że powinien coś zrobić... cokolwiek. Spojrzał w miejsce, z którego przed chwilą dobiegł głos.

Lo Sige musiał przewrócić się podczas startu. Badał teraz rękoma przestrzeń dookoła siebie jak człowiek powoli budzący się z sennego koszmaru.

Blake znalazł się przy panelu sterowania. Odciągnął nieprzytomnego pilota i ułożył go na drugim końcu kabiny. Prom wyposażeniem różnił się zasadniczo od tych, którymi latali strażnicy. Blake wrócił do tablicy rozdzielczej. Odczytał z niej jedną cenną informację: nie błądzili bez celu, lecz znajdowali się na ściśle wyznaczonym kursie. Jaki był jednak ostateczny cel ich podróży, wiedział tylko nieprzytomny pilot.

— Przenosimy się? — spytał Lo Sige, chwiejnie stając obok. On również pochylił się, by odczytać kod podróży. — Przenosimy się — odpowiedział sam sobie, po czym potrząsnął głową. Nie był to jednak gest zaprzeczenia, lecz próba odzyskania jasności umysłu.

Marfy usiadła, postępując, i złapała się rękami za głowę. Zemdliło ją, zaczęła się trząść. Jednak już po chwili rozejrzała się dookoła całkiem przytomnie.

Blake przeszukałabinę. Choć była raczej ubogo wyposażona, miał nadzieję, że znajdzie przynajmniej apteczkę pierwszej pomocy, w której były tak potrzebne teraz stymulanty. Jest!

Połknął jedną tabletkę, resztę oddał Lo Sige'owi. Ten uczynił podobnie. Ale gdy

Marfy, która sama również połknęła lekarstwo, chciała podać je siostrze, Pague gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie wiemy, czym ją nafaszerowali. Lepiej zostawmy ją w spokoju i poczekajmy, aż sama dojdzie do siebie.

Przykucnął przy nieprzytomnym, przyglądając się jego obwisłej twarzy.

— Nie znam go...

— Ale ja go znam! — wykrzyknęła Marfy. — To Garglos!

— Pilot helikoptera... z bazy Projektu? — Blake musiał pogrzebać chwilę w pamięci, by skojarzyć to imię. Początek jego misji wydawał się teraz tak odległy, bo przyćmiły go późniejsze wydarzenia.

— Musi posiadać ogromną moc, jeśli udało mu się kontrolować całą naszą trójkę. Ale dlaczego pracował jako pilot w Projekcie? — zapytał Lo Sige, po czym sam sobie odpowiedział. — To pewnie przykrywka. Sam nam to wyjaśni.

— Czy będziecie w stanie oprzeć się jego atakowi, gdy się ocknie? — spytał Blake.

— Nie. Potrzebujemy do tego środków, których tu nie ma. Gdy tylko odzyska przytomność, trzeba natychmiast znów go uśpić!

— Zużyłem już wszystkie naboje — powiedział Blake.

Lo Sige pewnym ruchem położył rękę na pasie. Po chwili zaczął nerwowo szukać pomiędzy fałdami ubrania. Spojrzał na Blake'a zupełnie zaskoczony.

— Nie ma go!

— A co z twoim? — Blake zwrócił się do Marfy.

Ręka dziewczyny powędrowała w głąb szerokiego rękawa koszuli.

— Mojego też!

— Jak to?

— To proste — powiedział ponuro Lo Sige, wskazując na Garglosa — bez wątpienia kazał nam się rozbroić, gdy byliśmy pod kontrolą. Jeśli nie zdołasz go znokautować pierwszym ciosem, pozostaje nam tylko jedno. Gdy już wylądujemy, musimy odejść od promu najdalej, jak się da. Nie wiem tylko, jak duży zasięg mają jego ataki. Czy ciężarówka znajdowała się blisko promu?

— Trudno powiedzieć. Na pewno był to spory kawałek drogi — odparł Blake.

— Nie możemy pozwolić sobie na takie ryzyko. Trzeba unieszkodliwić go od razu, gdy tylko zacznie przychodzić do siebie!

Blake pomyślał, że Lo Sige był chyba zbyt optymistycznie nastawiony do całej sprawy. Nie powiedział jednak nic. Nie było podstaw do przypuszczeń, że tam, dokąd lecą, zyskają jakąkolwiek przewagę. Gdyby zmierzali na Vroom, istniało duże prawdopodobieństwo, że wpakują się w kłopoty, jakim nie zdołają sprostać.

— Lecimy na Vroom? — Tym razem Marfy sprawdziła odczyt na tablicy.

— Nie sądzę. — Lo Sige siadł na środku podłogi ze skrzyżowanymi nogami. — Sprowadził nas tu, do siebie. Wcześniej ustawił kod i czekał. Wszystko było przygotowane, by nas stamtąd zabrać. Naprawdę nie wydaje mi się, żebyśmy lecieli na Vroom. Po pierwsze, twój ojciec, świadom tego, że użyty zostanie nielegalny prom, wykorzystałby wykrywacze, które namierzą każdy statek poruszający się w okolicy naszego świata lub po oficjalnie wyznaczonych ścieżkach. Po drugie, przygotowałby się na przywitanie nielegalnego promu. Moim zdaniem lecimy do kolejnej kryjówki, którą ten, kto stoi za tym wszystkim, uważa za całkowicie bezpieczną.

— Bezludny świat — stwierdził Blake.

— Czemu?

— Taki byłby najbezpieczniejszy. Nie wzbudza się wtedy niczyich podejrzeń.

— Bardzo możliwe. Jest jednak wiele niezamieszkanymi poziomów.

Tymczasem... — Lo Sige wstał i zaczął przetrząsać ubranie nieprzytomnego Garglosa. — Żadnej broni. Był bardzo pewny swego. Nie ma tu nic, co mogłoby zasugerować nam cel podróży. Marfy, czy możesz dotrzeć do siostry i wydobyć z niej coś? Może ona zna odpowiedź lub przynajmniej jej część, jeśli przybyła do Nowej Brytanii z Garglosem.

— Nie. Jej umysł to zbiór rozbitych elementów. Czy... czy ona zawsze już taka będzie? — Marfy wpatrywała się w Lo Sige'a z przerażeniem.

Strażnik nie znał odpowiedzi. Nawet gdyby chciał, nie mógłby pocieszyć dziewczyny. Marfy od razu wiedziałaby, że ją oszukuje. Milczał więc, a zamyślona dziewczyna wpatrywała się w pustą ścianę kabiny tuż za nim.

— Jej obecny stan — łagodnie odezwał się Lo Sige — może być spowodowany zarówno przez narkotyki, jak i atak Garglosa. Powinna otrząsnąć się samoistnie jak człowiek budzący się z ciężkiego snu. W przeciwnym razie, gdy tylko wrócimy na Vroom, zostanie poddana kuracji. Czy możesz jakoś do niej dotrzeć? Narzucić jej swoją wolę?

— Spróbuję. — Odpowiedź Marfy brzmiała niezbyt przekonująco. Jakby całą uwagę zwróciła na własne wnętrze, na uczucia... na obawę o los siostry.

Rozległ się sygnał ostrzegawczy. Blake zmusił dziewczynę, by położyła się między nim a siostrą. Objął obie ramionami. Przekonał się teraz, że nieprzyjemne drgania związane z lądowaniem promu o wiele łatwiej było znieść w fotelu niż na podłodze.

Przynajmniej jednego mogli być pewni. Nie wylądowali na Vroomie: droga w tę stronę nie trwała tyle samo co podróż do Z625. Lo Sige siedział w fotelu pilota, obserwując tablicę rozdzielczą. Zmysł równowagi Blake'a wyjątkowo słabo znosił podróże i dlatego strażnik siedział przez chwilę z zamkniętymi oczami, walcząc z własną słabością.

Coś wstrząsnęło promem tak, że zadrżała cała kabina. Gdziekolwiek się teraz znaleźli, nie było to legalne lądowisko. Prom zatrzymał się i zamarł w bezruchu. Blake przełknął ślinę i usiadł. Lo Sige gwałtownie wskazał na okno.

Wyjrzeli na zewnątrz. Panowała tu noc. Ciemność przecinały jedynie promienie księżyca, a na tle gwiazdzistego nieba majaczyły kontury skalnych masywów. Okno promu ograniczało znacznie pole widzenia i dlatego nie udało im się zobaczyć nic więcej.

Marfy poruszyła się i odgarnęła z twarzy splątane włosy.

— Tu... tu jest jak w świecie Projektu — powiedziała powoli.

— Całkiem możliwe — odparł Lo Sige. Wstał z fotela i podszedł do drzwi:

— Z odczytu wynika, że skafandry ciśnieniowe nie będą konieczne. Atmosfera nie jest toksyczna. Dobrze byłoby trochę się rozejrzeć. A ty — wskazał na Blake'a — nie spuszczaaj Garglosa z oka. Nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie nieprzytomny. Nie mam ochoty wracać tu za chwilę na jego rozkaz.

Choć wbrew własnej woli, Blake został. Wiedział, że tak będzie bezpieczniej. Spojrzał na wychodzącego Lo Sige'a, po czym zdarł z siebie przypominający szarfę pas i podarł go na wąskie, podłużne pasma. Wiedział, że być może nie zdoła pokonać umysłu Garglosa, ale chciał przynajmniej fizycznie unieszkodliwić wroga. Przeniósł nieprzytomnego na fotel dla pilota i przywiązał do siedzenia. Zajęło mu to dłuższą chwilę.

Marfy cały czas wpatrywała się w okno. Przez moment widać było ciemną sylwetkę Lo Sige'a, która zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Dziewczyna odezwała się pierwsza.

— Garglos musiał czuć się bardzo pewnie, skoro przywiózł nas tutaj. Wiedział, że tu nikt nie będzie mu przeszkadzał.

— Jak długo jest w stanie kontrolować twój umysł? — spytał Blake.

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie będzie miał dużego problemu z oszołomioną Marwą. Ale mnie i Lo Sige'a razem... na pewno niezbyt długo.

— Co oznacza, że spodziewał się tutaj czyjejś pomocy. Może kogoś z Projektu? — Albo, dodał już w myślach, szajki swoich ludzi, którzy ukrywają się teraz gdzieś w ciemnościach. Tak czy owak, Lo Sige, choć wyszkolony i przebiegły, może właśnie pakować się prosto w zasadzkę. Jedynym pocieszeniem dla Blake'a był teraz jego zmysł, który nie dawał żadnego ostrzeżenia.

Nie mógł usiedzieć w miejscu. Chodził nerwowo wzdłuż niewielkiej kabiny, co chwila upewniając się, czy Garglos nie odzyskał przytomności. Nadal wyglądał na nieprzytomnego. Czy ktoś właśnie nie zapukał do drzwi? Powraca Lo Sige...? A może to kto inny? Blake podszedł do wjazdu, by podsłuchać, co dzieje się na zewnątrz...

Zagrożenie! Kolejny atak był wymierzony bezpośrednio w niego i jednocześnie tak silny, że Blake zatoczył się. Czyjeś ręce pochwytyły go za nogi i ściągnęły na podłogę. Ujrzał obróconą ku górze twarz Marvy, jej niewidzące oczy. Ponad nią zobaczył napięte ciało Garglosa, wciąż przywiązane do fotela. Znow zaatakował. Marfy skoczyła na Blake'a, przygniatając go całym ciężarem.

Obie siostry walczyły z Blakiem, próbując go unieruchomić. Garglos nie otworzył jeszcze oczu, ale siła jego ataku na strażnika nieco zelżała. Były pilot nie mógł jednocześnie kontrolować obu dziewcząt i przeprowadzać silnego natarcia na umysł Walkera. Nie było czasu na półśrodki. Blake spróbował uwolnić jedną rękę. Musiał jak najszybciej wyeliminować Marfy. Nie było to jednak proste, bo dziewczyna drapała z prawdziwą furją i musiał cały czas chronić oczy przed ostrymi paznokciami. Tymczasem Marva leżała mu na nogach, tak mocno oplatając je ramionami, że nie był w stanie zrzucić jej z siebie.

Nagle usłyszał odgłos otwieranego wjazdu i zobaczył nad sobą pustą i pozbawioną oznak samodzielnego myślenia twarz Lo Sige'a. Jednocześnie spostrzegł, jak Pague zamierza się na niego i zapadł w nicość.

Leżał w śnieżnej zaspie. Ręce i nogi skostniały mu z zimna i nie mógł nimi poruszać. Nie... to nie był śnieg, a on nie czuł zimna. Leżał teraz na rozżarzonym popiele z ogniska, który parzył go niemiłosiernie. Ponad nim w dzikim kręgu płasały obie siostry razem z Lo Sigiem, a Com Varlt przygrywał im na dużym bębnie. Gdy skończą, wyrwą mu serce, by nakarmić ogromnego żółwia, siedzącego na skale powyżej.

Bum... bum... monotonne dźwięki bębna i tańczące postacie. Śnieg... popiół... śnieg... Skok w czasie, międzypodróż, świat za światem, a w żadnym nie ma dla niego miejsca. Gdy podróż się skończy, Blake na zawsze pograży się w ciemności, tam gdzie czas stoi w miejscu. Skok... bum... skok... bum...

Zdawało mu się, że krzyczy, ale nikt nie odpowiedział na jego niewyraźne wołanie o pomoc. Żółw obrócił głowę i spojrzał na Blake'a. Żółte oczy bestii patrzyły bez litości. Skok... bum...

Żar nie pochodził z zewnątrz. Był w Blake'u. Gdyby udało mu się zgarnąć trochę śniegu i wsadzić do ust. Poruszył ręką. Próbował zgarnąć trochę chłodnego śniegu. Śnieg... popiół... Jego dłonie trafiły na twardą i nieustępliwą powierzchnię.

Dudnienie ustało. Nie widział już nic oprócz ciemności. Potem stopniowo dotarło do niego, że wszystko, co widział przed chwilą, istniało jedynie w jego wyobraźni. Cały czas jednak czuł żar. Poruszył się słabo, szukając ukojenia. Pojawiły się inne nieprzerwane dźwięki, a wraz z nimi nadszedł niepokój, którego nie mógł pojąć, ale który skłaniał go do działania. W końcu zmusił się i otworzył oczy.

Nad sobą zobaczył szeroką szarą płaszczyznę, która nie była niebem. Otaczały ją ściany w tym samym kolorze. Nie bez wysiłku obrócił głowę i odkrył, że nie jest sam. Trójka przyjaciół, którzy przed chwilą płasali nad nim w szalonym tańcu, leżała teraz nieruchomo na podłodze, jakby płasy wyssały z nich resztkę życia. Marfy poruszyła się nieznacznie i obróciła głowę. Spojrzała mu w oczy.

— Blake?

Cichutki głosik Marfy podziałał jak impuls przywracający energię. Wyprostował rękę i nogi i spróbował usiąść.

Dźwiękiem, który słyszał poprzednio, były jęki Marvy i Lo Sige'a.

— Blake... wody... — Głos Marfy był nieco silniejszy. Rozejrzał się po pokoju. Leżeli na podłodze z wygładzonego kamienia, a ściany podobne były do tych, jakie widzieli w bazie Projektu.

Baza... zapasy... woda... Choć powoli i z trudem, udało mu się połączyć fakty. Drzwi... na zewnątrz... woda... Resztkami sił obrócił głowę. Zobaczył drzwi, a raczej ich zarys. Nie miał siły, by wstać, zaczął więc czołgać się w ich kierunku...

— Blake? — szeptał przeszedł w żalosne zawrodoenie.

Zatrzymał się i obejrzał, walcząc z zawrotami głowy, które powodował każdy ruch. W ustach czuł popiół, pozostałość po koszmarnych wizjach. Jakoś zdołał jednak wyrzucić:

— Woda... idę po wodę...

— Woda? — Marfy próbowała ukłęknać.

Blake podczołgał się bliżej drzwi i napał na nie ramieniem, używając całej siły, jaka mu pozostała. Ani drgnęły. Spróbował ponownie, a później słabo uderzył w nie pięściami.

Zamknięto ich tutaj, bez możliwości wyjścia! Myśl o wodzie zwiększyła pragnienie. Woda... musi się napić!

— Nie... nie... — Marfy dołączyła do Blake'a i chwyciła jego zaciśniętą dłoń — nie tak.

Popchnęła drzwi, nie do przodu jednak, lecz w prawo. Tym razem posłusznie odsunęły się, odjeżdżając wzdłuż ściany.

Wypełzli na korytarz. To musiała być baza Projektu, ale... Blake przystanął i zaczął nasłuchiwać. Żadnego dźwięku, nawet hałasu maszyn. Na dole w korytarzu były kolejne drzwi, a w progu leżało...

— Och! — Marfy odwróciła się do Blake'a i kurczowo chwyciła go za ramię. Uwolnił rękę z uścisku i odsunął dziewczynę pod ścianę.

— Zostań tu. — Widział już różne oblicza śmierci i był pewien, że za chwilę będzie świadkiem kolejnego.

Wydawało się, że droga wzdłuż korytarza, gdzie leżały zwłoki, ciągnęła się bez końca. Martwy człowiek leżał z głową opartą na wyciągniętym ramieniu, tyłem do Blake'a. Strażnik obrócił go, by zobaczyć twarz... Była znajoma. Sarfinian! Blake, jeszcze jako uczeń, odbył z nim jeden lot. Sarfinian pracował jako technik i był odpowiedzialny za prom oraz instalacje łącznościowe na placówkach.

Walker spojrział w głąb pomieszczenia, gdzie leżał zabity. Sprzęt, w większości urządzenia komunikacyjne, był prawie całkiem zniszczony... Sabotaż! Kable poplątane, delikatne instalacje poniszczone. Ktoś naprawdę bardzo się postarał, żeby nikt już nigdy nie wysłał stąd żadnej wiadomości!

Dotarł do ściany. Opierając się o nią, wstał i dowlóknął się do miejsca, w którym czekała Marfy.

— Kto to? — zapytała, gdy schylił się, by pomóc jej wstać.

— Strażnik, technik łączności. Czy to... to świat Projektu?

— Tak! — powiedziała, wciąż wpatrując się w zabitego.

— Gdzie... zapasy? — mówił z trudem. Stał wyprostowany i podtrzymywał dziewczynę, a to kosztowało wiele wysiłku.

Marfy powoli rozejrzała się po korytarzu.

— Tam — wskazała na przeciwległy koniec — tak mi się... wydaje...

— Poczekaj tu — rozkazał. Mógł iść tylko sam. Nie miał dość siły, by ją tam zaprowadzić. Gdy jednak zaczął wolno przesuwając się wzdłuż ściany, dziewczyna ruszyła za nim. Nie protestował. Był zbyt słaby.

Jakoś udało mu się dotrzeć do przeciwległego końca korytarza. Znajdowało się tam dość duże pomieszczenie. Poznał to miejsce, jadalnię, w której zmuszony był zjeść posiłek pod czujnym okiem Kutura. Na stole zobaczył stos talerzy, wśród nich szklanę.

Nigdy żaden napój nie smakował mu tak jak ten. Jednym haustem wypił połowę, resztę zostawiając Marfy. Z korytarza dobiegał odgłos jej niepewnych kroków. Blake oparł się o stół i odwrócił. Dziewczyna wtoczyła się do jadani. Podał jej szklanę. Marfy osunęła się na podłogę, usiadła i oparła plecami o ścianę. Drżącymi rękami

chwyciła szklanę i przystawiła do ust.

— Gdzie... więcej... dla Marvy... dla Lo Sige'a... gdzie? Blake okrążył stół, zaglądając do pozostałych szklanek.

W dwóch znalazł na dnie trochę płynów. Zlał je do jednej. Na talerzach pozostały resztki zaschniętego jedzenia. Gdzieś tutaj musiało być więcej jedzenia. Przyniósł Marfy drugą szklanę.

— Gdzie są zapasy?

— Kuchnia jest tam. — Mocno ściskając szklanę, próbowała uspokoić drżenie rąk.

Blake poszedł we wskazanym kierunku. Kuchnia była zautomatyzowana. Paczkowaną żywność wrzucało się do odpowiednich otworów i po chwili pojawiała się na talerzach i tacach gotowa do spożycia. Ale półki były puste; zniknęły wszystkie półprodukty.

Nie miał już żadnych wątpliwości co do sytuacji, w której się znaleźli. Woda, tak, mieli jej pod dostatkiem w rzece nieopodal bazy. Ci, którzy porzucili ich tutaj, nie widzieli powodu, by odbierać im wodę. Ale żywność — tej im nie zostawili. Pozbawiono ich również środków łączności i promu. Z bazy usunięto żywność, a jedynym śladem po jej użytkownikach było martwe ciało technika.

Lo Sige siedział teraz na miejscu Kutura, a Marva, którą co jakiś czas wstrząsały gwałtowne dreszcze, jeszcze od czasu do czasu traciła na krótko przytomność. Marfy i Blake siedzieli przy stole, na którym rozłożyli to, co udało im się znaleźć.

— To wszystko. — Starszy strażnik spojrzął na trzy niewielkie paczki. W środku nie było żywności, a jedynie tabletki regenerujące. Tylko tyle znaleźli podczas przeszukiwania prywatnych kwater, które nosiły ślady pospiesznej ewakuacji. Nie było to jedzenie. Tabletki dawały jedynie złudne poczucie wzmocnienia. W rzeczywistości, połknięte bez jedzenia, sprawiały, że organizm spalał się od wewnątrz.

— Co z nadajnikiem? — spytała Marva, w tej chwili przytomna. — Można go naprawić?

— Widziałas, co z nim zrobili — spokojnie odpowiedziała Marfy.

— Nie będziemy chyba tak siedzieć tutaj i...

— Nie. Wiem, że z natury trudno nam się poddać — powiedział Lo Sige — ale o nadajniku możemy zapomnieć.

Blake spojrzął na niego:

— Masz jakiś pomysł? — Jego pytanie zabrzmiało jak oskarżenie.

Lo Sige wzruszył ramionami.

— Jest szansa, jednak tak nikła, że nie powinniśmy robić sobie żadnych nadziei.

— A jednak jest — podchwyciła Marfy. — Jeśli tylko można coś zrobić...

— Na przykład co? — Blake próbował sprowadzić ich na ziemię.

— To tylko przypuszczenia, ale... — Lo Sige przerwał gwałtownie, po czym dodał: — Nie wydaje mi się, żeby specjalnie nas szukano. Po tym, co stało się w bazie, odpowiedziami za to będą chcieli, żeby jak najszybciej o niej zapomniano. Choć uszkodzili nadajnik, terminal został nietknięty.

— Na co nam terminal, skoro nie mamy promu? — spytał Blake.

— Masz na myśli... przełamanie zapory między ścieżkami czasowymi. — Marfy wpatrywała się w Lo Sige'a. — Ale... ale to tylko pogłoski? — Widać było, że chce, aby Lo Sige zaprzeczył.

— Zawsze tak to postrzegaliśmy — przytaknął — jednak teraz trzeba sprawdzić prawdziwość tych pogłosek.

„Przełamanie ściany między ścieżkami czasowymi?” Blake już gdzieś o tym słyszał. Rozmowa... gdzie... z kim? Nie mógł sobie przypomnieć. Jego umysł wciąż

pracował ociężale. Mógł jednak wyciągnąć z tych kilku słów pewne wnioski, czy może raczej przypuszczenia i domysły.

Placówki do podróży międzyczasowych wykorzystywane były regularnie i od wielu lat. Pojawiły się hipotezy, że na takich stacjach, z powodu częstych podróży, bariery czasowe kurczyły się i w niektórych miejscach ulegały osłabieniu. Do tej pory były to jedynie pogłoski. Nigdy nie zezwolono na oficjalne badania, bo wiązało się z nimi zbyt duże ryzyko naruszenia równowagi całego systemu.

— Baza funkcjonuje od niedawna — sprzeciwił się Blake. — Zwężenie ścian między ścieżkami, jeśli w ogóle możliwe, pojawia się po latach częstych i powtarzających się podróży.

— Być może to kolejny przesąd — odparł Lo Sige. — W tej sprawie nie ma nic pewnego. Realizację Projektu rozpoczęto jakieś osiemnaście miesięcy temu. Często składano tu kontrolne wizyty, zmieniano personel, dostarczano zapasy. Z pewnością nie można go porównywać z tak wyeksploatowanymi stacjami jak Argos czy Kalabria, ale tu również podróżowano dosyć często.

— Co proponujesz? — Blake zrozumiał intencje Lo Sige'a. Starszy strażnik chciał zająć czymś obie siostry, dać im jakąś nadzieję, by nie oszalały, gdy wyjdzie na jaw całkowita beznadziejność ich sytuacji. Jak długo można przeżyć bez jedzenia? Dłużej niż bez wody, tego był pewien.

— Przetrzęsniemy pomieszczenie nadawcze w poszukiwaniu materiałów, z których dałoby się zbudować wzmacniacz. — Lo Sige otworzył jedną z paczek i wysypał tabletki na stół. — Każdy niech zje jedną.

— Wzmacniacz, po co? — Choć Blake wiedział o grze Lo Sige'a, musiał zadać mu to pytanie.

— By wzmocnić nasz sygnał. Połączony sygnał, który ze wzmacniaczem...

Lo Sige spojrział na Marfy i jej siostrę.

— Czy... czy naprawdę myślisz, że to się uda? — spytała Marfy.

— Warto spróbować. — Lo Sige przełknął tabletkę. — Mamy już odbiorcę wiadomości: to Erc Rogan. Na pewno dostroił swój umysł do waszych i teraz was szuka. Jest zatem w pełni gotów do odbioru takiej wiadomości.

— To znaczy — Blake starał się ukryć niedowierzanie — że postaracie się, by wasze myśli wydostały się poza ten świat?

Kompletny obłąd! Lo Sige nie mógł traktować tego poważnie. A jeśli dziewczyny potraktowały, znaczyło to, że z całej czwórki jedynie Blake zachował zdrowy rozsądek. Czy traumatyczne przeżycie z Garglosem mogło wpłynąć tak na Lo Sige'a? Jeśli Blake miałby wskazać najtwardszego strażnika, podałyby najpierw właśnie jego nazwisko. Być może jednak nie znał się na ludziach. Z drugiej strony nie miał pojęcia, jak bardzo umysłowa kontrola może zmienić ofiarę, bo jego wewnętrznej bariery nigdy nie przełamano.

— Mniej więcej — odpowiedział Lo Sige, nieznacznie się uśmiechając — o to chodzi. Za pomocą wzmacniacza możemy połączyć się z kimś, z kim kiedyś mieliśmy dobry kontakt telepatyczny...

— Ojciec! — przerwała mu Marva. Znowu była całkiem przytomna.

— A jeśli wasza wiadomość przeskoczy tylko o kilka poziomów. .. — Blake umilkł. Jeżeli to gra, która miała uspokoić dziewczyny, nie było sensu dyskutować. Lepiej pozwolić im, by wierzyły, jak długo się da.

— I tak znasz się na tym lepiej niż ja. — Blake starał się mówić na tyle przekonująco, by pomyśleli, że naprawdę uwierzył w całe to wariactwo. — Jeśli chodzi o telepatię, jestem ślepy i głuchy.

Marfy uśmiechnęła się do niego:

— Nie przesadzaj.

— Nie mam takiego zamiaru — odparł, połykając swoją tabletkę.

Wnieśli ciało zabitego do prywatnej kwatery Kutura i zabezpieczyli drzwi. Potem wrócili do pomieszczenia ze zniszczonym nadajnikiem. Po okiem Lo Sige'a Blake wyrwał, odkręcał i porządkował rozmaite części, podczas gdy starszy strażnik próbował coś naprawić. Marfy pomagała to jednemu, to drugiemu, a Marva odpoczywała na pośłaniu z materaców, które ułożyli w korytarzu. Nie chcieli się rozdzielać, jak gdyby gdzieś na terenie bazy coś czało się w ciemnościach i bało się podejść, dopóki byli razem.

Blake dwa razy poszedł do rzeki po wodę. Uszkodzone przez nawałnicę poletka nie zostały naprawione z wyjątkiem jednego. Dookoła stały porzucone maszyny.

Musieli często odpoczywać. Siłę czerpali jedynie z tabletek, a bolesne skurcze głodowe i trzęsące się dłonie przypominały im, że tej siły nie wystarczy na długo.

Nastała noc. Wyszli na korytarz i ułożyli się na pośłaniu, by nieco odpocząć. Blake nie był pewien, czy zasnął. Chyba co jakiś czas tracił przytomność. Gdy ocknął się za którymś razem, odkrył, że właśnie kuca na podłodze kabiny łączności, próbując oderwać kawałek kabla od stopionej masy.

I znów był dzień. Następny, a może jeszcze kolejny. Lo Sige poprowadził ślaniającą się na nogach procesję do pomieszczenia, w którym znajdował się terminal. Blake usiadł i oparł się o ścianę. Półprzytomnym wzrokiem przyglądał się, jak Lo Sige powoli, bardzo ostrożnie ustawił na ziemi dziwny przyrząd, efekt ich mozolnej pracy, i upewniał się, że wszystko podłączył prawidłowo.

Pomyślał, że Lo Sige ma zamiar doprowadzić tę farsę do końca. Już się stąd nie ruszą. Opadną zupełnie z sił, stracą przytomność z wyczerpania i... być może nikt nigdy ich nie odnajdzie. Nigdy już nie dowiedzą się, co się stanie dalej z międzypodróżnymi, i nigdy też nie poznają prawdziwej przyczyny, dla której spotkał ich taki los.

— W porządku? — Marfy miała szeroko otwarte oczy. Farba maskująca dawno już się starła i jej twarz była teraz blada i pociągła.

Lo Sige sprawdził wszystko po raz ostatni i podniósł się.

— Tak mi się wydaje.

— Co teraz? — zapytała krótko.

Lo Sige otworzył ostatnią paczkę tabletek i wysypał kilka na dłoń. Marfy poszła po Marwę i pomogła jej podejść do miejsca, gdzie stał strażnik.

— Ojciec — mówiła do siostry głośno i wyraźnie — pomyśl o ojcu. Wyobraź go sobie. Wezwij go...

— Tak, wiem. — Dziewczyna przytaknęła.

Lo Sige dał każdej z nich po tabletkę. Potem jedną podał Blake'owi.

Walker potrząsnął głową.

— Wy potrzebujecie ich bardziej.

Nie wierzył, nie mógł uwierzyć, że im się powiedzie. Po prostu chciał spokojnie doczekać końca, bez żadnych stymulantów.

Pozostali usiedli wokół urządzenia i złapali się za ręce. Być może sama świadomość tego, że coś robią, by się ocalić, sprawiała, że czuli się lepiej. Blake był zbyt wyczerpany, żeby dbać jeszcze o cokolwiek; nie zazdrościł im nawet tej nadziei.

Musiał się zdrzemnąć. Czas, jeśli w ogóle tu istniał, nie miał żadnego znaczenia. Za każdym razem, gdy się budził, widział ich siedzących w tej samej pozycji, z głowami opuszczonymi na piersi. Powoli nabierał przekonania, że naprawdę są gdzie indziej, a tu pozostały jedynie ich porzucone ciała.

Znów padało. Krople deszczu z łoskotem uderzały o dach. Ciekawe, ile czasu zajmie nawałnicom i sztormom zniszczenie opuszczonego obozu i pogrzebanie pod jego ruinami pięciu ciał?

Woda...

Na środku pomieszczenia pojawił się słaby strumień światła — dach musiał przeciekać. Jakaś iskierka wewnątrz kazała Blake'owi poderwać się i ostrzec pozostałych. Ale to nie miało już znaczenia. Nie było ich...

Światło?

Nie!

Światło oślepiło go tak, że musiał zamknąć oczy. Potem... gdy je otworzył... coś o migoczącej powierzchni znajdowało się w miejscu, gdzie wcześniej nie było nic. To halucynacje, powtarzał sobie w myślach nawet wtedy, gdy zobaczył otwierający się właz.

Spierchniętymi ustami sącył płyn z naczynia, które trzymał w drżących dłoniach. Halucynacja? Uczepił się teraz takiego wytłumaczenia. Jednak, jak na sen, cała sytuacja wydawała się wyjątkowo realna: smak jedzenia w ustach, prom, w którym się znajdował, zwykły, dwuosobowy statek, jakich używali strażnicy.

— Tak to wygląda, sir. Na rozkaz Vroomu zamyka się stacje jedna po drugiej. — Słowa pilota dźwięczały Blake'owi nad głową — likwidacja już się zaczęła.

— Likwidacja? — słaby i zduszony głos Lo Sige'a dobiegł z drugiego końca promu. — Co to znaczy?

— To'Kekrops! — Pilot nie krył wzburzenia. — Zdołał przeforsować ten wniosek w Radzie. Zaledwie dwoma głosami. Nie było przy tym ani Erca Rogana, ani wielu innych. Podobno niechętnych mu członków Rady celowo powiadomiono o głosowaniu zbyt późno.

— Nawet jeśli rzeczywiście tak było, jak udało się To'Kekropsowi tak szybko przejąć władzę? — zdziwił się Lo Sige.

— O, z pewnością planował to od dawna. Drużyny specjalnie wybranych strażników pojawiły się na głównych stacjach i przejęły kontrolę. Na kilku stawiano opór, ale nasi ludzie nie mieli żadnych szans. Stacji nigdy nie obsługiwały liczne załogi. Każdemu, kto nie poddał się bez walki, grozili wygnaniem. Tak uczynili z wami. Zresztą, nie jesteście jedyni. Trudno teraz o pewne informacje, większość to tylko pogłoski. Kontrolują wszystkie kanały łączności i wysyłają nimi wyłącznie rozkazy do natychmiastowego poddania się i powrotu na Vroom.

— Więc lecisz tam teraz?

Blake zaspokoił już pierwszy głód i teraz uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Nie znał pilota, mężczyzny o ostrych rysach, z owalną blizną na twarzy. Nieznajomy miał na sobie skafander z zielonymi obszyciami, który zwykli nosić odkrywcy. Nic dziwnego zatem, że w jego głosie było teraz słycać wahanie.

— Mogę zawieźć was na Vroom, jeśli naprawdę tego chcecie.

— Więc nie lecisz tam teraz?

— Każdy prom lądujący na Vroomie podlega konfiskacie, a pilot nadzorowi. To jedyna pewna informacja, jaką mam. Nie, nie miałem zamiaru tam lecieć.

— Zatem dokąd? Do kryjówki? Nieznajomy potarł podbródek szczupłą dłonią.

— Jestem odkrywcą, sir. Wygnanie do jednego ze światów, bez jakichkolwiek zasobów, to jedno, a własna baza, do której zawsze można wrócić, to co innego.

— Nie jesteś pewnie sam, jak sądzę?

Pilot odwrócił się i spojrzał na Blake'a. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym nieznajomy zerknął na siostry, które, owinięte w ubrania, spały na podłodze.

— Nie, nie jestem sam. Są też inni.

— A wśród nich może Eric Rogan?

— Tak. Choć teraz nie jest z nim najlepiej. Był na stacji Saracossis, gdy została zaatakowana. Jesteśmy pewni, że chodziło im o niego. Oberwał z lasera, ale udało mu się umknąć. Używają wyjątkowo silnej kontroli umysłowej i Rogan boi się, że będą chcieli przerobić go na zwolennika To'Kekropsa.

— W takim razie nie mamy czego szukać na Vroomie. Zabierzesz nas do swojej kryjówki?

— A co z nimi? — Pilot wskazał na dziewczyny. — Potrzebują opieki medycznej, a z tym u nas krucho.

— To córki Rogana, mogą się przydać. Na pewno nie zechcą dostać się w łapy

Limitarów.

— Dobrze. Jeśli tylko nam się uda... Według ostatnich wiadomości ściąają promy na Vroom automatycznie. Choć może to tylko pogrożki...

— Automatycznie? Nie obchodzi ich, co stanie się z załogą? — powiedział zgryźliwie Lo Sige. — Żeby zabezpieczyć się przed tym, musiałbyś odłączyć część czytnika kodu.

— Który wtedy może mnie wysłać nie wiadomo dokąd. — Pilot wzruszył ramionami. — Wiem i jestem na to przygotowany. Niewiele jest rzeczy gorszych od wygnania.

— A co z tą twoją kryjówką? Oczywiście jest zarejestrowana. Rosły mężczyzna uśmiechnął się.

— A skąd! Pracuję samotnie od pięciu lat. Mój status daje mi możliwość wyboru, z czego chętnie skorzystam. Jedyne nagranie, jakie znajdują pod nazwiskiem Faver Teborun, jeśli zaczną węszyć, to wniosek o rezygnacji, który złożyłem, żeby mieć wolną rękę. Mam niezarejestrowaną bazę w centrum pasa Promieniowanie #2.

Pas Promieniowania #2 to zespół światów — jak licznych, nie wiadomo — które atomowa katastrofa pogrążyła w ponadczasowym zapomnieniu. Badanie tych terenów wymagało ogromnej odwagi lub brawury, na którą nie mógł sobie pozwolić żaden strażnik.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Teboruna:

— To dzikie, niezalegalizowane miejsce. Wciąż trochę napromieniowane, oczywiście. Nie całkiem jednak spalone. Nieco podobne do Vroomu. Mieszka tam masa przedziwnych mutantów nie mających nic wspólnego z ludźmi. Przynajmniej nie ci, których widziałem. To dziura, do której nie zajrzy żaden tropiciel. Wspominałem o niej w raportach tylko dwa razy. W obu przypadkach rozmawiałem tylko z Erkiem Roganem, a oficjalnego nagrania nie sporządzono. Z urzędowych raportów wynika, że w tym czasie byłem zupełnie gdzie indziej, handlując na poziomie Winlandii.

— Ilu z naszych dotarło do twojej kryjówki?

— Nie wiem. Rogan przywiózł ze sobą czterech i wysłał informacje, jedną do Nowej Brytanii i kilka do ludzi, których miał nadzieję zwerbować, zanim zostaną uwięzieni. Gdy wyruszałem po otrzymaniu waszego sygnału, było nas około tuzina. Powiedz, jak udało wam się wysłać wiadomość? Komunikator nie odbierał sygnałów od E1045 w dół.

— Użyliśmy innego sposobu... — Lo Sige szczegółów pozostawił dla siebie — czegoś nowego.

— Czy można by tego użyć do ściągnięcia innych — naciskał Teborun — żeby uchronić ich przed pułapką Limiterów albo przed tym, co chcieli zrobić Roganowi?

— To eksperyment. Nie wiem, czy zadziała ponownie.

Ku zdziwieniu Blake'a Teborun więcej nie drażył tematu. Chwilę później uaktywnił się sygnał o lądowaniu. Gdy promem zaczęło trząść, Blake ułożył się płasko na podłodze, tuż koło sióstr.

Przez otwarty właz spoglądali na to przedziwne miejsce, przypominające wydrążone wnętrze ogromnego skalnego globu. Wysoko nad głowami widniała szczelina w kamieniu. Przez nią zobaczyli skrawek błękitnego nieba.

Ściany były tak gładkie, jakby wypolerowała je ludzka ręka. Poza tym jednak całe to miejsce w niczym nie przypominało budowli wzniesionej przez człowieka.

Blake wyszedł z promu. Dookoła tłoczyli się jacyś ludzie. Niektórzy nosili kombinezony strażników. Większość — stroje charakterystyczne dla światów, z których uciekli. Z boku, pod ścianą skalnej kopuły, spory kawałek od miejsca lądowania, ustawiono cztery... pięć promów. Wszystko sprawiało wrażenie jakiegoś

rendez-vous uciekinierów i wygnańców.

— Rogan, gdzie jest Rogan? — spytał Lo Sige. — Przywieźliśmy jego córki.

Podobnie jak Blake'a, jego również przywitał rząd luf, za którymi kryły się wrogie twarze. Ale gdy we włazie promu ukazał się Teborun, napięcie nieco opadło.

— Co tu się dzieje? — zapytał odkrywca.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn odsunął go na bok i zajrzał do wnętrza promu.

— Tym razem to prawda. W środku rzeczywiście są dwie kobiety.

Teborun wyrwał mu broń i popchnął pod ścianę promu.

— Wyrażaj się jaśniej! Wiesz, dlaczego polecałem... Rogan mnie prosił. Teraz wracam z jego córkami i dwoma strażnikami, których porzucono wraz z nimi. Po co te ogłuszacze? Gdzie Rogan? Co tu się w ogóle dzieje?

Z płataniny okrzyków i strzepów zdań wyłoniła się cała historia. Na krótko przed ich lądowaniem pojawił się tu inny prom. Nie wychodząc ze statku, pilot zażądał widzenia z Roganem.

Twierdził, że ma na pokładzie jego ciężko ranne córki. Ponieważ nie pojawił się Teborun, niektórzy z uciekinierów nabrali podejrzeń. Mimo protestów pilota dwóch strażników weszło do kabiny. Na statku zaczęła się szamotanina i prom odleciał. Pułapka nie zadziałała, niemniej liczył się fakt, że ją zastawiono.

To, że wróg wiedział, gdzie ich szukać, wywołało niepokój. Wydarzenia rozgrywały się tak szybko, że uciekinierzy nie byli w stanie odpowiednio się do nich odnieść. Zamiast solidnej bazy, do której przyzwyczaili się przez lata, i zabezpieczenia ze strony organizacji stanęli teraz w obliczu całkowitego chaosu. Wiedzieli, że są ścigani i że grozi im zesłanie. Wszystko to nadszarpnęło ich zdolność racjonalnego myślenia.

Podróże międzyczasowe nigdy nie były pozbawione ryzyka i ci, którym teraz przyszło uciekać, przez lata przywykli do tego. Jednak w obecnej sytuacji zagrożenie czaiło się wewnątrz ich wspólnoty. Musieli wybierać między powrotem do macierzystej bazy a wolnością. Nie można było ufać zarówno współpracownikom, jak — i to szczególnie — zwierzchnikom. Nie można też było polegać na promach, które w każdej chwili mogły zostać automatycznie ściągnięte.

Blake i Lo Sige siedzieli na stołkach przy posłaniu Erca. Lewa noga w bandażach, na twarzy napięcie i ból — wyglądał teraz o wiele starszej niż wtedy, gdy widzieli się na Vroomie. Bliźniaczki leżały w przyległej grocie, jednej z tych, które kończyły się wyjściem poza skalną kopułę. Marfy wydobrzała już na tyle, że była w stanie rozmawiać z ojcem. Marva wciąż leżała w odrętwieniu.

— Limiterzy namierzili ten poziom — Rogan jak zwykle mówił pospiesznie — i wrócą tu bez wątplenia. Z naszym skromnym uzbrojeniem nie stawimy czoła ich potężnej kontroli umysłowej.

— Jak doszło do tego wszystkiego? — spytał Lo Sige. — Limiterzy zawsze sprawiali kłopoty, ale to... to jest kompletne zaskoczenie!

Rogan skrzywił się.

— Popełniliśmy niewybaczalny błąd: nie doceniliśmy To'Kekropsa! Vroom w ogromnym stopniu uzależnił się od międzypodróż. Surowce naturalne, jedzenie, wszystkie niezbędne do życia rzeczy sprowadzaliśmy, podobnie jak luksusowe towary, z innych poziomów. Przez setki lat rozwinęliśmy sieć stacji, czerpaliśmy energię z równoległych światów. Wielki Konflikt pozostawił na Vroomie jedynie garstkę mutantów, którzy nie mieli szans przeżyć w prawie całkiem zniszczonym świecie. Uratowały nas podróże. — Dlatego ci, którzy je kontrolują, kontrolują też cały Vroom. — Rogan uniósł dłoń, zaciskając palce. — Wydawało nam się, że dobrze się zabezpieczyliśmy przed dyktaturą. Starannie dobrano członków Rady Stu i równie

uważnie werbowano strażników. Ale gdy czasy są dobre, ludzie szybko zapominają. Brak widocznych zagrożeń i wrogów powoduje, że miecze rdzewieją, a tarcze, rzucone w ką, pokrywa pajęczna nić. Nie skłamię, mówiąc, że poza nieliczną garstką większość Vroomian nie zdaje sobie sprawy, jak wiele zawdzięcza światom, o których istnieniu nawet nie słyszała. Od zawsze żyli wśród nas fanatycy, których w przeszłości nikt nie słuchał. Byli bezsilni, opowiadając o zagrożeniach związanych z podróżami. Obawiali się chorób, śmiertelnie niebezpiecznych rodzajów broni, a przecież i my od dawna takimi dysponowaliśmy.

Kiedy ludzie obrastają w tłuszcz, stają się opieszali. Mniej czy bardziej fantastyczne pogłoski i opowieści rodzą dreszczyk emocji. Gdy powtarza się je często, ludzie zaczynają w nie wierzyć. Wypadek dotyczący podróżników z Vroomu można odpowiednio nagłośnić. Przebiegli intryganci wyolbrzymią wówczas jego skutki i wykorzystają dla swoich celów. W ostatnich latach wokół podróży narastało poczucie zagrożenia.

Służbowe raporty zostaną ujawnione. Przeciętnej rodzinie wolno odwiedzić Poziom Lasu lub jeden z pozostałych trzech światów wakacyjnych. Jeśli chodzi o pozostałe poziomy, wiedza Vroomian opiera się jedynie na plotkach i pogłoskach. A ludzie prędzej wierzą i uznają za prawdę zło niż dobro.

Zamknięcie służby ma dla To'Kekropsa dwie zalety. Po pierwsze, zapanuje ogólne przekonanie, że podróże są wyjątkowo niebezpieczne i że nawet wyszkoleni strażnicy boją się je odbywać. Po drugie, spowoduje w naszej gospodarce olbrzymi niedostatek, który odczują wszyscy, nawet ci, którzy dotychczas byli obojętni wobec podróży. Potrzebna będzie zatem nowa kadra strażników, złożona oczywiście z ludzi Limiterów.

Zezwolą na otwartą grabież innych poziomów i będą organizować wyprawy łupieżcze. Zrabowane dobra po przywiezieniu na Vroom zjedną To'Kekropsowi nowych popleczników, których przyciągnie nagła prosperity po okresie recesji. Nasi ludzie pod umysłową kontrolą współpracowników To'Kekropsa posłużą, o ile już nie służą, za papugi powtarzające to, co każe im się mówić. Garstka ludzi z najwyższych władz, pozostająca pod wpływem przywódcy Limiterów, zmuszona będzie rozpocząć przewrót. Rewolucja, mająca oparcie w wyższych sferach, szybko się rozprzestrzeni.

— Sytuacja nie może być aż tak beznadziejna — rzekł Lo Sige, opierając się wygodniej o ścianę. — System, budowany z takim trudem przez lata, nie może runąć w ciągu jednego dnia!

— Chaos w centrum dowodzenia powoduje duże straty — odparł Rogan. — Weźmy na przykład miasto... powiedzmy takie jak w twoim świecie, Walker. Co by się stało, gdyby pozbawić go oświetlenia, gdyby zabrakło wody, ogrzewania i możliwości porozumiewania się? I wszystko to w ciągu jednego dnia albo jeszcze szybciej? Co wtedy?

— Morderstwo, w dosłownym tego znaczeniu! — odpowiedział Blake. — Miasto zginęłoby. — Przypomniał sobie jedno z miast na poziomie zbliżonym do jego ojczystego świata. Zaskoczyła je wojna. — Jednak zawsze zostanie ktoś, kto w dziele odbudowy pokieruje tymi, którzy ocaleją. Zajmie to długie lata, bo będą znowu zaczynać od zera.

— Nie mamy tyle czasu! — wtrącił Lo Sige.

— Istotnie, nie mamy tyle czasu — przytaknął Rogan — ale też mamy tylko jednego przeciwnika, siedzącego jak pajak pośrodku misternie utkanej sieci. Jeśli pozbedziemy się To'Kekropsa, zanim naprawdę umocni swą władzę, jego organizacja legnie w gruzach. On nie jest autorytetem, tacy jak on nigdy nie są. Musimy go dopaść.

— Jest na Vroomie, prawdopodobnie chroniony przez najlepiej wyszkolonych

ludzi — sucho zaznaczył Lo Sige.

— To prawda. Mamy zbyt mało sprzętu, by prowadzić wojnę — potwierdził Rogan — brakuje nam ludzi i zapasów. Możemy więc albo zgodzić się na zesłanie i ocalić głowy, albo spróbować usunąć To'Kekropsa.

— Z pewnością jest przygotowany, by przejąć umysłową kontrolę nad każdym, kto wylądował na Vroomie. Jak pan sobie z tym poradzi, sir?

— Mam jedną blokadę, moją własną. Uruchomiłem ją, gdy tylko zaczęły się pierwsze niepokoje. To dlatego mnie nie dopadli.

— Jednego człowieka można ogłuszyć lub pokonać fizycznie — zaznaczył Lo Sige — albo nawet zabić na miejscu.

— Jestem zbyt cenny. Nie pozbędzie się mnie od razu — odparł Rogan. — Gdyby opanował mój umysł i uczynił ze mnie swoją marionetkę, byłbym dla niego bardzo dużo wart. Tak, z pewnością będzie chciał mnie żywego. Usunie moją blokadę... — Podniósł ręce w geście kapitulacji.

Rogan krążył dookoła jakiegoś planu i Blake'owi wydawało się, że wie, o co mu chodziło. Walker, jako jedyny z uciekinierów, nie musiał polegać na żadnej mechanicznej blokadzie, nad jego umysłem nie mogli zapanować najlepsi telepaci. Tyle że również Limiterzy musieli już o tym wiedzieć, jeśli Garglos, co było raczej pewne, złożył raport.

— Widzieli cię tylko w przebraniu z Nowej Brytanii. — Blake wiedział, że Lo Sige nie może czytać w jego myślach, teraz jednak strażnik mówił tak, jakby właśnie to robił. — Na Vroomie jesteś mało znany. Och, To'Kekrops słyszał na pewno, że widziano cię z Marfy Rogan. Czy jednak wie o tobie więcej...

— Powinien, jeśli jest tak dobry, jak mówisz — podkreślił Blake. Rogan, zamyślony, chyba nie słyszał ich rozmowy. Teraz bowiem odezwał się:

— Jestem jedyną przynętą, na którą można złapać To'Kekropsa.

— I nie masz najmniejszej szansy, by się do niego dostać bez utraty kontroli nad własnym umysłem — powiedział Lo Sige.

— Ależ mam! — Blake zastanawiał się, co skłoniło go, by tak powiedzieć. Co za szalony plan...?

Obaj strażnicy wpatrywali się w Walkera.

— Skoro, jak mówicie, wie, że byłem z Marfy, musi również wiedzieć o naszym zesłaniu na świat Projektu. Czy to możliwe, by tylko dlatego, że wie, gdzie jesteśmy, ośmielił się zastawić na pana pułapkę, sir? Nie mógł przecież przewidzieć naszej ucieczki.

— Ma teraz tych dwóch ludzi, których porwał. Przesłucha ich — powiedział Rogan.

— Tak, ale porwano ich przed naszym przybyciem. Wiedzą jedynie, że posłał pan po córki. Nie wiedzą, czy Teborun wrócił, czy nie. Z tych informacji wynika zatem, że w dalszym ciągu jest pan niepewny losu córek.

— To prawda. Nikt nie mógł zrozumieć, skąd wiedziałem, gdzie wysłać Teboruna. — Rogan uniósł się na posłaniu.

— O czym ty myślisz, Walker? — zapytał.

— Wydaje mi się, że skoro Limiterzy dowiedzieli się, iż to ja byłem z Marfy, gdy celowo uszkodzono prom, chcieliby z pewnością dowiedzieć się, o mnie czegoś więcej.

Obaj słuchacze przytaknęli.

— To'Kekrops musi w takim razie wiedzieć, że nie urodziłem się na Vroomie. Jestem dla niego zatem nieobliczalny. I dlatego może uwierzyć, że pracuję jako najemnik z obcego świata, który dla własnej korzyści zmieni przekonania i pracodawcę. Zawsze mogę powiedzieć, że zmuszono mnie do zostania strażnikiem ze

względu na niecodzienną umiejętność blokowania umysłu. Nie będzie to zresztą zupełnie kłamstwo. Kiedy więc stanę przed nim i zaproponuję mu układ...

— Naprawdę chcesz spróbować? — Rogan bacznie go obserwował.

— Wasze zapasy, jak zrozumiałem, są na wyczerpaniu — odparł Blake. — Jak długo jeszcze dacie radę tu pozostać? A poza tym znają przecież kod tego świata. Możecie rozproszyć się i poukrywać, ale to oni mają wszystkie atuty. Jedyna szansa dla nas to zaskoczyć ich, zanim podejmą jakieś kroki.

— Jeśli jednak rzeczywiście ich przewaga jest tak ogromna, to po co To'Kekrops miałby w ogóle się z tobą układać? — wtrącił się Lo Sige.

— Myślę, że zależy mu na czasie. Ile zajęłoby przeczesanie całego tego świata, gdybyście się rozproszyli? Poza tym macie promy. Nie przeszkodzi wam w podróży na inny poziom. Teborun to doświadczony odkrywca. Znalazłby wam kolejny niekodowany świat.

— Masz rację, ale To'Kekrops nie jest głupi.

— Myślisz, że nie uważa mnie za godnego sprzymierzeńca? Nie będę takiego udawał. Jeśli jednak zobaczy, że moje motywy...

— ...bliskie są jego zamiarom — przytaknął Rogan. — Tak, powinien ci uwierzyć. Poza tym nie będzie mógł cię sprawdzić telepatycznie!

— Dotarcie do niego to zaledwie początek — powiedział Lo Sige. — A co potem?

— Czy nie cierpi pana na tyle, sir — spytał Blake — by potraktować to jako osobistą rozgrywkę?

Rogan zacisnął dłonie na kocu:

— Tego... nie mogę być pewny.

— Wyśle przynajmniej oddział po pana, ze mną jako przewodnikiem. Możecie zastawić tu pułapkę. To zależy już tylko od was.

Lo Sige nieznacznie się uśmiechnął:

— Mamy szansę jedną na tysiąc. Lepiej, żeby teraz szczęście nie odwróciło się od nas!

Blake był znowu sobą. Pozbył się, zarówno przebrania z Nowej Brytanii, jak i stroju przygranicznego łowcy: miał teraz na sobie mundur strażnika. Siedząc za sterami promu, zastanawiał się, co podkusiło go, by zaproponować rzecz równie szaloną. Jednego był pewien: nie należał do ludzi, którzy beczynn timer czekają na rozwój sytuacji. Od kiedy pamiętał, oczekiwanie zawsze przychodziło mu z trudem. Nie był uzbrojony. W wykonaniu misji miały mu pomóc jedynie te informacje dotyczące przeciwnika, jakie udało się zdobyć Roganowi: lista ludzi, którzy mogą być pomocni, pod warunkiem że nie zostali umyślowo zniewoleni, oraz mentalna mapa kwatery głównej.

Plan był następujący: gdy tylko jego prom wyruszy w podróż na Vroom, większość wygnanych ma ukryć się na innym poziomie, a Lo Sige powinien zastawić pułapkę na tych, którzy powrócą tu razem z Blakiem.

Teborun ustawił kurs na Vroom i Blake nie miał żadnych wątpliwości, że doleci tam szczęśliwie. Wiedział, że gdy znajdzie się już w terminalu, wszystko zależeć będzie tylko od niego. Nie czuł się jak bohater; po prostu był jedynym człowiekiem, którego naturalne zdolności dawały nadzieję na powodzenie misji.

Podróż przypominała rutynowy lot, ale gdy pojawiła się wiadomość, że prom zbliża się do Vroomu, Blake uważnie obserwował czujniki. Nie miał wątpliwości, że jego osoba zaintryguje To'Kekropsa. Musiał tylko doprowadzić do tego, by postawiono go przed przywódcą Limiterów. Wówczas pozostawało jedynie wykorzystać wrogość panującą między To'Kekropsem a Roganem. Blake wiedział, że powinien wypaść bardzo przekonująco. Jeśli zaś nie uda mu się przekonać To'Kekropsa, będzie musiał podjąć próbę i sam usunąć wroga. Myśl ta od początku chodziła mu po głowie. Wiedział, że Limiterów trzeba powstrzymać! Co się jednak stanie, gdy zajmą się ponadczasowym piractwem? Pojawią się w jakimś równoległym świecie, dokonają grabieży i mordów, po czym znikną tam, gdzie żadne prawo ich nie doścignie.

Blake wstał. Lepiej będzie, jeśli wyjdzie od razu. Inaczej mógłby niepotrzebnie wzbudzić podejrzenia w komitecie powitalnym, który czekał na niego na zewnątrz. Otworzył wąż i stanął w terminalu. W hangarze zobaczył inne promy. Nigdy wcześniej nie widział tylu naraz. Znajdowały się wśród nich niewielkie statki patrolowe i duże promy handlowe przystosowane do przewozu towarów.

Przed niedbale zaparkowanymi statkami stało trzech mężczyzn. Dwóch miało na sobie mundury strażników, trzeci ubrany był po cywilnemu. Do prawego rękawa przypiętą miał białą opaskę.

Właśnie on podjął próbę przejęcia kontroli nad Blakiem.

— To na nic — powiedział niedbale Blake — nie tędy droga, przyjacielu.

Słowa te nieco wytrąciły z równowagi napastnika, jednak po chwili podjął kolejną próbę, tym razem tak silną, że Blake odczuł niemal fizyczny ból. Jednak jego wewnętrzna bariera ani drgnęła.

Dwaj strażnicy, którzy towarzyszyli cywilowi, wystąpili teraz do przodu. Ich twarze były bez wyrazu. W rękach trzymali ogłuszacze, które stanowiły na Vroomie jedną z nielicznych dozwolonych broni. Blake nie miał zamiaru dać się ogłuszyć, choć wiedział, że środek usypiający, którym dysponowali, działał krótko.

— Przybywam tu z własnej woli. Nie po to, by wam zaszkodzić — powiedział. — Zapytajcie To'Kekropsa, czy chce się widzieć z Blakiem Walkerem. Jestem pewien, że w tym wypadku jakakolwiek samowolna ingerencja z waszej strony rozgniewa go.

Strażnik po jego lewej stronie wycelował i wystrzelił. W tej samej chwili Blake dostrzegł na twarzy cywila wahanie. Było już jednak za późno. Strzałka ugodziła Walkera w szyję, tuż nad kołnierzem. Runął do przodu; przed takim atakiem nie chroniło go nic.

Gdy się ocknął, poczuł, jak ktoś otwartą dłonią bije go po twarzy. Dwaj mężczyźni trzymali go za ramiona, energicznie nim potrząsając, a trzeci próbował doprowadzić Blake'a do przytomności. Nie byli to ci sami ludzie, którzy przywitali strażnika w hangarze. Blake zorientował się, że znajduje się teraz w gabinecie dowódcy tego sektora.

— Niech tu podejdzie. — Zirytowany głos dobiegł zza pleców Walkera. Mężczyźni obrócili Blake'a i pomogli mu dojść do biurka. W fotelu siedział komandor To'Frang, zasłużony oficer. Blake zawahał się przez moment. Czyżby pucz Limiterów się nie powiodł? Czyżby znajdował się teraz w rękach zwolenników starego systemu? Być może czystka, której dokonał To'Kekrops, nie była tak kompletna, jak przypuszczali uciekinierzy.

Oprócz uścisku mężczyzn, którzy podtrzymywali Blake'a, strażnik poczuł coś jeszcze, coś, czemu wierzył bezgranicznie. Jego instynkt ostrzegał go. Zagrożenie! Jego zapach unosił się w pokoju.

— Co... — zdradził im, że odzyskał już przytomność, jednak jego głos zabrzmiał słabo i jakby z oddali.

Mężczyzna w mundurze strażnika zamachnął się, nie uderzył jednak ponownie. Zamiast tego chwycił Blake'a za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu.

— Przytomny — zwrócił się do To'Franga.

— No, wreszcie. Dawajcie go tutaj.

Przywlekli Walkera do biurka. Na tablicy rozdzielczej nie paliły się żadne kontrolki. Widać było jedynie zielone światło, które oznaczało, że nic się nie dzieje z przetrzymywanymi promami. Blake widział coś takiego pierwszy raz.

Jednak bardziej zaskoczyło go pytanie oficera.

— Gdzie jest Com Varlt?

— Varlt? — powtórzył Blake. Wciąż zamroczony po postrzale, z trudem rozumiał pytanie. Co Com Varlt mógł mieć wspólnego z jego misją tutaj?

— Varlt! — To'Frang uniósł ręce, jakby chciał wyrwać Blake'owi odpowiedź z gardła.

— Wyruszyłeś stąd wraz z Varltem na niezarejestrowaną misję. Gdzie on jest teraz?

— Nie wiem — odparł Blake zgodnie z prawdą. Po raz ostatni widział starszego strażnika w domu kupieckim w Xomatl. Bardzo możliwe, że tam go porzucono.

— Nic nie rozumiesz — To'Frang starał się ukryć zniecierpliwienie — musimy mieć go z powrotem. Bez przywódców takich jak on nie jesteśmy w stanie walczyć z tymi opętającami.

— Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest... — zaczął Blake. Dowódca przerwał mu, tracąc cierpliwość. Wstał, wychylił się, złapał Blake'a za ubranie i gwałtownie nim potrząsnął.

— Odbiliśmy cię z rąk To'Kekropsa i możemy mu ciebie oddać z powrotem, Walker! Jesteś dla nas cenny, bo możesz pomóc odnaleźć Varlta. Tylko dlatego. Ciągniemy tu ostatkiem sił. Większość starszych, kontrolowana przez wroga, wykrzykuje hasła Limiterów. Próbujemy nawiązać kontakt z tymi, których jeszcze nie schwytano. Jeśli udałoby nam się zebrać ich razem i sprowadzić tutaj, mielibyśmy szansę. No, gadaj, gdzie jest Varlt?

— Nie mam pojęcia — powtórzył Blake po raz trzeci — rozdzieliliśmy się w czasie misji. Musiałem zmienić poziom. Nie wiem, co stało się z nim później.

To'Frang puścił Blake'a i opadł na fotel. Być może komandor nie kłamał. Jednak instynkt podpowiadał Blake'owi zachowanie ostrożności, daleko idącej ostrożności. Blake otrząsnął się już z otepienia wywołanego przez ogłuszacz. Skoro To'Frang i jego ludzie nie współpracowali z Limiterami, to jakim cudem udało mu się zachować własny gabinet i całe biuro? Wszystko po staremu... w czasie likwidacji podróży czasowych... z ludźmi To'Kekropsa czającymi się na każdym kroku? Dobre sobie!

Komandor przytaknął, jakby zgadzał się z rozumowaniem Blake'a.

— Cwaniak z ciebie, Walker. Naprawdę. Tylko że — jego twarz przybrała wyraz szczerości — czas działa na naszą niekorzyść. Już od wielu godzin bawimy się z Limiterami w chowanego. Musiałem się tu dostać — dodał, wskazując na tablice rozdzielczą — nie ma innej możliwości nawiązania kontaktu z tymi, których jeszcze nie schwytano. Limiterzy myślą, że już się ich pozbyli — uśmiechnął się — ale nie wszystkie połączenia zostały odcięte. Jeszcze nie. I jeśli udałoby się nam sprowadzić tu ludzi takich jak Com Varlt, to mielibyśmy szansę, nikłą, ale zawsze. Takiej szansy nam teraz potrzeba, Walker. Gdzie rozstałeś się z Varltem?

— Spory kawałek od tamtejszej stacji — odpowiedział Blake. — Niemożliwe, by dotarł do niej, zanim zamknęli ją Limiterzy.

— O ile znam Varlta, wymazał słowo „niemożliwe” ze swego słownika. — To'Frang uśmiechnął się nieznacznie. — Polecieliście do Nowej Brytanii. To jeden z odciętych poziomów. Oczekiwano tam na przylot promu, który jednak się nie pojawił. Być może my moglibyśmy go wysłać.

— A jeśli Limiterzy przejęli terminal i biorą wszystkich przybyszów pod umysłową kontrolę, to co wtedy...?

— Czy myślisz, że tego nie przewidzieliśmy? Pracujemy nad tym, Walker. A tak przy okazji, to z którego świata teraz przybywasz?

— Z Projektu Kutura.

— Ale... — komandor zdradził swe zdziwienie — ale Kutur okazał się jednym z ludzi To'Kekropsa? Jak to możliwe...?

— ...że mnie wypuścił? Pojawiłem się tam już po jego odlocie. Znalazłem niepokojące ślady — uszkodzony nadajnik. Nie mogłem nawiązać z nikim łączności, więc wróciłem na Vroom.

Blake zastanawiał się, czy komandor to kupi.

— A co masz takiego ważnego do powiedzenia To'Kekropsowi? — To'Frang bawił się z nim jak kot z myszą. Blake nie musiał teraz udawać zaskoczonego. Komandor uśmiechnął się.

— Mamy swoich ludzi nawet w terminalu. Słyszeliśmy, co powiedziałaś na przywitanie. Teraz powiesz mi to, co chciałaś powiedzieć To'Kekropsowi!

Jeśli To'Frang był rzeczywiście potajemnym poplecznikiem Limiterów, była to znakomita okazja, by dostać się do To'Kekropsa. Jednak gdyby komandor był w rzeczywistości przywódcą opozycji, wówczas... Blake musi zachować pozorną neutralność. Oczywiście, jeśli będzie to możliwe!

— Limiterzy nie mogą mnie kontrolować. Jak sam powiedziałaś, nie wszystkich ważnych ludzi udało im się schwycić. Jeśli dałoby się uformować silny oddział, by ich znaleźć...

— ...w jakimś niegościnnym świecie? — To'Frang spoglądał na niego z ciekawioną. — Nie wydaje mi się to możliwe. Ale... tak, rozumiem, dlaczego wygnani nie mieliby tego spróbować. Musisz mieć jednak bardzo dobrą przynętę, Walker. To'Kekrops nie będzie tropił wrogów, których może się pozbyć w zwyczajny sposób, odcinając im połączenie. Czy masz mu coś do zaoferowania?

— Erca Rogana! — Blake znalazł się w miejscu, z którego istniało tylko jedno wyjście. Postara się jednak zrobić z niego jak najlepszy użytek.

— Rogana? Przecież on nie żyje. — To'Frang powiedział to tak pewnym głosem, że Blake uwierzyłby mu, gdyby nie znał prawdy.

— A jeśli żyje?

— Tak — To'Frang znów przejechał ręką po tablicy rozdzielczej — jeśli w istocie jest tak, jak mówisz, taki kąsek zainteresowałby To'Kekropsa na tyle, by wysłać we wskazane miejsce oddział. Ale Rogan nie żyje!

— Masz na to jakieś dowody?

Dłoń komandora zatrzymała się nad tablicą. To'Frang spojrział uważnie na Blake'a.

— Mamy nagranie. Został trafiony z lasera. Mężczyzna, który stracił panowanie nad sobą i zastrzelił go, został dwa dni temu poddany umysłowej czystce.

— A co z ciałem Rogana?

— Nie znaleziono go. — To'Frang gwałtownie uniósł głowę. Na jego twarzy wyraźnie malowała się ciekawość. — Rogan... Rogan uciekł?

— Pomyśl, jak można logicznie to wytłumaczyć. — Blake uniknął bezpośredniej odpowiedzi. — Jeśli trafiono Rogana, gdy był już prawie przy władze... Gdyby został ranny i udało mu się dostać na inny poziom...

— Ty to wiesz... znasz prawdę! — To'Frang po raz drugi skoczył na równe nogi. Trzej mężczyźni, którzy pomogli Blake'owi odzyskać przytomność, teraz zbliżyli się, oczekując, co powie. Niezależnie od tego, czy widzieli w całej sytuacji szansę przywrócenia starego ładu, czy też chcieli działać na niekorzyść dawnych władz, którym niegdyś ślubowali lojalność, widać było teraz, że Blake'owi udało się wreszcie przykuć ich uwagę.

— Mówię wam, Rogan żyje.

— Gdzie więc jest? — To'Frang przejechał ręką po przyciskach, jakby za ich pomocą mógł ściągnąć tutaj Rogana.

— Bezpieczny... na razie... na niezarejestrowanym poziomie.

— Niezarejestrowanym! Musi być do niego jakiś kod! Znasz go?

— Co ci po kodzie, gdy masz do przeszukania cały poziom. — Blake ponownie uniknął odpowiedzi. — Możesz być pewny, że podam To'Kekropsowi kod i całą resztę, gdy tylko zobaczę go osobiście.

— Rogan! — To'Frang oddychał ciężko, jak przy dużym wysiłku. — To nazwisko z pewnością doprowadzi cię do To'Kekropsa. I prawdopodobnie on sam zaangażuje się w poszukiwania. Tak, tak właśnie będzie! To nasza największa szansa! Idź do To'Kekropsa. Dzięki tej historii dostaniesz się do niego, Walker. Lessan! — Człowiek, który poprzednio bił Blake'a po twarzy, teraz wystąpił do przodu. — Lessan, sprawdź, co się dzieje na wyższych piętrach.

Strażnik wyciągnął białą opaskę, nałożył ją na prawe ramię i zniknął w korytarzu. To'Frang kiwnął na pozostałych. Jeden wysunął ze ściany podobne do szuflady siedzenia, drugi podszedł do maszyny wydającej jedzenie i zamówił posiłek. Pomimo ogólnego nieładu, jaki zauważył Blake, system dystrybucji żywności działał bez zarzutu. Było to jego pierwsze normalne jedzenie od ostatniego ranka w Xomatl. Poza tym nie wiedział, kiedy znowu będzie mógł się najeść. Spodziewał się, że komandor zacznie go znowu wypytywać. Ten zajął się jednak konsolą na biurku. Wcisnął rozmaite guziki, od czasu do czasu szepcząc coś pod nosem, jakby głośno myślał. Wydawało się, że roztrząsa jakiś nietypowy problem związany z podróżami.

Blake beznamiętnie żuł i połykał jedzenie. Jeśli rzeczywiście komandor stał po stronie, po której się teraz opowiadał, być może Walker znalazł właśnie grupkę sprzymierzeńców gotowych przyłączyć się do ludzi Rogana. Jeżeli jednak To'Frang był jedynie marionetką To'Kekropsa, im szybciej się to okaże, tym lepiej. Jedno rzucone przez niego zdanie nie przesądzało sprawy. Blake nie wierzył, by To'Kekrops sam zdecydował się wziąć udział w wyprawie. Miał jednak nadzieję, że wyśle

oddział, by pochwycono ojca bliźniaczek — jego największego wroga i ewentualnego przywódcę powstania przeciwko Limiterom. Na tym właśnie Blake opierał swój plan. Wspierany przez adeptów umysłowej kontroli, To'Kekrops powinien uwierzyć, że wystarczy tylko wysłać oddział, by schwytać buntowników. Ostatecznie i tak będą musieli pokonać go tu, na Vroomie, a Blake musiał jeszcze sprawdzić, jak mogą tego dokonać. Wiązało się to z ogromnym ryzykiem.

Oczywiście, gdyby miał szczęście i udało mu się znaleźć ogłuszacz, i usunąć przywódcę Limiterów, po czym uciec promem... Każda myśl wydawała się bardziej nieprawdopodobna od poprzedniej.

Wartownik, który wcześniej zamówił jedzenie, zebrał teraz puste tace i wrzucił je do śmietnika. To'Frang uniósł głowę.

— Lessan coś nie wraca — zauważył.

— Iść tam? — odezwał się jeden z dotychczas milczących wartowników.

— Dobrze by było — potwierdził komandor. Wstał, podszedł do drzwi, otworzył je ostrożnie i rozejrzał się po korytarzu. Dał znak wartownikom i ci poprowadzili Blake'a za komandorem.

Większość biur w kwaterze głównej była dźwiękoszczelna. Korytarze nie. Gdy Blake chodził po nich wcześniej, zawsze słyszał rozmaite hałasy: przytłumione głosy, szum pracujących maszyn. .. Teraz panowała tu kompletna cisza. Większość drzwi była zamknięta. To'Frang spieszył się. Ominął przeciwgrawitacyjne windy i poszedł do rzadko używanych schodów awaryjnych.

Szli do góry, zmierzając w kierunku biura komendanta na najwyższym piętrze kwatery głównej. Stłoczeni w wąskim przejściu czekali, aż To'Frang, napierając, otworzy drzwi. Te jednak zaledwie drgnęły i dopiero przy pomocy jednego z wartowników udało się je otworzyć. Zajrzeli do pokoju pełnego szafek, w których znajdowały się taśmy i kasety z nagraniami. To, co blokowało drzwi, leżało na podłodze.

Przy wejściu leżał Lessan. Ramieniem osłaniał pierś, jakby odganiając śmierć. Zastrzelono go z lasera, podobnie jak technika na stacji Projektu. Komandor wpatrywał się w ciało. Na jego twarzy malował się wyraz kompletnego zaskoczenia. Zdziwienie To'Franga było tak ogromne, że Blake już wiedział, po czyjej stronie stoi oficer. Śmierć podwładnego, który szpiegował w pomieszczeniu wroga, nie powinna była aż tak zaskoczyć komendanta.

— Lessan? — jeden z wartowników odsunął Blake'a na bok i przyklęknął przy zabitym. — Ale dlaczego?

— Taśma! — wyszeptał To'Frang. — Nagrał mnie!

Choć komandor wciąż próbował to ukryć, Blake wiedział już, dla kogo oficer naprawdę pracował. Był cichym zwolennikiem Limiterów! Być może pracował dla nich od dawna! Ale To'Kekrops nie ufał nikomu. Nakazał zatem szpiegować podległych mu ludzi i wiedział o wszystkim, co się działo. Musiało zatem wydarzyć się coś, co sprawiło, że chciał pozbyć się To'Franga.

— Wpuścili tu Lessana — ciągnął To'Frang, wciąż wpatrując się w ciało — byśmy wiedzieli...

Pierwsze zaskoczenie nieco minęło i komandor spojrział na Blake'a. Strażnik zorientował się, że koniec z udawaniem i maskaradą. Jednocześnie domyślił się, że To'Frang zobaczył w nim swoją jedyną szansę na odkupienie grzechów, które popełnił wobec nowego władcy Vroomu.

— Bierście go! — rozkazał wartownikom.

Mężczyzna, który klęczał przy Lessanie, spojrział na komandora, potem na zabitego i wrzucił ramionami. Drugi już cofał się do drzwi. W rękę To'Franga błysnął laser.

— Głupcy! — krzyknął. — Już wydano rozkaz, by was zlikwidowano. Śledzili

was w całym budynku. Weźmiemy Walkera i pójdziemy tam, gdzie najmniej się nas spodziewają. To nasza jedyna szansa. Tylko wtedy To'Kekrops uwierzy, że go nie zdradziliśmy. Chce dostać Blake'a. Musiał słyszeć naszą rozmowę o Roganie i wie, że tylko Walker może go do niego zaprowadzić.

Mężczyzna klęczący przy zabitym popatrzył na wartownika, który stał przy drzwiach. Ten ruszył ramionami w geście rezygnacji.

— Wiedzą o nas wszystko — powiedział. — Ale jeśli dostarczymy im tego Walkera, to kto wie?

— Racja — przyznał pierwszy.

To'Frang popędził ich ruchem ręki, w której wciąż trzymał laser.

Blake wiedział, że ucieczka jest niemożliwa. Poza tym wydawało mu się, że za chwilę osiągnie swój cel.

Twarz To'Kekropsa znana była wszystkim na Vroomie, bo przywódca Limiterów często występował w telewizyjnych programach. Jednak Blake po raz pierwszy widział go na żywo. Wyobrażał go sobie trochę inaczej. Szttywno oparty, To'Kekrops siedział teraz na końcu sali konferencyjnej, która kiedyś była miejscem obrad Zarządu Rady Stu i Komendanta Straży. Z sali usunięto wszystkie fotele. Pozostawiono tylko jeden, dla To'Kekropsa. Pomieszczenie przypominało teraz pełną majestatu salę tronową. Blake poczuł kolejny atak myślowy, o wiele silniejszy od tego, którym przywitano go w terminalu. Był na to przygotowany. To'Frang i wartownicy zatrzymali się i zeszytnieli, jakby atak ich zmroził. Walker szedł dalej.

— Mieli rację! Nie można cię kontrolować! — To'Kekrops traktował Blake'a jak ciekawe i niezwykle znalezisko.

— Turzor!

Rozległ się trzask i błękitna błyskawica przecięła powietrze, stawiając między nimi ścianę zabójczego światła. Nie była to broń pochodząca z Vroomu, ale człowiek, który jej używał, władał nią bardzo sprawnie. Blake zatrzymał się.

— Powiedziano mi, że masz dla mnie jakieś ważne informacje — To'Kekrops od razu przeszedł do rzeczy — podobno powiedziałeś tym głupcom, że znasz kod do świata, w którym ukrył się Erc Rogan. Czy uważasz mnie za kompletnego idiotę, Blake'u Walkerze?

W pomieszczeniu znajdowali się dwaj wartownicy. Jeden, uzbrojony w miotacz, wysunął się do przodu. Drugi stał za swym przywódcą i być może to on podjął próbą zawładnięcia Blakiem. Walker nie miał broni. Nie mógł utorować sobie drogi do To'Kekropsa siłą. Zdany był na swój spryt, który akurat teraz zdawał się go zawodzić.

— Jeśli widział pan nagranie, sir — zaczął — to zna pan jedynie część prawdy. Nie wszystko im powiedziałem.

To'Kekrops uśmiechnął się.

— Więc chcesz podyskutować o istocie prawdy. Wydaje mi się, że nie mamy zbyt wiele czasu na filozoficzne dywagacje, Walker.

— Chce pan Rogana — przerwał mu krótko Blake.

— To prawda. Chcę go, najlepiej żywego. Bardzo się nam przyda. A jeśli to nieuniknione, może być i martwy.

— Żywego i zdolnego do przemieszczania się w czasie?

— Może być żywy. Zdolny do podróży? To już inna sprawa. W tej chwili znamy jego kryjówkę. Jeśli znów wsiądzie do promu, łatwo go załatwimy. Już podjęto stosowne kroki.

— Będziecie przeszukiwać cały poziom, dając mu czas na zgromadzenie sił? — Blake poczuł się zbity z tropu. Mógł teraz jedynie wykorzystać nienawiść To'Kekropsa.

— To drobne utrudnienie — przeciwnik wciąż się uśmiechał — nic więcej. Powiedziałem już, że Rogan ma dla mnie pewną wartość, choć niewielką. Co zatem proponujesz? I czego chcesz w zamian?

— Jeśli zna pan moje imię, wie pan zapewne co nieco o mojej przeszłości.

— Tak. Nie pochodzisz z Vroomu.

— Sprowadzono mnie tu siłą, bo wasi ludzie nie potrafili narzucić mi sfabrykowanych wspomnień. Rozumie pan, że mogło mi się to nie podobać.

— Więc żywisz w sobie zadawnioną urazę do odpowiedzialnych za to ludzi? Niewykluczone...

To'Kekrops bawił się z nim i Blake wiedział o tym. Jeden nierozważny krok i spotka go to co Lessana. Jego zmysł nie dawał mu jednak wyraźnego sygnału. To'Kekrops nie zamierzał na razie atakować, a to oznaczało, że zależało mu na tym, co miał do zaoferowania Blake.

— Pojawiły się plotki — mówił dalej Walker — że gdy już uporządkuje pan sprawy na Vroomie, zostanie przeprowadzona reorganizacja strażników i wprowadzone nowe metody traktowania podległych światów.

To'Kekrops uśmiechnął się szeroko, a jego twarz przypominała teraz trupa czaszkę.

— Plotki... ploteczki! Zawsze obecne! Ale nie pozwól, bym ci przerywał. Cóż błyskotliwego teraz mi zaproponujesz?

— Mój ojczysty świat stwarza wiele możliwości dla tego, kto ma poparcie odpowiednich osób...

— To prawda — powiedział To'Kekrops — taki świat może przynieść zyski komuś, kto dobrze pozna jego problemy. Człowiek, który ma odpowiednie poparcie, może zejść tam bardzo wysoko. Te argumenty przemawiają do mnie, Walker. Ale jaki ma być twój udział w pojmaniu Rogana?

— Rogan jest w niezarejestrowanym świecie...

— Do którego mam kod!

— Ale czy ma pan tyle czasu, by przeszukać cały ten poziom? Wiem dokładnie, gdzie...

— Są sposoby, by wydobyć to z ciebie — wtrącił To'Kekrops, wciąż się uśmiechając.

— Mam blokadę. Być może uda się wam zmusić mnie do mówienia, ale gdy już zacznę coś bełkotać, w jaki sposób odróżnicie bzdury od prawdy?

— Zatem znowu powracamy do kłopotliwej kwestii prawdy. Jaka jest dokładnie twoja propozycja?

— Mogę poprowadzić oddział złożony z adeptów kontroli umysłowej. Łatwo złapiemy Rogana.

— Dlaczego akurat ty? Prawdę mówiąc, nie będziesz tam nikomu potrzebny.

— Rogan ma założoną blokadę. Nie dacie rady go kontrolować, a jakkolwiek fizyczna ingerencja zabije go. — Blake gorączkowo improwizował. Liczył po cichu na to, że uda mu się na tyle skusić To'Kekropsa, by ten popełnił błąd, choć jeden błąd!

— Niby dlaczego Rogan miałby ci ufać?

— Odnalazłem jego córki. Potem zgodziłem się polecieć tutaj, by nawiązać kontakt z tymi, którzy mogą mu pomóc.

— Turzor! — Mężczyzna z miotaczem wyszedł na środek sali. — Jargarli! — Teraz również ten stojący za To'Kekropsem wysunął się do przodu.

— Taki oddział chyba wystarczy, co? — spytał przywódca Limiterów.

Blake przyjrzał się uważnie obu wartownikom.

— Tak — powiedział beznamiętnie. To'Kekrops skinął głową.

— Tak myślałem. Jargarli potrafi kontrolować tuzin umysłów... może nawet więcej. Nie osiągnął jeszcze limitu swych możliwości. Widziałeś już próbki jego umiejętności. Znakomicie posługuje się tą bronią. Mamy poza nią i inne, ale na razie, ze względu na ograniczone zdolności produkcyjne, musimy ograniczyć się do takich prymitywnych rozwiązań.

Blake pokiwał głową.

— Nie podoba mi się jednostronność tego układu. Nic nie przeszkodzi Turzorowi pozbyć się mnie, gdy już wykonamy misję.

— Oczywiście. Twoje życie zawisło na cienkim włosku! Wspomniałeś coś o swym

rodzinnym świecie...

— To wyjątkowo cienki włos, sir. Jak dla mnie, zbyt cienki.

Blake wiedział, że był to przełomowy moment w ich dyskusji. Albo uda mu się zmusić przeciwnika do ustępstw, albo straci wszystko. Zgoda na propozycję To'Kekropsa oznaczała jednak natychmiastową porażkę.

— Dobrze. Dam ci szansę. — To 'Kekrops musiał wcisnąć ukryty w poręczy fotela guzik, bo w sali pojawił się kolejny wartownik.

— Daj mi jeden z ogłuszaczy.

Mężczyzna na moment zniknął, by za chwilę powrócić z pudełkiem, w którym znajdowała się broń, jaką Blake otrzymał od Varlta w Xomatl.

— Oto jest jeden z naszych ostatnich wynalazków — wyjaśnił To'Kekrops — ma niezwykle cechy. Po pierwsze, broni tej może używać tylko ten, kto dotknie jej po raz pierwszy. Po drugie, strzela promieniem silnego środka nasennego, przez co jest o wiele skuteczniejsza od zwykłego ogłuszacza. Ma jednak również wadę, której nie udało się na razie usunąć: nie można załadować jej ponownie, a ma tylko sześć nabo. Jest twoja.

Blake chwycił ogłuszacz i po raz kolejny poczuł, jak broń dostraja się do niego.

— Teraz odwrócisz się, pamiętając przez cały czas, że Turzor ma cię na celowniku, i strzelisz pięć razy w ścianę. No, dalej!

Blake nie miał wielkiego wyboru. Nacisnął pięciokrotnie spust. Obok, uważnie licząc strzały, stał wartownik, który przyniósł broń. To'Kekrops odezwał się dopiero wtedy, gdy tamten skinął potwierdzająco głową.

— Masz teraz broń przeciwko Turzorowi. Przeciw Jargarliemu wyposażyla cię odpowiednio natura. Zadowolony?

— O tyle o ile, sir.

— Wielkiego wyboru nie masz. Sprowadź mi Rogana, to będziemy rozmawiać dalej. Zresztą, tak czy siak, porozmawiamy sobie jeszcze!

Plan Blake'a wciąż w dużej mierze opierał się na szczęściu. Teraz jednak wreszcie coś ruszyło z miejsca. Wrócili do terminalu, gdzie stał prom, którym przyleciał Walker. Pod czujnym okiem obu wartowników strażnik ustawił kod, sprawdził go i wcisnął przyciski startowe. W kabinie było ciasno. Jargarli zajął podwójne siedzenie, a Turzor cały czas stał za Blakiem.

Panowało milczenie. Kabina drgnęła, ale po chwili wszelkie wstrząsy ustały. Blake bił się z myślami. Wiedział, że tamci nie mogą w nich czytać. Zastanawiał się więc, na ile Lo Sige był przygotowany do ich przyjęcia? Czy zasadzka będzie skuteczna w przypadku Jargarliego?

Gdy na konsoli pojawiło się światło informujące o końcu podróży, powiedział do Turzora:

— Lepiej się przygotuj. Jargarli wyszczerzył zęby:

— Na zewnątrz jest trzech ludzi, już pod moją kontrolą. Czekają na rozkazy.

Turzor bacznie obserwował Blake'a. W ręku trzymał gotowy do strzału miotacz.

— Idziesz pierwszy — powiedział opryskliwie. Walker potrząsnął głową:

— Nie. Jargarli może iść pierwszy, jeśli zechce. Potem ty. Tych trzech pod jego kontrolą i ty to zbyt wiele, a mam tylko jeden strzał.

Turzor nie zamierzał godzić się na to, ale jego towarzysz przytaknął:

— Rzucają się na niego na moją komendę. W tej sytuacji me ma z nami szans.

Teraz wszystko zależało od refleksu Blake'a. Jeśli zmarnuje ostatni nabój, przegra. Być może później będzie miał lepszą okazję, ale nie powinien na to liczyć.

Właz otworzył się. Jargarli stanął na skalistym podłożu wewnątrz kamiennego sklepienia. Blake w ułamku sekundy rzucił się na podłogę kabiny i wystrzelił. Turzor, w połowie od niego odwrócony, dostał prosto w szyję. Wydał zdławiony krzyk i

błękitna smuga przecięła wewnątrz kabiny, słabnąc, gdy jego omdlała dłoń zsunęła się ze spustu. Blake chwycił miotacz.

Zobaczył beznamiętną twarz Teboruna, który wpełził przez właz. Był pod kontrolą. Odkrywcę można było teraz powstrzymać tylko w jeden sposób — ogłuszając go. Blake, widząc, że tamten rzucił się w jego kierunku, odskoczył w bok i odepchnął napastnika nogami. Teborun zatoczył się i upadł na fotel. Poruszał się ociężale. Walker zastosował jeden z ciosów, jakich go nauczono. Teborun stęknął i osunął się na podłogę. Strażnik obrócił miotacz i ogłuszył odkrywcę kolbą. Jargarli stracił jedną ze swych kukiełek.

Co jednak, jeżeli choć jeden z pozostałych pod kontrolą strażników ma ogłuszacz? Jargarli wciąż miał przewagę. Poza tym mógł opanować umysł każdego, kto znalazłby się wystarczająco blisko, i wysłać go przeciwko Blake'owi. Walker miał nadzieję, że Lo Sige zadbał, by pozostali się rozproszyli.

Spojrzał na Turzora. Nieprzytomny wartownik mógł posłużyć za tarczę. Strażnik podciągnął go do góry, przerzucił przez ramię i ruszył do wyjścia.

Z tego, co pamiętał, jedyną kryjówkę stanowiły tu inne promy. No, chyba że Jargarli zdoła dostać się do jednego z tuneli prowadzących poza skalne sklepienie. Istniała szansa, że może zgubić się w ich labiryncie. Zawsze jednak mógł zapewnić sobie pomoc tych, których kontrolował.

Blake rozejrzał się. Usłyszał syk pocisku i zobaczył, jak w bezwładnym ramieniu Turzora utkwiała strzałka. Więc co najmniej jeden z kontrolowanych uzbrojony był w ogłuszacz. Koło któregoś z promów zobaczył wycofującego się Jargariego. Oczywiście... By upewnić się, że pokona Blake'a, musiał tu pozostać i dowodzić swoimi marionetkami. Nie mógłby tego zrobić, gdyby usunął się poza scenę.

Walker oparł lufę miotacza o nieprzytomnego Turzora i wypalił. Niebieska błyskawica trafiła kilka centymetrów od głowy Jargariego, uderzając w ścianę maszyny, gdzie chciał się schronić wartownik. Limiter przykucnął i Blake wypalił po raz drugi.

W powietrzu rozniósł się zapach ozonu i stopionego metalu. Ta kryjówka była już bezużyteczna. Następna znajdowała się spory kawałek na lewo. Na prawo Blake spostrzegł człowieka biegnącego w jego kierunku. Rzucił Turzora prosto w nadbiegającego i ten runął na ziemię razem z nieprzytomnym wartownikiem.

— Stój!

Blake wypalił po raz kolejny. Tym razem tak blisko Jargariego, że ten aż krzyknął. Być może promień otarł się o niego.

— Następny będzie celny! — krzyknął Walker.

Jargarli przykucnął i zastygł w bezruchu. Pogardliwy uśmiech znikł z jego twarzy. Teraz malowała się na niej wściekłość osaczonego zwierzęcia. Jednak wartownik nie poddał się.

Ostrzeżony przez wewnętrzny sygnał, Blake rzucił się na ziemię. Usłyszał odgłos strzałki zderzającej się z czymś metalowym. Jargarli miał wciąż pod swoją kontrolą kilku uciekinierów.

Blake ponownie strzelił, tym razem w ziemię tuż przed Jargarlim, który zatoczył się do tyłu. Strażnik strzelał teraz to w prawo, to w lewo, bawiąc się z Limiterem i powoli spychając go w stronę spalonego promu. I wtedy stało się to, na co liczył. W obliczu bezpośredniego zagrożenia umysłowa kontrola Jargariego osłabła.

Gdzieś z prawej Blake usłyszał okrzyk strachu. Jargarli spojrzał w tamtym kierunku i na moment udało mu się odzyskać kontrolę. Chwilę później uskokczył przed kolejnym strzałem, stracił równowagę i upadł.

— Ogłuszcie go! — krzyknął Blake. Poderwał się, wyskoczył przez właz i podbiegł do Jargariego zygzakiem, by utrudnić celowanie tym, którzy mogli jeszcze

znajdować się pod wpływem Limitera. Nikt jednak do niego nie strzelił. Walker stanął nad przeciwnikiem. Jargarli leżał bez ruchu. Być może był już nieprzytomny, ale Blake na wszelki wypadek uderzył go w głowę kolbą miotacza.

— Nie wiem, co możecie zrobić i czy dacie radę — strażnik spoglądał na Erca Rogana, Marfy i Marwę, bladą i roztrzęsioną, ale całkiem przytomną. Był z nimi również Lo Sige i czterech innych uciekinierów, wśród nich Teborun, który trzymał się za obolałą głowę — ale jeśli dacie radę, to właśnie jest sposób na Vroom i To’Kekropsa.

Rogan nie odpowiedział wprost, lecz spojrzął na Lo Sige’a, córki i na pozostałych, jakby czekał na ich reakcję. Pierwszy odezwał się Lo Sige:

— Udało nam się wysłać sygnał przez poziomy, choć wielu uważało to za niemożliwe. Zjednoczyliśmy swe siły. Czemu nie można by użyć tego jako broni? To’Kekrops posługuje się adeptami kontroli umysłowej. Większość z nas jest na nią podatna. Działa ona jednak w dwie strony. Ich też można kontrolować.

— Ty, Marfy i Marva wysłaliście sygnał, wiedząc, że będę czegoś takiego oczekiwał — powiedział. — Wiedzieliście zatem, komu wysłać wiadomość.

— Adresatów na Vroomie będzie wielu. Trzeba przywrócić ich do normalnego stanu. Mamy to tutaj na kim wypróbować.

Blake nie mógł śledzić ich telepatycznego dialogu. Nie był również częścią zespołu, jaki po wielu próbach utworzyli. Lo Sige stanowił jego środek. Tuż za nim miały iść siostry. Po obu stronach — Rogan i jeszcze jeden strażnik ubrany we wspaniałą strój kupiecki z nieznanego Blake’owi świata. Cała piątka tworzyła najdziwniejszą broń, jaka powstała na znanych jej poziomach.

Przyjaciele wyjęli z promów dwa panele sterowania i zbudowali z nich wzmacniacz myśli. Miał go nieść Blake. Poza tym Walker, jako odporny na kontrolę umysłową, uzbrojony był w miotacz. Jego zadanie polegało na ochronie całej drużyny, która po przybyciu na Vroom chciała jak najszybciej wyeliminować adeptów kontrolujących dla To’Kekropsa pozostałych strażników.

Teborun z jeszcze jednym odkrywcą wzięli czwarty prom i polecili szukać uwięzionych w czasie ludzi, by sprowadzić ich na Vroom. Rogan dał im listę z nazwiskami tych, którzy mieli jakieś specjalne zdolności.

Na koniec wypróbowali skonstruowaną przez siebie broń na Jargarlim. Okazała się skuteczna. Wszystko było przygotowane.

Prom nie był przystosowany do przewozu tylu osób, ale bali się lecieć innym, bo takiego właśnie oczekiwano na Vroomie.

Gdy podróż zaczęła się, wszyscy oprócz Blake’a zamknęli oczy.

Strażnik czuł wzrastającą dookoła moc. Głowę przeszywał mu kłujący ból. Miał wrażenie, że cały świat wiruje dookoła, zupełnie jakby pędzili z nurtem wartko płynącej rzeki. Ale nawet pod takim napięciem naturalna bariera obronna Blake’a nie załamała się.

— Terminal — powiedział, przerywając skupienie towarzyszy.

— Teraz! — Czy słowo to usłyszał w myślach, czy naprawdę? Wydawało mu się, jakby ktoś krzyknął wewnątrz niego samego. Otworzył wąż i ukrywając miotacz, wyskoczył na zewnątrz.

Komitet powitamy był na miejscu. Zareagował jednak trochę zbyt nerwowo. Blake był na to przygotowany. Rzucił się na ziemię, by uniknąć strzałek z ogłuszaczy. Wiedział, że za chwilę strzelcy zostaną unieszkodliwieni.

Ludzie, którzy do niego strzelali — ewidentny dowód zdrady To’Kekropsa — zatoczyli się do tyłu, gdy z promu wysłano silny sygnał myślowy. Porzuciwszy broń, chwycili się za głowy, padając na ziemię. Blake skoczył do przodu, złapał ogłuszacze

i zaczął strzelać nawet do tych, którzy już leżeli na ziemi.

— Gotowe — zawołał w stronę kabiny.

Reszta towarzyszy wydostała się na zewnątrz. Szli jakby w transie, nie zauważając leżących napastników. Blake zrozumiał, że ma teraz podwójną rolę do spełnienia. Piątka przyjaciół była tak zaabsorbowana utrzymywaniem myślowej przeciwności, że stała się całkowicie bezbronna wobec bezpośrednich ataków. Ciężar obrony spoczął na jego barkach.

Przez drzwi wpadło trzech mężczyzn. Jeden z nich krzyknął, widząc leżące ciała. Blake wystrzelił. Powalił dwóch przeciwników, trzeci schronił się za drzwiami. Może uciec i wszcząć alarm.

Jednak drużyna parła naprzód niczym włócznia. Blake starał się równocześnie zabezpieczać tyły i badać drogę z przodu. W końcu jednak doszedł do wniosku, że było to niemożliwe. Strzelił w kierunku dwóch wartowników w korytarzu i jednego ogłuszył. Droga do windy grawitacyjnej stała otworem. Lo Sige wstukał sygnał docelowy. W napięciu mijali kolejne piętra i korytarze, zmierzając na najwyższe piętro kwatery głównej.

— Jest tam... czeka — powiedział Rogan — myśli o ucieczce.

— Nie może... Nie pozwólcie mu! — krzyknęła Marfy. Szła po omacku, z zamkniętymi oczami. Jedną ręką ścisnęła ramię siostry, drugą złapała Blake'a za rękaw i przyciągnęła do siebie.

Stali tak przez chwilę. Blake był pewien, że ich siła skupiła się teraz na To'Kekropsie, któremu nakazywali, by pozostał w miejscu.

Winda stanęła i drzwi otworzyły się.

— Nie! — Blake wepchnął się przed wychodzącego Lo Sige'a — Nie!

Zdążył w ostatniej chwili. Miotacz przeszył powietrze, jednak nie trafił żadnego z nich. Smugi niebieskich błyskawic przecinały się nad ich głowami. Miotacze, wciąż plując błękitnym ogniem, wzniosły się w powietrze i zwróciły przeciwko tym, którzy jeszcze przed chwilą ich używali. Wydawało się, że nagle wstąpiło w nie jakieś dziwne, bezrozumne życie. Do Blake'a dotarły okrzyki przerażenia, jakich nie słyszał nigdy dotąd. Poczucie zagrożenia stopniowo jednak opadło. Droga przed nimi była wolna.

Blake widział już wcześniej walkę, w której wykorzystywano halucynacje połączone z siłami umysłowymi. Stoczyli ją wówczas Lo Sige i przestępca, którego ścigali przez wiele poziomów. Walka tutaj była jednak o wiele bardziej zacięta. Korytarz przed nimi trząsał się, jakby poruszali się tunelem czasowym, mijając jeden za drugim fantastyczne i przerażające zarazem światy. Blake zachwiał się i zatoczył. Marfy wciąż trzymała go za ramię. Zrozumiał, że koszmary, które widział, ona postrzegала inaczej. Nie chciał jednak zamknąć oczu. Bał się, że przerażające obrazy znikną, a zamiast nich pojawi się realny przeciwnik z bronią gotową do strzału.

Nie wiedział, kiedy znaleźli się w sali obrad. Nie był nawet pewien, czy w ogóle tam dotarli. Pomieszczenie zmieniło bowiem kształt i wielkość. Ukazywały się tam i znikwały postacie, którym Blake nie mógł dokładnie się przyjrzeć. A właściwie był pewien, że nie chce ich oglądać wyraźnie.

Wątki nigdy później nie potrafił dokładnie powtórzyć przebiegu potyczki. W czasie walki drżał cały, podobnie jak wszystko dookoła. Rzeczywistość zniekształciła się i wypaczyła. Walker nie widział już wymiarów, form i materii takimi, jakimi znał je wcześniej. Nieziemska pustka, w której odbywało się całe starcie, oślepiła go. Nie wierzył, by jakkolwiek śmiertelnik zniósł taką potyczkę z otwartymi oczami.

Gdy się ocknął, poczuł pod sobą twarde podłoże. Ściany nie wirowały jak dymne zasłony targane wiatrem. Uniósł się nieco i przykucnął. W ręku nie trzymał już miotacza. Zresztą, broń zbudowana z metalu i przez człowieka była bezużyteczna w

halucynacyjnej potyczce.

Spojrzał na fotel, na którym wcześniej zasiadał To'Kekrops. Leżał na nim teraz jakiś słaby stwór, który wydawał z siebie płaczliwe dźwięki. Dookoła inne stwory odpowiadały mu tym samym, bezradnie machając rękoma w powietrzu.

Na środku pomieszczenia, którego wystrój przywódca Limiterów zmienił, by podnieść swój prestiż, wciąż stała piątka przyjaciół. Skupili się blisko siebie, trzęsąc się jak ktoś, kto właśnie obudził się z najgorszego z sennych koszmarów.

— Już... już po wszystkim. — Głos Rogana brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle.

Blake spoglądał na przeciwnika, nie bardzo wiedząc, co właściwie stało się z To'Kekropsem i tymi, którzy trwali przy nim do końca. Już po wszystkim. Po wszystkim! Czego jednak tak naprawdę dokonali i co to wszystko miało oznaczać? Blake nie był wprawdzie częścią tej żywej broni, którą tworzyli pozostali towarzysze, ale bardzo jej dopomógł. Czy udało im się odzyskać wszystko? A może przegrali?

— Co teraz? — Czy powiedział to na głos, w zdziwieniu, czy jedynie pomyślał? Umysły... myśli... przerażające zjawiska... bronie...

— Teraz? — Lo Sige odwrócił głowę i popatrzył na Blake całkiem trzeźwo. Przypominał kogoś, kto wydostał się właśnie z ruchomych piasków i wdzięczny za ocalenie, nadal nie czuje się całkiem bezpieczny.

— Teraz? — powtórzył. — Teraz trzeba poskładać wszystko razem.

— Razem? — zawtórował mu Rogan. Objął córki i przytulił. — Tak, trzeba poskładać wszystko razem i będzie z tym sporo roboty.

Blake wstał. Na chwilę zamajaczyło mu w głowie wspomnienie dziwnej inności, która zawładnęła tym miejscem. Tak, trzeba było poskładać to wszystko razem... Gdzieś tam mogły czaić się jeszcze kłopoty... Rozejrzał się, szukając miotacza. Stracił poczucie czasu, ale wiedział, że ta noc lub dzień będą dla Vroomu wyjątkowo długie.